



**Sophia James**



*Wiedźma  
z Heathwater*

## *Rozdział pierwszy*

*30 września 1358*

*Zamek Heathwater, północno-zachodnia Anglia.*

*„Pomiędzy Anglią i Szkocją leży ziemia, która kością niezgody się stała dla wielu pokoleń...”.*

- Ian! - Rozdzierające wołanie rozniosło się echem ponad wzgórzami Heathwater.

Alexander Ullyot zdarł z siebie wierzchnią szatę i opadłszy na kolana, zakołysał się bezradnie nad zwłokami pobratymca.

Madeleine Randwick obserwowała go z pobliskiego zagajnika, dziwiąc się niepomiernej szczerej rozpacz, która przebijała z każdego jego gestu i ponurej twarzy. Klęczał w rozmięklej ziemi nad bezwładnym ciałem i szukał w nim na darmo oznak życia.

Urodzony i wychowany w Highlands na północy Szkocji, przywódca klanu Ullyotów, bliski krewny ojca obecnie panującego króla Szkocji, Davida, zawsze mu wierny i lojalny, słynął z okrucieństwa i bezdusności.

Zapewne nie bez przyczyny.

W strugach rzęsistego deszczu jego twarz wyglądała niczym wykluta z marmuru. To nie były rysy urodziwego młodzieńca, snującego marzenia na przyszłość, lecz znużone oblicze człowieka naznaczonego tragedią. Blizna biegnąca wzdłuż prawego policzka ku czołu i jasnym włosom widoczna była nawet z tak daleka. Nie szpeciła go, przeciwnie, przydawała mu surowego piękna, które z pewnością niejednej niewieście zawróciło w głowie. Swoją drogą, musiała go opatrywać jakaś niewprawna uzdrowicielka - pomyślała, ukrywając pod kapturem swoje włosy, których kolor i blask były dwakroć mocniejsze niż słońce o zachodzie.

Gdyby ją teraz spostrzegł, na pewno znalazłaby się w nie lada tarapatkach. Ześlizgnąwszy się w swej kryjówce nieco niżej, przyjrzała się beznamiętnie otwartym ranom na ramieniu i plecach wojownika. Od głębokich cięć może się wdać zakażenie. Rozważyła w duchu, co wypada jej teraz uczynić. Jeśli Ullyot umrze, jej brat gotów odwołać strażę, strzegącą dostępu do Heathwater, a wtedy otworzy się przed nią droga ucieczki. Ucieczki od Noela, jej brata, i Liama, przyszłego narzeczonego, którzy trzymali ją w odosobnieniu i nie pozwalali z nikim rozmawiać, jej - jednej ze szlachetnie urodzonych kobiet w królestwie, córce Eleanor de Cargne. Czyż nie o tym właśnie od dawna marzyła? O wolności? Już miała się odwrócić i odejść, gdy wtem posłyszała krótki, zdławiony szloch.

Płakał.

Nienawistny i srogi dziedzic Ullyot, utrapienie pogranicznych wiosek i powód niezliczonych krwawych bitew, ronił łzy rozpacz, całując po raz ostatni dłoń zmarłego i tuląc go w pełnym rozpacz pożegnalnym uścisku.

Madeleine zastygła w bezruchu.

Wizerunek wprawionego w bojach, niezwyciężonego bojownika nie licował z taką desperacją. Opamiętał się, gdy w dolinie rozległ się tętent kopyt. Otarłszy umorusaną dłonią oczy, podniósł się i powiódł dokoła posepnym wzrokiem.

Zatem tak wygląda z bliska jej wróg. Człowiek, którego ziemie graniczą na północy z jej własnymi, a na zachodzie zbiegają się z włościami Noela... Raptem jął wpatrywać się uważnie w pobliskie zarośla. Wyczuł, że ktoś go obserwuje. Szczęściem, pojawienie się konnych odwróciło jego uwagę. Słyszała, jak wydaje ludziom rozkazy, a ci odszukują wśród poległych ciała swych kompanów i ładują je na dwukołowy wóz. Chwilę potem Ullyot przechylił głowę i gwizdnął, przywołując do siebie czarnego jak smoła ogiera. Z narastającym niepokojem Madeleine przytuliła twarz do ziemi i próbowała sobie przypomnieć wszystko, co zasłyszała ongiś o klanie Ullyotów.

Ich siedziba, twierdza Ashblane, to wysoka i ciemna kamienna wieża bez okien. Tak w każdym razie utrzymywał służący jej brata, Terence, który tuż po śmierci matki opowiedział jej tę złowrogą historię ku przestrodze, ale i na pocieszenie, jako że w porównaniu z posepnym żywotem mocarnego i zuchwałego Alexandra jej los wydawał się znacznie mniej okrutny.

Smagający wiatr niestety zagłuszył pomruki rozmów i zdarł z twarzy zmarłych zboczony krwią tartan, którym nakrył je Ullyot.

Rycerze stłoczyli się wokół niego, jakby chcieli go pocieszyć. Ciekawe, czy ma kogoś, kto zdoła ukoić jego ból? Niesforna myśl wydała jej się tak nedorzeczna, że musiała stłumić śmiech. Ktoś taki jak on nie szuka pociechy ni wsparcia.

Jak głośiły gminne opowieści, chadzał własnymi ścieżkami i nie potrzebował do szczęścia nikogo i niczego. Jego światem rządziły odosobnienie i nienawiść.

Spoglądając w niebo, próbowała odgadnąć porę dnia. Ludzie Ullyota zniknęli tymczasem w lesie, opadającym łagodnie ku rzece. Mimo to postanowiła nie ruszać się z miejsca, dopóki słońce nie zejdzie niżej. Z trudem powstrzymała się, by nie wyjść z ukrycia. Ręce same rwały się jej do opatrywania rannych najemników brata. Leżeli tak blisko, że słyszała ich jęki. Nie mogła jednak ryzykować. Musiała się wpiery upewnić, że wróg oddalił się na dobre. Na myśl o powrocie do zamku Noela jej serce znowu przepełniła trwoga. Oczyma duszy widziała owładnięte żalobą oblicza matek oplakujących poległych, słyszała ich zawodzenia i kościelne dzwony, obwieszczające śmierć obrońców Heathwater. Wzdrygnęła się bezwiednie.

Niecałą godzinę później uznała, że może bezpiecznie opuścić swoją kryjówkę w zagajniku. Nim jednak dotarła do zarośli, w których poleciała czekać na siebie swojej młodszej siostrze - jak zwykle przebranej za pazia - kątem oka dostrzegła nieopodal jakiś ruch. Jeden ze Szkotów wyrósł nagle przed nią jak spod ziemi i krzyżąc niezrozumiale, z mieczem w dłoni przemierzał polanę.

Ogarnęło ją przerażenie, czuła, że stanie się coś niedobrego. Nie zdążyła dobiec...

- Jemie! - wrzasnęła, unosząc rękę. W tej samej chwili poczuła przeszywający ból. Ktoś pochwycił jej ramię i wykręciwszy je do tyłu, uwięził w żelaznym uścisku.

- Stójże spokojnie, dziewczeczko. - W mowie napastnika pobrzmiwały nuty charakterystyczne dla Szkotów. Odwróciła się i zamarła ze strachu.

Stał przed nią nie kto inny, tylko sam Alexander Ullyot. Jak to możliwe, że nie usłyszała jego kroków?

Szarosrebrne oczy zmierzyły ją uważnie od stóp do głów i przymknęły się groźnie, gdy wbiła mu paznokcie w rozjątrzoną ranę na ramieniu.

- Radzę ci, poniechaj! - Zaklął nieobyczajnie i przyciągnął ją do swego muskularnego ciała. Poczuła ciepło, pot i obezwładniający męski zapach. Przez chwilę wydawało się jej, że czas stanął w miejscu.

Biła od niego ogromna moc i potencja. Kiedy ostatni raz dane jej było dotykać mężczyzny, przy którym wbrew rozsądkowi czuła się taka...

bezpieczna? Jej przyspieszony oddech smagał obnażoną skórę na jego szyi. Nagle obudziły się w niej dawno zapomniane uczucia i pragnienia.

Zapagnęła złożyć mu głowę na piersi i błagać o ratunek i schronienie. Byłby dla niej opoką, tarczą, broniącą jej przed okrutnym światem.

- Kimże, u diabła, jesteś? - To nie był łagodny głos rycerza wybawiciela. Słyszała w nim gniew, który nappełnił ją strachem. Gdyby mu teraz zdradziła swoje imię, niechybnie by ją zabił. Strach był tak silny, że zakręciło się jej w głowie a dech w piersiach zaczął zamierać.

- Ktoś ty? - powtórzył głośniejszym głosem, ściskając ją za ramiona.

Maddy z trudem zaczerpnęła tchu. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Spróbowała się obrócić i sprawdzić, co z Jemie, lecz zrobiło jej się ciemno przed oczami i zapadła w nicość.

## *Rozdział drugi*

Ocknęła się w obskurnej i zimnej celi pełnej szczurów. Zdjęto jej pelerynę. Zamiast niej miała na ramionach tartan Ullyotów w czerwono-niebiesko-czarną kratę. Mimo to czuła się nieprzystojnie obnażona. Lniana koszula, którą nosiła pod stanikiem, była w kilku miejscach rozerwana, a wiązania gorsetu porozcinane. Zadrżała na całym ciele i oblała się zimnym potem. Jemie leżała nieprzytomna obok niej. Obie miały skrępowane nadgarstki. Skąd się tutaj wzięły i co to za loch? Z pewnością nie Ashblane, uprzytomniła sobie, spojrzawszy na glinianą tabliczkę na ścianie. Wyrysowano na niej herb Armstrongów.

Ktoś ją usłyszał. Przy drzwiach pojawił się nagle szczerbaty strażnik i zajrzał do środka przez żelazną kratę. Gdy zorientował się, że Madeleine mu się przygląda, czym prędzej zasłonił dłonią powieki.

- Przyszła do siebie! - zawołał po celtycku. Maddie nie знаła mowy Szkotów na tyle, by zrozumieć odpowiedź, która padła z głębi korytarza.

Niebawem do celi wtargnęli z rumorem dwaj mężczyźni i założyli jej na głowę zgrzebny worek.

Zaskoczona i zdezorientowana poczęła im się wrywać. W odpowiedzi otrzymała potężny cios w policzek. Zabijają mnie, pomyślała ze łzami bólu w oczach. Ubijają jak psa. Kiedy wiedli ją po schodach na górę, ze strachu słaniała się na nogach. Na koniec znaleźli się w jakiejś cieplejszej izbie. Już od progu uderzył ją w nozdrza zapach palonego drewna oraz ostra woń męskiego potu.

- Zdejmijcie z niej to - rozległa się zwięzła komenda. - I rozwiążcie jej ręce.

Madeleine wyprostowała się na dźwięk znajomego głosu i zmrużyła powieki, próbując na powrót przyzwycząić źrenice do światła.

Alexander Ullyot stał przed nią w asyście dwóch roślących jak on sam osiłków. Nie umył się, odkąd widziała go wczoraj, ale miał na sobie kubrak z

baranicy. Połyskujące w płomieniach paleniska ostre rysy przydawały jego obliczu złowieszczy wygląd. Poranione ramię podwiązano mu skórzanymi pasami, lecz jej wprawne oko z miejsca pojęło, iż odczuwa przez to jeszcze większy ból. Trzymał się nienaturalnie sztywno i nieruchomo. Mimo to skupiał na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych. Widać było, że jest ich przywódcą.

- Lord Armstrong rzecze, iż zwiesz się Madeleine Randwick i jesteś siostrą angielskiego barona Noela Falstone'a. Prawda to?

Skinęła głową, zatrzymując na moment wzrok na toporze, który miał zatknięty za pas. Spojrzawszy mu ponownie w twarz ujrzała na niej zdumienie, a potem narastający gniew.

Postąpił zdecydowanie do przodu i unosząc jej brodę ku światłu, dotknął sińca na policzku.

- Który śmiał podnieść na nią rękę?

- Opierała się, panie, trza mi było ją... zaczął jeden z wartowników, lecz nie dane mu było skończyć. Gwałtowny cios Alexandra powalił go na ziemię.

- Zastąpisz go, Marcusie.

- Tak jest, panie.

Obserwując zajście, Maddie nabrała nieco otuchy. Kolejne słowa Ullyota prędko pozbawiły ją jednak złudzeń.

- Ostaniesz tu, pani, jako nasza branka. Uczynim z ciebie zakładniczkę i obaczym. Być może twemu bratu wróci rozum.

- Noel nie dba o...

- Milcz, niewiasto. - Ciche ostrzeżenie zabrzmiało w jego ustach o wiele srożej niż otwarta groźba. Oczy rozblęły mu niebezpiecznie, a na małym palcu zamigotał pierścień ze skomplikowaną inskrypcją. Herb lwa Szkocji! Poczucie zagrożenia, które jej nie odstępowało i do którego zdążyła się prawie przyzwyczaić, teraz przerodziło się w paraliżującą trwogę. Zachwiała się i niezawodnie upadłaby na ziemię, gdyby jej nie podtrzymał. Jego ręka była



lodowata, a wystające z rękawa ostrze sztyletu wystraszyło ją jeszcze bardziej. Nosi ukrytą broń w otoczeniu sojuszników? Nie ma ufności wobec własnych ludzi? Cóż z niego za wódz?

To człek bez zasad, olśniło ją nagle. Pobladła gwałtownie i, by poskromić paniczny lęk, wbiła sobie paznokcie w ramię. Ból zazwyczaj skutecznie odwracał uwagę i pomagał.

Ullyot przyglądał jej się z odrazą.

- Jaki czart cię tam przygnał? Pobojuwisko to nie miejsce dla białogłowy.

- Jestem uzdrowicielką - odparła hardo.

- Uzdrowicielką? - powtórzył ze wzgardą. - Ludzie powiadają co innego.

Quinlan, odprowadź ją do lochu.

- Nie! Panie!

- Nie? - W jego źrenicach pojawiła się wreszcie iskierka ciepła, co sprawiło, że jego posepna zazwyczaj twarz nabrała dość niepokojącego wyrazu.

- Śmiesz mi się sprzeciwiać? - Stał tak blisko niej, że widziała jego niesamowicie długie rzęsy.

- Tam są szczury! - Powiedziała to ze spuszczoną głową.

Odpowiedział jej gromki śmiech. Podskoczyła jak na rozżarzonych węglach, jednocześnie próbując ukryć strach. Źle zawiązany tartan, którym ją opasano, zsunął się, odsłaniając podartą koszulę i porozcinany gorset. Wszystkie oczy rychło skupiły się na jej piersiach. Kolejne upokorzenie, pomyślała z westchnieniem i drżącymi rękami podciągnęła ten ciepły, wełniany pled.

- Zabierzcie ją.

- Proszę... Jeśli idzie ci o pieniądze, panie, sownie cię wynagrodzę. - Każdy ma przecie swą cenę. Mina Ullyota nie zwiastowała jednak pomyślnych wieści.

- Idzie mi o głowę Falstone'a. Złotem nie odkupisz krwi, którą przelali za jego sprawą moi ludzie.



- Szukasz zatem pomsty? - zapytała z przestraczem. - Chcesz nas zgładzić!

Nim zdążyła rzec więcej, raptownie chwycił ją za gardło i ścisnął na tyle mocno, by poczuła ból.

- W przeciwieństwie do twego brata, pani, nie mam zwyczaju mordować niewiast i dzieci.

Odetchnęła z ulgą, lecz naraz dopadła ją nowa zgryzota. Widziała, jak Noel poczyna sobie z pojmanymi i więzionymi w Heathwater. Gwałt bywa czasem okrutniejszy niż mord. To niczym śmierć za życia.

Właściwie każdy z tych mężczyzn - a niemal wszyscy przyglądali jej się lubieżnym wzrokiem - mógłby zechcieć sobie na niej poużywać. Wszak jest ich łupem wojennym.

Zebrawszy się na odwagę, spojrzała w nieprzeniknione oczy Alexandra i zobaczyła w nich rozpacz i rozżalenie. Smutek z powodu śmierci przyjaciela, którego oplakiwał onegdaj na polu walki.

- Mogę ci pomóc, panie. - Słowa bezwiednie spłynęły jej z ust, a palce sięgnęły do jego dłoni.

- Nie trzeba mi twojej pomocy - odburknął rozeźlony, wyrywając jej rękę.  
- Zabrać ją!

Dwaj przyboczni bezzwłocznie zabrali się do wykonania rozkazu. Madeleine obejrzała się od progu, by stwierdzić, iż Ulyot wciąż się w nią wpatruje. W świetle pochodni wydawał się potężny, zaciekły i nieustępliwy, taki jak w legendach, które krążyły o nim po całej Anglii. Lecz jego oczy mówiły o czymś jeszcze. Zobaczyła w nich coś, co widywała nie raz i nie dwa w spojrzeniach innych mężczyzn. Zaciekawienie i nieskrywaną chuć.

Uśmiechnęła się pod nosem, przemyśliwując, jak wykorzystać to do własnych celów.

- Co o niej sądzisz? - zapytał zniecierpliwiony Quinlan, wrywając Alexandra z zadumy. - Po mojemu wygląda raczej jak umorusany anioł, a nie knująca niecne intrygi bezduszna wiedźma. Nie warto dawać wiary bajaniu pospólstwa.

- Prawda. Jest znacznie wyższa niżli myślałem. - I stokroć piękniejsza...

- Dałbyś pokój, Quin - rozżościł się Ulliyot. - Mam dać się zwieść jej gładkim licom? Niejeden znalazł się przez to w opałach.

- Wystraszyła się szczurów.

- Tedy się ich pozbadź.

- Szczurów? Jakimże to sposobem?

- O świcie ruszamy do Ashblane. - Alex powstał z miejsca i jął przemierzać nerwowo komnatę. - Nie będziem się przecie cackać z niedomagającą niewiastą. Przenieś ją do schludniejszej izby i postaw przy drzwiach strażę. - Syknąwszy z bólu, zatrzymał się wpół kroku. Pulsowanie w ramieniu wciąż nie ustawało. Mikstura, którą zaaplikował mu medyk, miast pomóc, zdawała się jeszcze bardziej rozjątrzać ranę. Gdy spróbował unieść rękę, na moment odjęło mu oddech z bólu, a serce zaczęło bić z wysiłku jak szalone.

Ian poległ. Wszystko się zmieniło. Straciło wagę.

- Niechaj piekło pochłonie Noela Falstone'a - wyszeptał zajadle, podchodząc do okna.

- Przykro mi - Adam Armstrong położył mu dłoń na ramieniu. - Wiem, że Ian był twym oddanym druhem.

Alexander uniósł rękę, by go powstrzymać. Nie radził sobie z przejawami ludzkiej sympatii. Znacznie łatwiej było reagować na nieszczęścia gniewem.

- Powinienem był zebrać ocalałych i ruszyć szturmem na Heathwater. Wywabiliśmy podleca z jego kryjówki. Ian zrobiłby to dla mnie, gdyby wiedział, że mogę skończyć z rozplatanym brzuchem.

- Poszlibyście na pewną śmierć - stwierdził rozumnie Adam. - A tak zyskacie nad nimi przewagę. Zbierzecie na nowo siły, przyczaicie się i uderzycie w najmniej spodziewanym momencie. Element zaskoczenia może

zdecydować o zwycięstwie. Do tego czasu twoje rany powinny się zagoić. Pozwolisz mi się nimi zająć?

- Nie potrzeba. Hale już je opatrzył. - Nie chciał, by ktokolwiek się do niego zbliżał. Nie czas na to. Nikt nie może się dowiedzieć, co naprawdę czuje. Jego obrażenia były poważne, a droga do domu daleka i żmudna. Nazajutrz, gdy dotrą do Ashblane, pozwoli wezwać uzdrowiciela. Tymczasem w twierdzy Armstrongów musi przynajmniej zachować pozory. Nie pozwoli, by inni oglądali jego słabość. O ile sił stanie. Opadłszy ciężko na ławę, westchnął z wysiłkiem.

- Ian miał zbyt mało ludzi. Nie trzeba mu było stawać do boju.

- Czemu tedy stanął? - zainteresował się Adam, dolewając sobie piwa.

Alex poczuł obezwładniającą falę mdłości. Przemówił dopiero wtedy, gdy niemoc ustąpiła. Serce nadal jednak biło mu ze zdwojoną siłą.

- Falstone spalił wioskę na zachód od Ashblane. Wyrzwał mężczyzn i pojmał niewiasty. Ian ruszył z odwetem, nim zdążyłem do niego dołączyć. Gdyby zaczekał, poszlibyśmy na psubrata razem. A tak...

- Czemu zwlekałeś?

- Byłem na dworze w Edynburgu.

- Skoro o tym mowa, gdy król dowie się o występkach Falstone'a, podejmie chyba przeciw łotrowi jakieś kroki?

- Po latach angielskiej niewoli - odparł Ullyot, ostrożnie dobierając słowa - jego królewska mość utracił serce do walki. Ponad oręż przedkłada dyplomację.

- Zapewne masz słuszość. Zresztą nie dopuściłby się mordu bez względu na przewiny Falstone'a. W grę wchodzi profit polityczny. Ze swymi przygranicznymi włościami baron jest dla monarchii nazbyt użyteczny, by David zechciał go zgładzić.

- Wobec tego będę musiał zgładzić go sam. - Alex podźwignął się od stołu. Szczęściem, tym razem izba nie zawirowała mu przed oczami, lecz pozostała na właściwym miejscu.

- Falstone to pieniacz i awanturnik, ale i człek nieroztropny. Ma swe przyzwyczajenia. Styczeń spędza zawsze w Egremont, dokąd udaje się drogą na Carlisle w asyście zaledwie kilku konnych. Wydaje się zuchwalcowi, że jest bezpieczny.

- Nie ośmielisz się wszakże zapuścić tak daleko za angielską granicę. Złamałbyś zakaz...

- Plwam na zakazy. - Oczy Ullyota przybrały zatwardziały wyraz.

- Miarkuj się, przyjacielu. Owszem, masz za sobą króla, jeśli jednak narazisz na szwank warunki traktatu, to i sam Stwórca cię nie poratuje. Odbiorą ci Ashblane i nazną mianem zdrajcy.

- Nikt się nie dowie, że to ja.

- Zamierzasz zrzucić kilt i ukrywać się pod przebraniem? Odradzałbym ci tę drogę. David jest nade wszystko królem, a dopiero w drugim rzędzie twym bliskim krewnym. Jeżeli każesz mu wybierać między interesem państwa a sobą... sam wiesz, co wybierze. Dał ci Ashblane jako królewską warownię i nakazał strzec do niej dostępu. Nie możesz sobie pozwolić na zdradzieckie zakusy nawet wobec największego wroga. - Adam rozpostarł ręce na stole błagalnym gestem. - Jestem ci przyjacielem. Wiem z doświadczenia, że znamienici skądinąd mężowie, których ponosi ślepy gniew, przestają wierzyć swemu rozumowi. A stąd już tylko krok do zguby. Powiadam ci, zabierz ludzi do Ashblane, gdzie nie dosięgnie was miecz Falstone'a. Co do białogłowy, odeślij ją bratu całą i zdrową. Kto wie, być może baron jeszcze ci za to podziękuje, a nasz władca także będzie kontent? Pomnij, że inkaust na traktacie z Berwick zaledwie co zdążył obeschnąć.

Rozsierdzony Ullyot porwał ze stołu czarękę z piwem i cisnął jej zawartość do ognia.

- Nie szukam podziękii, Adamie. Nie o wdzięczność mi idzie, lecz o zemstę. Bogdajem szczeł, zniszczę Falstone'a. Odbiorę mu wszystko; siostrę, zamek i ziemie, a na koniec upuszczę z niego życie.

- A czary wieżm de Cargne? Jak zamierzasz stawić czoło Madeleine Randwick? Ponoć zdolna jest sprawić, iż człek uwierzy we wszystko, co mu rzeknie.

Alex skwitował te słowa śmiechem.

- Zaiste osobliwy masz sposób pojmwania prawd naszej wiary, Adamie. Zali nie powiada Pismo: „Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną?”. Czarna magia to wymysł wszeteczników i ubogich duchem. Sam Wszechmogący przeczy jej istnieniu.

Armstrong uderzył otwartą dłonią w stół.

- Zbyt wiele czasu strawiłeś na wojnach, Alexandrze, by prawić mi nauki w sprawach religii. W przygranicznych wioskach aż huczy od opowieści o córach rodu de Cargne. Josephine, Eleanor, a teraz Madeleine. To czarownica. Mamiąc mężczyzn urodą, zmusza ich, by składali obietnice, o których nawet nie pomną, gdy obudzą się w jej łóżnicy.

Zniecierpliwiony Ullyot zaczerpnął głęboko tchu.

Jeszcze tylko jeden dzień i wróci nareszcie na własną ziemie. W Ashblane wezwie uzdrowiciela i pozbędzie się paskudnego bólu, który trawi mu kości. To pewnie od ran pomieszało mu się w głowie. Wciąż nie opuszczała go wizja Madeleine Randwick jak ją Pan Bóg stworzył. Widział jej białe członki niemalże jak żywe, splecione w uścisku z własnymi.

Odstawiwszy z hukiem pustą czarke, przypomniał sobie jej płomiennorude włosy i kojąco chłodną dłoń na swej ręce.

*Mogę ci pomóc, panie.*

Potrząsnął głową, próbując odpędzić nierozważne myśli. Przecie to tylko branka. Narzędzie zemsty i odwetu na jej chciwym bracie. Niewiasta, której imię tożsame jest z rozwiązłością i zdradą. Nie na darmo wszakże zwa ją Czarną

Wdową z Heathwater. Wykorzysta ją jak najrychlej do własnych celów i do niedzieli się pozbędzie. Tym sposobem Ashblane pozostanie bezpieczne. Przynajmniej na jakiś czas.

Ledwie Maddie znalazła się na powrót w lochu, na schodach pojawił się Quinlan.

- Rozkujcie ją - skinął na wartowników i odczekał spokojnie, aż wykonają polecenie.

Znowu zeszywniała ze strachu. Gdy z nią rozmawiał, oczy Ullyota raz po raz pałały gniewem. Czyżby zmienił zamysły wobec jej osoby? A jeśli przysłał przybocznego z rozkazem zgładzenia jej? Cofnęła się instynktownie.

- Dokąd mnie wieszysz? - zapytała, udając oburzenie.

- Do izby, w której nie zamieszkują szczury - odrzekł z namysłem.

W jego słowach pobrzmiewało rozbawienie, którego przyczyny nie potrafiła zgłębić.

- Czemuż to? - Obrzuciła go zdezorientowanym i podejrzliwym wzrokiem.

- Nasz wódz rozkazał. Chce byś była, pani, w stanie odbyć świtem podróż na północ.

Słyszając dobre wieści, niemal popadła w euforię.

Może jednak nie zginą dzisiejszej nocy? W jej sercu zapłonęła iskierka nadziei.

- Mogę wziąć ze sobą pazia? Proszę, jest bardzo młody i słabowity, a w lochu jest zimno.

Przyjrzał jej się nieufnie, po czym spojrzał z zakłopotaniem na klepisko, na którym spoczywała Jemie.

- Żałuję, lecz pozwolono mi zabrać jedynie ciebie, pani.

- W takim razie nigdzie się stąd nie ruszę - odparła zdecydowanie i wystawiła dłonie, by zakuli je ponownie w kajdany. Twarz siostry już zrobiła się

chorobliwie blada z wyziębienia. Nie mogła zostawić jej samej i w dodatku na pastwę gryzoni.

Nim wyszedł, Quinlan miotał się chwilę niezdecydowany, jakby rozważał złamanie rozkazu. Koniec końców, wyszedł w milczeniu, zatraskując żelazną kratę za sobą.

Usiadłszy na ziemi, Madeleine oparła brodę na kolanach i spróbowała opanować lęk, który towarzyszył jej, odkąd wpadła w ręce Szkotów. Spokój, powtarzała sobie, usiłując nie wpadać w panikę. Przetrzymywano ją w cuchnących podziemiach z woli słynącego z braku litości okrutnika. Na domiar złego Jemie była w przebraniu i gdyby została zdemaskowana, pogorszyłoby to znacznie i tak ich nieszczęsne położenie. Najbardziej jednak niepokoiła ją przeraźliwa natura samego Ulliyota.

*W przeciwieństwie do twego brata, nie mam zwyczaju mordować niewiast i dzieci.*

Czy to nie jego własne słowa? - Przypomniała je sobie nagle. Bajdy o jego straszliwym wyglądzie okazały się wyłącznie bajdami, a skoro tak, to może nie ma także ani śliska prawdy w tym, co powiadają o jego podłym charakterze? Daj Boże, aby tak było.

Zaniepokojona bezruchem Jemie, podczołgała się do niej po omacku. Jak zdoła żyć dalej, jeśli jej siostra umrze? Na samą myśl o tym, wyrwał jej się z piersi przeraźliwy jęk. Prędko przywołała się do porządku i odzyskała władzę nad umysłem. Jedyne sposoby, by przetrwać, to opanować się. Bywała już w gorszych opresjach. Z Bożą pomocą i przy odrobinie szczęścia uda jej się wyjść także i z tej.

Quinlan wrócił do gościnnej izby po upływie zaledwie kilku minut.

- Powiada, że nie zostawi pazia samego - oznajmił od progu.

- Że niby co? - Alexander zamruął i spojrzał na przybocznego, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Przy najmniejszym poruszeniu smagał go nieznośny ból w ranieniu.



- No, że bez pacholecia nigdzie się nie ruszy. Martwi się, bo nie wróciła mu jeszcze przytomność, a w celi panuje dojmujący chłód.

- Niechaj zatem śpią oboje w ciemnicy. Okryjcie ich czymś i ostawcie do świtu.

- Ona przednio pachnie, Alex - zauważył Quinlan. - A i w obejściu jest gładka...

Odpowiedział mu zgorzkniały śmiech.

- To siostra Falstone'a. To samo piekielne nasienie. Wypada spodziewać się po niej najgorszego.

- Pozwólże mi skończyć. Jest jeszcze coś. Kiedy zsunął jej się z ramion tartan, spostrzegłem na jej piersi bliznę w kształcie krzyża. Wspomnij słowa Jocka Ullyota, przyjacielu. Prawił, że niewiasta, która opatrywała go w Heathwater, nosiła taki właśnie znak. W kółko rozpowiadał o ognistowłosym aniele, co miał uzdrowicielską moc.

- Bredził w malignie, ot co. Był konający. I wątpię, by Madeleine Randwick zasługiwała na miano anioła.

- Nie dawaj prędkiej wiary ludzkiemu gadaniu. To mogą być wysane z palca bujdy.

- Zmilczże o tym nareszcie! - Uciał bezceremonialnie Alexander. - Dajmy już temu pokój.

- Nie wszczynałbym tej dysputy, gdyby warty nie pełnił dziś Geordie.

Klnąc nieprzystojnie, Ullyot sięgnął po sztylet i zatknął go sobie za pas.

- Ciało jego syna stygnie w kaplicy. Nie uznałeś za stosowne zwolnić go w takiej chwili ze służby?

Zrezygowany Quinlan zwiesił ramiona.

- Mógłby przyjąć to jak obelgę. I bez tego zdjęła go desperacja. Nie chciałem, by rozkleił się jeszcze bardziej.

Alexander skinął na niego w milczeniu i ruszyli razem do podziemia.

W celi panowała niemal grobowa cisza. Jedyne w kątach poświstywał złowrogi, nocny wiatr. Madeleine leżała skulona w niewygodnej pozycji na ziemi, próbując ogrzać Jemie własnym ciałem.

Alex wszedł zdecydowanym krokiem do środka natychmiast, gdy zwolniono rygle.

- Wstawaj! - Jednym ruchem zerwawszy z branki okrycie, postawił ją na nogi i obrócił twarzą w stronę światła pochodni. Jego oczom ukazała się blizna, o której wspominał Quinlan, a obok niej zawieszony na szyi złoty krzyżyk. Dotknął go przelotnie nieco zaskoczony, lecz rychło się otrząsnął i zabrał rękę.

- Kto cię naznaczył?

Maddie stała przed nim oniemiała z trwogi.

- Liam Williamson, księżę Harrington - odparła bojaźliwie.

- Zatem należysz do niego?

- Tak. Na mocy danego przyrzeczenia. - Zaszło jej w ustach, a serce znowu zaczęło się kołatać niebezpiecznie.

Ujrzała w jego dłoni ostrze sztyletu, by chwilę później poczuć je na własnej skórze. Z płytkiej rany natychmiast zaczęła się sączyć krew i nim zdążył uskoczyć, splamiła mu palce.

- Na mocy prawa do łupów wojennych odmawiam mu dalszych roszczeń do twojej osoby. Odtąd jesteś moja. Każ ją rozwiązać, Quinlan, i zaprowadź na górę.

- Zamyślasz wziąć ją siłą?

- Natychmiast - warknął przez zaciśnięte zęby Ullyot.

Strażnicy dopadli jej ochoczo i zaczęli zdejmować pęta, nie szczędząc sobie przy tym uciechy. Ich szorstkie ręce pozwalały sobie na swawole, które były jej nader niemiłe. Alexander musiał to zauważyć, lecz ani myślał ich strofować.

Zawlekli ją do jakowejś komnaty, i rzuciwszy na wielkie łoże odeszli na bok. Zanosilo się na to, że zamierzają pozostać i przyglądać się, jak Ullyot sobie na niej używa.

- Miarkujże się, Alex! - odezwał się wyraźnie zaambarasowany Quinlan. - To przecie szlachetnie urodzona niewiasta, a nie byle dziewczka.

- Nałożnica Harringtona, ot co.

- To łgarstwo! - zaprotestowała gwałtownie. - On mnie nigdy nie... -  
Ogromna dłoń zasłoniła jej usta.

- Rzeknij jeszcze słowo, a ubiję jak psa - Puścił ją dopiero, gdy skinęła posłusznie głową, że rozumie.

Krew, która wciąż się sączyła z jej piersi, przyprawiała ją o dreszcze. Chwyciły ją niepohamowane mdłości i zwróciła na ziemię spożyty rankiem skąpy posiłek. Teraz pewno nadszedł mój kres, pomyślała ze zubożeniem. Zasłoniwszy chustą usta, czekała w milczeniu na karę. Znała swój los niczym ponurą przepowiednię. Albo pozbawią ją żywota, albo pohańbią. Jeśli nie uczyni tego Ullyot, niebawem wyręczy go Liam Williamson.

Znużenie odebrało jej chęć do walki i do robienia czegokolwiek, nawet do tego, żeby prosić o łaskę dla pazia. Dość już miała wiecznej zgryzoty, strachu i beziły wobec świata rządzonego przez wszechpotężnych i okrutnych mężczyzn. Skończę z tym tu i teraz, postanowiła, niech się dzieje, i przyoblekłszy hardą minę, poderwała się raptownie na nogi. Nieszczęśliwie jednak znowu ściemniło jej się przed oczami i nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, runęła bez przytomności na ziemię.

Alex zaklął speszony na widok rudych włosów na swych butach. Mlecznobiała skóra Madeleine była uwalana krwią i pokryta licznymi sińcami. Ponoć czarownica, a wygląda tak młodo i bezbronne, zdumiał się w duchu, dotykając ognistych loków. Pozbawiona świadomości twarz nie zdradzała ani śladu lęku. W jego miejsce pojawiła się zaskakująca niewinność.

Nagle przeszła mu ochota, by dokonać na niej, jak wcześniej zamyślał, publicznego sponiewierania.

- Przenieście ją na górę i sprowadźcie z lochu pazia - polecił, spoglądając ukradkiem na ranę, którą zadał jej sztyletem.

Nie wiedział dlaczego, ale niespodzianie zapragnął ją zasłonić, zaniechał jednak tego zamiaru, wiedząc, iż wzbudziłoby to niepotrzebne domysły. Chwyciwszy ze ściany pochodnię, odesłał wartowników i wyszedł zadowolony, że pod okiem Quinlana lady Randwick będzie całkowicie bezpieczna.

Madeleine zbudziła się w wielkim łożu okryta ciepłąką pierzyną. Spostrzegła z ulgą, że Jemie leży obok na pryczy, widać, że w pośpiechu skleconej. Oddychała miarowo i spokojnie, a zatem żyła i miała się dobrze. Chwała Najwyższemu! To jedyne, co się naprawdę liczyło. Na dworze było jeszcze ciemno. Zza wypaczonych okiennic wзираł złoty łuk księżyca.

- Mocno cię poturbowali? - zapytała nagle siostra.

- Nie, to ledwie draśnięcie - odrzekła, odsłaniając cięcie, które pozostawił na jej piersi sztylet Ullyota. Rana nadal broczyła lekko krwią, choć nie była głęboka. - Prawie mi nie dokucza. - Skrzywiła się lekko, pocierając obolałe miejsce poślinionym palcem. - Skoro do tej pory nas nie zabił, to pewno możemy być spokojne.

- Ale naznaczył cię. Zrobi z ciebie.

- Tak czy owak uczyniłby ze mnie swą nałożnicę. Ze znakiem czy bez. To najbliższe z naszych zmartwień. - Podniosła się z posłania i podszedłszy do okna, wychyliła się ostrożnie i spojrzała w dół. Co najmniej trzy piętra do ziemi i ani jednej wyrwy w murze, przynajmniej takiej, która pozwoliłaby zaczepić bodaj stopę. Kazał ich dobrze pilnować. Za drzwiami ani chybi tkwił wartownik.

- Mamy nóż i złotego dukata. - Wysupłała oba przedmioty z zamaskowanych głęboko w halkach kieszeni. Miała w nich również rozmaite zioła i eliksiry, z których przyrządzała lecznicze mikstury. - Oby wystarczyły.

- Do ucieczki?

- Nie. Myślałam raczej o posłaniu umyślnego z wiadomością.

- Do kogo?

- Do Goulta. Gdyby pomógł nam zbiec i przedostać się na zachód, w stronę Ananu...

- Nie! To zbyt ryzykowne! - Maddie zauważyła na czole Jemmie kropelki potu. Zastanawiała się czy to oznaki choroby, czy wyraz lęku. Nie zdziwiłaby się, gdyby Ullyot wzbudzał w siostrze równie wielką trwogę jak w niej samej.

Serce zaczęło jej bić mocniej. Ich prześladowca nie był jak inni mężczyźni. Już w chwili gdy go ujrzała, bez trudu rozpoznała jego aurę. Srebro i czerń. To niebezpieczna mieszanka. Przypomniała sobie, że Eleanor wielokrotnie ją przed nią przestrzegała. Pewnego razu Maddie nakryła matkę w stajni w ramionach nieznajomego, który rozsiewał wokół tę samą urokliwą moc, co Ullyot. Było w nim coś tajemniczego i zakazanego. Jakaś nieokrzesa pierwotna siła, która sprawiała, że lgnęło do niego wszystko, co żywe, jednocześnie odczuwając przed nim ogromny respekt.

Potrząsnęła głową, by przegnać sprzed oczu natarczywie powracający obraz twarzy Alexandra. Chowając z powrotem sztylet i monetę, poczęła przemyśliwać o sposobie wykaraskała się z tej biedy, albo obrócenia jej na własną korzyść.

- Poczekamy aż nadarzy się odpowiednia okazja - oznajmiła po chwili namysłu. - A kiedy już im się wymkniemy, przedostaniemy się do Francji. - Schowała zaciśnięte pięści w fałdach spódnicy i odwróciła się, rada, iż Jemmie nie widzi jej przerażenia.

- Ale nie rozdzielią nas, prawda, Maddy? - zapytała drżącym głosem siostra.

- Prawda, Jemmie. Zawsze będziemy razem. Obiecuję. Ale teraz lepiej się zdrzemnij. Czeka nas jutro długi marsz. Musisz zebrać siły. - Odczekała aż Jemmie zaśnie, po czym usiadła z nożem na łóżku, spoglądając czujnie na drzwi. Jeśli po nią przyjdą, będzie gotowa.

Ullyot zjawił się o świcie. Zastawszy ją na nogach, na próżno usiłował ukryć zdziwienie.

- Mam z tobą do pomówienia, pani - odezwał się władcym tonem. - Na osobności. Moi ludzie wyprowadzą pазia.

Jemie zachwiała się niezdarnie na nogach, przecierając zaspane oczy. Maddie z miejsca popadła w popłoch.

- Dokąd go zabieracie? - zapytała ze ściśniętym gardłem.

- Do sąsiedniej izby. Nie na długo.

Zwróciła oczy ku wartownikom, by się upewnić, czy można im zaufać. Bogu dzięki jeden z mężczyzn okazał się starcem o nobliwym obliczu i zacnym spojrzeniu.

- Nie obawiaj się, Jemie. Idź, nic ci nie grozi.

- Ale...

Potrząsnęła głową, próbując powstrzymać siostrę, lecz ta zdawała się nie zważać na ostrzeżenia. Zamiast zamilknąć, uniosła chuderlawy podbródek i wyprostowała wątłe ramiona.

- Ręczyś, panie, słowem honoru, że lady Randwick nie spadnie włos z głowy? - zwróciła się wprost do Ullyota, choć w ustach tak bezbronnej i cherlawej istoty owo żądanie musiało zabrzmieć żałośnie.

Madeleine aż wstrzymała oddech, z niepokojem oczekując reakcji.

- Precz mi z oczu, pacholku!

A więc obyło się bez sztyletu czy pięści.

Odprawiając w duchu dziękczynne modły, przyglądała się, jak strażnicy wyprowadzają Jemie z komnaty.

Ullyot przeszedł do rzeczy natychmiast, gdy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi.

- Znalazł się ktoś, kto poręczył za twój charakter, pani, mimo iż wielu jest takich, którzy mają cię za ladacnicę i oszustkę znaną w dwu królestwach z szarlatanerii i rozwiązłego prowadzenia się.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Wiedz, panie, że przez ostatnie dziesięć lat Heathwater było mi bardziej więzieniem, niż moim domem.

- Zdaje się, że jednak pozostawiono ci nieco swobody. Ci, którzy dostąpili twych łask, chętnie o tym rozpowiadają. Twoje wyczyny spisano ponoć w zamkowych kronikach.

Niespodziewanie poczuła, że na policzki występuje jej gorący rumieniec. Zawstydzona i wyraźnie poirytowana odwróciła się i podeszła do okna.

Po co przyszedł? I dlaczego uparł się na rozmowę w cztery oczy?

- Jak liczna świta towarzyszy twemu bratu w Heathwater?

Zalała ją fala ogromnej ulgi. A więc przybył, by wypytać ją o liczebność armii Noela.

- Około tysiąca zbrojnych - skłamała gładko. Doskonale wiedziała, że najemników jest co najmniej dwakroć więcej.

- Tysiąc, licząc z ludźmi Harringtona?

Uciekła wzrokiem, domyślając się, że odpowiedź jest dla niego niezmiernie ważna.

- Powiem tylko tyle, że choć mój brat nie dysponuje aż tak licznym wojskiem jak ty, panie, czuje się bezpieczny, bo jest przekonany, że może liczyć na wsparcie.

- Czyżby? - W jednej chwili omiótł ją czujnym spojrzeniem. W bezlitosnym świetle poranka blizna na jego policzku wydawała się szpetniejsza niż zwykle.

- Armia Ashblane jest potężna. Chodzą słuchy, iż urosła w siłę aż nadto. Monarchowie lubią, by pogranicznych ziem strzegli budzący respekt, zręczni wodzowie. Zmniejsza to ryzyko obcych najazdów. Jeśli jednak owi wodzowie zyskują nazbyt wielką władzę, król ma powody do obaw i zaczyna spoglądać na nich nieco mniej przychylnym okiem.

Roześmiał się z nieskrywaną arogancją człowieka pewnego swej nieograniczonej mocy.



- Radzę ci nie łąać, pani. Nie pomożesz tym bratu.

- Jeśli zaś go zdradzę i powiem prawdę, zyskam jedynie tyle, że miast powolnej śmierci na mękach, zapewnię mu szybki i bezbolesny zgon? -

Alexander zignorował jej pytanie i zadał własne.

- Ile wart jest dla ciebie twój paż, Jemie?

Przez chwilę Madeleine wydawało się, że znowu zemdleje. Na wszelki wypadek oparła się bokiem o ścianę i zacisnęła powieki. Wszystkie zasłyszane opowieści o bezlitosnym okrucieństwie Ullyota nagle wydały jej się prawdziwie. To człek pozbawiony duszy, serca i honoru, a do tego przebiegły i szczwany jak lis. Bez wątpienia nie zbywało mu na rozumie. Nie mogła wręcz uwierzyć, że ta rozmowa przybrała raptem tak niespodziewany obrót. Czyżby czegoś się domyślał?

Zdesperowana postanowiła stawić mu czoło.

- Jeśli stawką ma być życie, panie, to wolałabym się targować o własne, a nie cudze.

- Zali to prawda, lady Randwick? Jeśli istotnie tak jest, ciekawym dlaczego?

Milczała. Nie miała śmiałości się odezwać. Czegóż na Boga, od niej chce?

- Pytam raz jeszcze, ilu Falstone ma ludzi?

- Trzy tysiące - wyrecytowała bez tchu. Podała mu wszystkie szczegóły, nie zatajając niczego. Wspomniała nawet o sojusznikach z zachodu. Chodziło o głowę jej siostry. Nie mogła ryzykować. Zachodziła tylko w głowę, dlaczego spytał o Jemie.

- Dziękuję - rzekł posepnie i bez wyrazu. Jego szarobłękitne oczy pozostały zimne, nieprzeniknione i odległe. Poczwała się zagubiona i jeszcze bardziej bezbronna niż kiedykolwiek przedtem. - Bezpieczeństwo mego klanu jest dla mnie kwestią pierwszorzędną wagi - ciągnął niewzruszenie. - Uczynię

wszystko, by chronić swych ludzi. Wszystko. Pamiętaj o tym, pani, a być może dożyjesz chwili powrotu do umiłowanego Heathwater.

Skinęła posłusznie głową. Wiedziała, że tego od niej oczekiwał i okazała posłuszeństwo, lecz Bóg jej świadkiem, że zrobiła to bez przekonania.

Umiłowane Heathwater, dobre sobie. Gdyby tylko mogła, własnoręcznie puściłaby zamek z dymem. A gdyby przy okazji Noel i Liam Williamson sześli w płomieniach, tym lepiej dla wszystkich. Dopadły ją duchy nienawistnej przeszłości. Zamknąwszy oczy, usłyszała jak żywe krzyki swego zamordowanego męża. Z ciężkim sercem opadła na najbliższe krzesło. Nie wolno jej się nad sobą roztkliwiać. Nie pora na to. Najpierw musi zadbać o siostrę, a potem...

Będzie się modliła z całych sił, by baron Ulyot zrównał siedzibę jej brata z ziemią. Tak, by nie pozostał po niej choćby jeden kamień.

Alexander wmaszerował zamaszystym krokiem do kaplicy. Szpaler zapalonych świec oświetlał mu drogę do katafalku, na którym spoczywało ciało Iana. Uniósłszy kraciasty koc, odsłonił głowę zmarłego i uczynił na zimnym czole znak krzyża. Potem sypnął solą we wszystkie cztery kąty pomieszczenia.

- Niechaj bies ostawi twą duszę w pokoju, bracie, by mogła trafić wprost do bram niebios. - Z pieczołowitością ułożył w rękawie poległego sztylet, który towarzyszył mu nieodłącznie za życia. - Będziesz pomszczony, przysięgam ci. Klnę się na nieśmiertelną duszę Marii Dziewicy i krew naszego Zbawiciela.

Zbawiciela? Kiedy to ostatni raz się modlił? W Crecy? W Aleksandrii? A może w Kairze? Podniósł wzrok, by spojrzeć na łukowate sufity i złocone obrazy na ścianach. Adam Armstrong był człowiekiem pobożnym, co znajdowało odzwierciedlenie w wystroju świątyni. Uwagę Alexa zwróciła szczególnie niewielka podobizna Matki Bożej, zapewne dlatego, że jej włosy miały tę samą ognistorudą barwę co włosy Madeleine Randwick. Potrząsnąwszy głową, przeklął w duchu jej alabastrową skórę, urodziwą twarz oraz moment, w którym wpadło mu do głowy, by ją pojmać.

Powinien natychmiast odesłać ją Noelowi Falstone'owi, temu jej okrutnemu braciszki. Zakładnicy nie przysporzą jego domowi świetności, przeciwnie, mogą mu jedynie zaszkodzić. Dotychczas zawsze starał się mieć na względzie przede wszystkim dobro Ashblane i jego ludzi. Tym razem jakaś niewidzialna moc pchała go ku temu, by złamał własne pryncypia i naraził na szwank interes całego klanu. I to za sprawą jednej płoczej niewiasty? Nie do wiary! Ale czy płoczej?

- Niby czemuż to miałbym nie posłuchać rozumu? - szepnął do siebie rozsierdzony. - Do pioruna, jakież ze mnie głupiec, skoro rozważam wleczenie jej ze sobą taki szmat drogi? Na cóż mi to? Kimże dla mnie jest, że ubrdałem sobie, iż wypada mi ją chronić? Nic, tylko rzuciła na mnie urok. Tak, niechybnie. Użyła na mnie swych piekielnych sztuczek.

Pulsujący ból w ramieniu przeszył go niespodzianie niczym ostrze miecza. Fala gorąca nieomal odebrała mu władzę w nogach. Poczul się chory i naprawdę obłożony klątwą.

Odetchnąwszy ciężko, podkasał rękaw, by obejrzeć z bliska ranę. Ciemnobrunatne, rozjątzone smugi ciągnęły się od łokcia prawie do obojczyka. Nawet w Kairze, z twarzą rozłupaną od szczęki aż po skroń, nie cierpiał tak wielkiej męki.

Przykładając rękę do boku, opadł na klęczki. Zakończywszy modły, podźwignął się z niemałym trudem i wyszedł na spotkanie oczekujących go żołnierzy. Miał nadzieję, iż niemoc, która opanowała jego członki, to jedynie chwilowa niedogodność. Oby ustąpiła, nim wyruszą do Ashblane. Miałby się z pyszna, gdyby na oczach swoich ludzi wypadł z siodła.

## *Rozdział trzeci*

Zmierzali ku północnemu zachodowi od bez mała trzech godzin. Zacinająca bez ustanku nieprzyjemna mżawka z wolna przechodziła w regularną ulewę. Madeleine z Jemie u boku jechała pośrodku kolumny, liczącej kilkuset konnych.

Próbując walczyć z przejmującym chłodem, który smagał jej twarz, zastanawiała się, jak długa jeszcze czeka ich droga, zanim wreszcie dotrą do celu.

Po jakimś czasie ich oczom ukazały się rozległe doliny Esk. Na drzewach zieleniło się listowie, a krzewy ugiwały się pod dojrzałymi jagodami. W oddali majaczył gęsty las.

Jemie po nocy wyraźnie nabrała sił i zaczęła wyglądać niemal krzepko.

W pewnym momencie jadący na czele Quinlan zawrócił konia i wstrzymał pochód. Niebawem dołączył do niego sam wódz. Madeleine już wcześniej wyczuła obecność Ullyota, zanim wyłonił się z kurzawy.

Z miejsca poznała, że ramię dokucza mu coraz bardziej - trzymał je pod nienaturalnym kątem. Jego ranom trzeba było czegoś więcej niż okładów, które zaaplikował mu medyk Armstronga. Powołanie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem i poczęła przyglądać mu się baczным okiem uzdrowicielki. Nie chciała przeoczyć żadnego z objawów.

Niezawodnie miał poty. Serce biło mu niemal dwakroć prężej niż powinno. Poznała to po pulsującej na szyi tętnicy.

- Rozbijemy na noc obóz - oznajmił zwięźle. - Las Liddesdale jest niebezpieczny, a nie zdołalibyśmy pokonać go przed zmrokiem. - Przesłoniwszy dłonią twarz, przebiegł wzrokiem po niebie, zapewne próbując odczytać z obłoków porę dnia albo przewidzieć odmianę pogody. Gdy spuścił głowę i ich oczy na moment się spotkały, Maddie nie dojrzała w nich chłodu, z jakim zwykł na nią spoglądać. To nic innego tylko efekt trawiącej go gorączki.

Przypuszczała, że mogło się wdać zakażenie. Jeśli tak, nie zostało wiele czasu do stracenia. Do rana wszystko przypadnie i jej pomoc na nic się nie zda.

- Trzeba ci czegoś, pani?

- Słucham? - Zdumiało ją to pytanie, nie mniej zresztą niż mars na jego czole.

- Pytam, czy czego ci nie trzeba. - Powędrował spojrzeniem do jej piersi. - Mogę przysłać medyka...

- Nie. - Przygryzła wargę, by nie powiedzieć więcej, i odwróciła wzrok. Niepotrzebnie. Już odjechał, a ona poczuła się niczym morderczyni.

Quinlan podszedł do niej, by pomóc jej zsiąść z konia.

- Dziękuję, żeś mi wczoraj pomógł, panie - odezwała się, opierając dłoń na jego ramieniu. To on sprowadził do jej komnaty opatuloną w koce Jemie.

W miejsce niechęci w jego oczach pojawiło się zakłopotanie.

- Twój paż, pani, wychwala cię pod niebiosa - rzekł z niejakim zdziwieniem. - Rzadko słyszał, by mały chłopiec trajkotał jak najęty.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- W otoczeniu tak mrukliwych kompanów każdy obcy mógłby uchodzić za gadatliwego.

Zmarszczył brwi.

- Alexander rozkazał ludziom trzymać się od ciebie z daleka, lady Randwick. Dla bezpieczeństwa. Chce cię przed nimi strzec.

- Po co?

- Od wczoraj należysz, pani, do niego. - Zerknął ukradkiem na jej pierś. - Jako branka. Myślałem, że to pojmujesz.

- A co, jeśli umrze?

Spojrzał na nią zaniepokojony, próbując odgadnąć, co miała na myśli.

- Ullyot jest niezwyciężony. Któż niby miałby go pokonać?

- Mój Boże... - Madeleine przeżegnała się i odwróciła głowę. Radość walczyła w jej duszy o lepsze z lękiem, gdy nagle zaczęła ogarniać rozumem sytuację.

Czy to możliwe, by groźny dziedzic Ashblane, postrach pogranicznych wiosek, pragnął ją chronić? Czy zdoła dzięki niemu wyswobodzić się spod jarzma Noela, Liama i samego króla Edwarda? Nawet jeśli Ullyot, wbrew jej woli, uczyni z niej nałożnicę, zyska dzięki niemu odrobinę czasu, by zaplanować zniknięcie. Może uda jej się zbiec i zapaść pod ziemię, aby prześladowcy na wieki zgubili jej ślad? Jakież to byłoby wspaniałe! Życ bez tego uciążliwego strachu, w ciągłej obawie, że nie dożyje jutra, wolna, z Jemie u boku. Zamknęła oczy, pozwalając, by nadzieja przewyciężyła bezsilność i rezygnację, do której nawykła przez lata niewoli w zamku.

Wszystkie oznaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że nie powinna się lękać. Przeciwnie, nareszcie miała powody do radości. Zyskała protektora w osobie wytrawnego wojownika, nieustraszonego wodza ogromnej armii, który nie miał sobie równych w całym królestwie. Nie zabił jej wczoraj, gdy uwalala mu podłogę resztkami niestrawionego śniadania. To dobry znak, uznała w końcu i z nowym postanowieniem odwróciła się do Quinlana.

- Bez mojej pomocy wasz wódz nie dożyje jutra - oznajmiła bez ogródek.

- Rzuciłaś na niego klątwę, czarownico? - Dobył miecza, czerwieniejąc na twarzy.

- Skądże! Miarkuj się, panie. Jestem uzdrowicielką.

Coś takiego było w jej głosie, że zatrzymał się i spojrzał na nią uważnie. Jego podkomendni zbiegli się na widok ostrza wymierzonego w Madeleine.

- Rany waszego pana nie zostały należycie oczyszczone - ciągnęła niewzruszona głosem pełnym powagi. - Za kilka godzin jego krew zacznie toczyć trucizna, a wtedy niczego już nie da się zrobić. - Powiedziała to bardzo spokojnie, lecz z mocą.

- Ubijmy wiedźmę! - rozległy się zuchwałe głosy oraz szczęknięcie sztyletów. - Tak jest, ubijmy!

- Dosyć! Rozejść się! - Rozkazał ostrym głosem Quinlan. - Nikogo nie będziem ubijać.

Żołnierze rozstąpili się niechętnie, lecz nadal wyczuwało się olbrzymie napięcie. Gdyby wyrzekła choć jedno słowo więcej, nawet on nie zdołałby jej ocalić. Milczała więc, czekając na dalszy rozwój wypadków. Wiedziała aż nadto dobrze, że bez natychmiastowej pomocy los Alexandra jest przesądzony.

Nie kwapił się z podjęciem decyzji. Maddie podniosła głowę i spojrzała w niebo. Zza chmur niespodzianie wychylnęło słońce. W ciężkich razach mężczyźni często uznawali takie zdarzenia za znak od Boga, który miał ich pchnąć do działania. Jakby czytał jej w myślach, Quinlan nagle się odezwał:

- Zabiorę cię do Alexandra, byś obejrzała ranę - oznajmił szorstko i polecił jej wsiąść na konia.

Jemie poderwała się na nogi, lecz Madeleine powstrzymała ją zdecydowanym gestem.

- Nie trzeba. Nic mi nie grozi.

Mała dłoń ścisnęła ją mocno za nadgarstek.

- Będiesz potrzebowała swych przyborów, pani - szepnął niepewny, zatroskany głosik.

- Jakich przyborów? - spytał podejrzliwie Quinlan.

- Lecznicych. Ziół i eliksirów. Większość została na polu bitwy, w miejscu, z którego mnie pojмалиście.

- Nasz medyk użyje ci swoich.

Szczeniem w kieszeniach pozostało jej sporo innych, własnych mikstur. Sporządzała je według skomplikowanych receptur babki. Powinny wystarczyć.

A jeśli nie wystarczą? Co będzie, jeśli okażą się nieskuteczne?

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, co może nastąpić, jeśli nie uda się jej uratować Ullyota. Lepiej myśleć o tym, jaka czeka ją nagroda, jeśli baron



przeżyje. Już teraz na przekór rozsądkowi czuła się wśród jego ludzi bezpieczna. Gdyby ocaliła ich pana, być może obdarzyliby ją choćby namiastką szacunku. Zyska również prawo do nagrody, a wtedy poprosi o bezpieczne sprowadzenie wuja z Heathwater. Tak, wszystko może jeszcze obrócić się na dobre. Dla Jemie i Goulta gotowa była podpisać pakt z samym diablem.

Stan Alexandra znacznie się pogorszył. Nie rozpoznał ich, gdy stanęli u wezglowia naprędce skleconych noszy. Pocił się obficie, pograżając w coraz większym delirium. Madeleine i Quinlan spojrzeli po sobie z jednakim przerażeniem.

Przygarbiony starzec, pełniący zapewne funkcję medyka, klęczał przy chorym z glinianym naczyniem pełnym pijawek. Część robaków zerowała już na ciele pacjenta. Maddie wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że upuszczanie krwi napytało rannemu dodatkowej biedy.

Odpędziwszy innych żołnierzy, Quinlan kucnął obok przyjaciela i chwycił go mocno za zdrową rękę.

- Alex!

Ullyot zareagował przeblyskiem świadomości i odwzajemnił uścisk. Gdy napiął mięśnie, z nadgarstka zaczęła mu spływać świeża krew. Właśnie wtedy, widząc wsiąkającą w piach brunatną smugę, jego przyboczny podjął ostateczną decyzję o tym, by pozwolić działać Madeleine.

- Możesz jeszcze coś dla niego zrobić, pani?

Wśród tłumu natychmiast podniósł się szum oburzenia, który wzmógł się w dwójnasób, gdy opadła przy wodzu na klęczki. Nie bacząc na groźne utyskiwania zgromadzonych, Maddy sięgnęła do stojącej na ziemi czarki i nabrawszy w palce soli, posypała nią pijawki, które w okamgnieniu zwinęły się w kłębki i odpadły od skóry Alexandra. Miała szczerą ochotę rozplatać je obcasem, lecz stary medyk poderwał się szybko, by je zebrać i pieczołowicie przechować w naczyniu z wodą.

- Będę potrzebowała wody - oznajmiła rzeczowo, dotykając rozpalonego czoła Ullyota. - I mocnej gorzałki. Najmocniejszej, jaką macie.

Niezwłocznie zaopatrzona w jedno i drugie, sięgnęła do kieszeni i wysupłała spośród halek swe mikstury oraz sztylet. Niemal w tej samej chwili poczuła na szyi ostrze miecza.

Nie zwróciła na to uwagi i dalej, klęcząc, przeglądała zawartość buteleczek.

- Odstap od niej, bo nie ręczę za siebie! - usłyszała ostry i pełen niepokoju głos Quinlana. Nawet się nie odwróciła, by spojrzeć na napastnika.

Otworzywszy flakon z jednym z eliksirów, poczęła rozcinać nożem szew na rękawie chorego. Co jakiś czas zerknęła przy tym na jego przybocznego, który obserwował każdy jej ruch.

- Zeszyje się z powrotem, kiedy dojdzie do siebie - rzekła bez ogródek, zauważając w jego niebieskich oczach podziw pomieszany z oburzeniem.

Wielu mężczyzn widziało w niej wiedźmę, lecz byli i tacy, którzy podziwiali jej uzdrowicielskie talenty. Przychylna postawa Quinlana dodała jej odwagi i przysporzyła leczniczej mocy. Przymknąwszy powieki, przyłożyła dłonie do skóry Ullyota, niemal czując pod palcami truciznę, toczącą coraz to nowe, zdrowe tkanki. Kontakt okazał się niemal bolesny w swej intensywności. Jakby zetknęła się z rozżarzonym polanem. Coś podobnego nie przytrafiło jej się nigdy przedtem. Przenigdy. Jednocześnie mogłaby przysiąc, iż pomimo braku świadomości, przez krótką chwilę próbował się jej opierać. Jakby mierzył go jej dotyk i za wszelką cenę próbował strząsnąć z siebie jej ręce. Serce zaczęło się tłuc w jej piersi miarowo, ale szybciej niż zwykle.

Z wahaniem zanurzyła ostrze sztyletu w głąb ran i otworzywszy je na nowo, wycisnęła całe nagromadzone zepsucie.

Żołnierze wnet poczęli jej złorzeczyć, lecz nie zważała na ich zabobonne biadolenia. Skoncentrowała się na oględzinach rannego. Kiedy uniosła rękę, by uciszyć gwar, umilkli w jednej chwili.

- Oto i przyczyna niemocy waszego pana. - Chwyciwszy łokieć pociągnęła go z całej siły w górę i przywróciła kościom i stawom ich właściwe pozycje.

Z wysiłku i przejęcia zaczął jej spływać pot między piersiami. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pacjent jest świadom jej zabiegów. Przewróciwszy go na brzuch, obejrzała postrzępione rozcięcie poniżej łopatki, która nosiła liczne ślady starych blizn, pamiątek po niegdysiejszych bojach.

Prawdziwy wojownik! Mój dzielny rycerz! Oczyma wyobraźni ujrzała obrazy bitew, w których brał udział, usłyszała tumult i krzyki walczących. Zebrała się w sobie, skoncentrowała swe siły i przyłożywszy palce do skaleczonych miejsc, jąła je uciskać. Jeszcze tylko kilka chwil, powtarzała sobie. Niebawem pojawi się zbawienne ciepło. Gdyby była sama, użyłaby leczniczego ognia, który nosiła w sobie, lecz tu ograniczały ją obyczaje i obecność innych.

Uśmiechnęła się, wyczuwając pod dłońmi wyczekiwane gorąco. Teraz mogła już być spokojna. Zyskała pewność, że śmierć ustąpiła, oddając go na nowo we władanie życia.

Odpoczęła na moment, po czym dosypawszy do gorzałki ziół, podsunęła czarkę do ust chorego.

- Co to jest? - powstrzymała ją ręka Quinlana. W powietrzu znów zawisła niewypowiedziana groźba.

Madeleine w milczeniu skosztowała odrobinę mikstury. Tylko w ten sposób mogła ich przekonać, że nie próbuje otruć wodza.

- W porządku.

- Musisz to wypić, panie - szepnęła, pochylając się nad Ullyotem, a następnie zdecydowanym i szybkim ruchem dotknęła jego szyi. Otworzył oczy jak na komendę i przełknąwszy napój kilkoma zachłannymi haustami, ponownie odpłynął w nieświadomość.

Zgromadzeni wokół mężczyźni jak jeden mąż uczynili na piersiach znak krzyża, jak zwykle, gdy działo się coś, czego nie obejmowali rozumem. W Heathwater tylko nieliczni mieli odwagę patrzeć jej prosto w oczy. Z tymi tutaj od dziś będzie podobnie. Jedyne Quinlan przyglądał jej się z wyważonym spokojem.

- Będzie żyw.

- Zawsze ufasz bez miary swym umiejętnościom, pani? - zapytał sceptycznie.

Zignorowała pytanie i dotknęła czoła chorego.

- Gorączka powoli odpuszcza. To dobry znak. Do rana znacznie mu się polepszy. - Przesuwając palce między jasnymi włosami natrafiła na guz po uderzeniu. Żyjesz na granicy życia i śmierci, pomyślała nagle. Tak jak ja. Przez moment doznała wrażenia, że pojawiła się między nimi jakaś nieuchwytna więź. Zaskoczona i wystraszona, pospiesznie cofnęła dłoń.

Quinlan źle odczytał ten odruchowy gest.

- Stało się coś? Coś nie w porządku?

- Nie, to nic. Wszystko dobrze - skłamała i odwróciła się, by pozbierać resztki medykamentów. Oczyszczywszy nóż, podwinęła spódnicę i odcięła okazały kawałek halki na bandaż. Potem polała je gorzałką i owinęła ciasno wokół ran. Podczas unieruchamiania łokcia chory zaczął się rzucać, starała się więc jak najrychlej dokończyć dzieła. Od lat nie zajmowała się kimś, kto leżał tak nieruchomo, znosząc bez słowa skargi bolesny zabieg nastawiania przemieszczonej kości.

Gdy otworzył na chwilę oczy, zabrała ręce. Na wszelki wypadek postanowiła unikać kontaktu z jego skórą. Nie była pewna, jak by zareagował. Wolą nie ryzykować, zwłaszcza że powoli wracała mu przytomność. Lepiej, żeby jej przy nim nie było, kiedy się ocknie.

- Gotowe - obwieściła, podnosząc się z klęczek i rozmasowując odrętwiałe plecy. Zbyt długo siedziała zgięta w pół. Odchodząc, z rozmysłem

unikala wzroku mężczyzn. Jak zwykle w takich chwilach, gdy musiala uzywac swojej uzdrawiajacej mocy, zaczelo ja ogarniac zmeczenie i pojawial sie bol glowy.

Dwie godziny pozniej wezwano ja do Ullyota, ktory dochodzil juz do siebie.

- Quinlan rzecze, ze jesteś, pani, wiedźmą - odezwał się osłabionym głosem. - Moi ludzie powiadają to samo. Ponoć czarami wypędziłaś ze mnie chorobę.

- Mając na względzie wątpliwy kunszt twego medyka, panie, wcale się nie dziwię, iż powzięli takowe podejrzenie.

Odchylił głowę i roześmiał się, lecz jego oczy pozostały niewzruszone.

- Nie lękałaś się ich mimo jawnej wrogości?

Patrzył teraz wprost na nią, a jego oczy lśniły, jakby odbijało się w nich zachodzące słońce. Miały kolor żywego srebra i malowała się w nich złość. Wyczuwając niemal namacalną niechęć, odrzekła wojowniczym tonem:

- Raz położywszy na tobie ręce, panie, wiedziałam, że potrafię cię ocalić. Gdybym uznała, że nie można ci pomóc, mogłabym udawać niewiedzę i przyglądać się z boku, jak wydajesz ostatnie tchnienie.

- Zanim cię do mnie dopuścili, zdążyłaś już wszelako obwieścić, iż nie dożyję jutra. Uznali to za klątwę.

Nie odpowiedziała, a on zaklął cicho pod nosem i umościł się wygodniej, by nieco ulżyć obolałej ręce.

- Quinlan mówi - ciągnął po chwili, że zamknęłaś oczy i kołaś mą krew palcami, potem zaś nakazałaś im się uciszyć, by wsłuchiwać się w chrzęst kości. Tak czynią czarownice. Każdy to potwierdzi.

- Twoi ludzie, panie, wygadują brednie. - Zauważyła, że z bliska jego oczy nabierają odcienia błękitu. Spoglądały na nią tak otwarcie, że poczuła się zbita z pantałyku. - Sprawdzam, czy gorączka ustępuje - wyjaśniła, kładąc mu rękę na czole.

- Już ustąpiła - odparł beznamiętnie.

- A rany? Czy ból się wzmaga?

- Nie.

- Muszę je obejrzeć.

Wyraźnie zeszywniał, lecz nie protestował, gdy pochyliła się i ujęła w dłoń chore ramię. Było zdecydowanie bardziej rozpalone, niżliby sobie tego życzyła, ale cięcia powoli się zasklepiały a poranione ciało nabierało zdrowszej barwy. Podobnie rzecz się miała z obrażeniami na plecach. Z kieszeni wyjęła parę leczniczych proszków i dodała do nich kilka kropel wody.

- To schłodzi ranę i przyniesie ulgę - rzekła, wmasowując maść.

- Dosyć! - Chwycił ją mocno za rękę. - Wystarczy, lady Randwick. Już mnie, pani, uleczyłaś. - Wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu. - Plotki o twych niezwykłych zdolnościach nie są jak widać bezpodstawne.

Urażona, wyrwała mu dłoń i śmiało zajrzała w oczy.

- Rozumiem, że pragniesz, panie, podziękować mi teraz za pomoc? - zapytała, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie.

Roześmiał się w głos, ściągając uwagę żołnierzy, którzy w okamgnieniu zbiegli się zewsząd z mieczami w pełnej gotowości. Odprawivszy ich gestem, Ullyot zwrócił oczy z powrotem na Madeleine.

- Jak miemam, mężczyźni często okazują ci wdzięczność? Jego słowa zostały wymierzone jako obelga i dosięgły celu.

Zebrała się w sobie, by nie okazać, jak bardzo ją dotknął. Nie raz i nie dwa czuła na sobie taki sam wzrok, jakim teraz na nią patrzył. Przez moment było jej przykro, że akurat on spogląda na nią z taką niechęcią. Nim zebrała się na odpowiedź, podniósł się na nogi i z grymasem bólu opuścił ramię.

- Pozwól mi obwiązać je bandażami, panie - zaproponowała, zapominając, że chowa do niego urazę. Była nade wszystko uzdrowicielką, a dopiero potem kobietą.

- Nie trzeba. Mam to. - Wyjąwszy z kieszeni skórzane pasy, użył ich jako temblaka i postąpił w jej stronę.

Podniosła się z klęczek, wyczuwając, że nie zakończył jeszcze rozmowy.

- Jestem twym dłużnikiem, lady Randwick - rzekł, jakby wypowiedzenie tych słów sprawiało mu co najmniej tyle samo bólu, co świeże rany. - Jeśli życzysz sobie czegoś w zamian, wypowiedz swe życzenie, a zrobię, co w mej mocy, by uczynić mu zadość.

- Wyciągnij z Heathwater mego wuja, panie, i udziel mu schronienia u siebie - odparła bez zastanowienia.

- Po co ci to? - zainteresował się, nie kryjąc zdumienia.

- Bo w przeciwnym razie Noel go skrzywdzi.

- Obchodzi cię to?

- Owszem, nawet bardzo. Przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

- Wiesz, pani, jak cię zwą na szkockim dworze?

Milczała uparcie. Oczy skierowała w dół, widać było jej drgające powieki.

- Nazywają cię Czarną Wdową.

Lucien, pomyślała z poczuciem osaczenia.

- Powiadają, że łaski pani z Heathwater nie sprzyjają ani męskiemu sercu, ani zdrowiu. Lucien Randwick miał zaledwie osiemnaście wiosen, kiedy zostaliście sobie poślubieni, a nie dożył nawet dwudziestu sześciu. Gdy w zeszłym roku na Boże Narodzenie pięć mil od twego zamku znaleziono ciało pewnego barona, w jego zapiskach znalazło się coś, co jakoby miało świadczyć, że w przeszłości dzieliłaś z nim łóżko. Ludzie zaczynają gadać, że owe nagłe zgony to nie przypadek. Ciekawym tylko, czemuż to sam jeszcze dycham? Mogłaś dziś przecie milczeć i spokojnie pozwolić mi umrzeć.

- Owszem, mogłam - odparła spokojnie, trzymając emocje na wodzy. Podniosła oczy na niego, nie bała się. Dzięki obcowaniu z bratem doszła w tej sztuce do perfekcji. Ullyot może sobie wierzyć, w co mu się żywnie podoba.



Ludzie zawsze wygadywali o niej niestworzone historie i posądzali ją Bóg jeden wie o jak niegodne występki. A jednak... jego posądzenie sprawiło jej niewysłowioną przykrość. Ścisnęło ją za gardło, a w oczach stanęły jej łzy. Odwróciwszy pospiesznie głowę, otarła twarz rękawem, jakby dopadło ją zmęczenie. Nigdy nie płakała. Przenigdy. Teraz też przywołała na twarz uśmiech.

Jezusie Nazareński, pomyślał Alex, niespodziewanie rażony prawdą. Ona wcale nie zamordowała Luciena. Zbyt wiele czasu spędził na wojaczce, by nie rozpoznać skrytobójczym. Poczuł niezrozumiałą ulgę, a zarazem gniew. Pragnął nienawidzić Madeleine Randwick tak samo, jak nienawidził jej brata, lecz zwyczajnie nie mógł. Nie był do tego zdolny, a gdy to pojął, rozsierdził się w dwójnasób.

- To Noel...

- Co Noel? Nie rozumiem... O czym mówisz, panie?

- To Noel zabił ich wszystkich - powtórzył nieco głośniejszym i z większym przekonaniem. - Luciena i innych. Że też wcześniej na to nie wpadłem. Chytrze to sobie obmyślił, szelma. Byłaś, pani, jego wymówką. Pretekstem dla zachowania pozorów.

Przez krótką chwilę miała przemożną ochotę skłamać, zbyt dobrze pamiętała jednak ostrze swego sztyletu zanurzone w szyi męża. Wspomnienie było nazbyt świeże i uchwytnie. Pamiętała dokładnie jego zdumiony wzrok i złożone w błagalnym geście dłonie. Odepchnęła je i zaczęła do momentu, aż zyskała całkowitą pewność, iż uszło z niego życie. Lucien Randwick, złotowłosey, roześmiany syn księcia Dromorne, zgładzony w kwiecie wieku.

- Nie, to ja zasztyletowałam Luciena - wyznała mu prawie szeptem, z pobladałą twarzą.

- Ale nie pozostałych?

- Nie. Nikogo więcej.

Głos nawet jej nie zadrżał, lecz oczy zdradzały niewypowiedziany smutek i strach. Nie zdołała ich zamaskować, choć skrywanie przed światem prawdziwego oblicza niewątpliwie było jej mocną stroną. Nie obnosiła się ze swą magią, a przecie to musiała być magia. Skóra na plecach wciąż paliła go od jej dotyku, choć upłynęło już kilka godzin, odkąd opatrywała mu ranę.

Magia i mord. Mord, do którego mężnie się przyznawała. Trzęsła się teraz na całym ciele, zaciskając pięści tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie.

- Randwick był mi przyjacielem - odezwał się wyrozumialszym tonem.

- Lucien?

- Nie, Malcolm, jego ojciec. Ubiegłego lata odebrał sobie życie.

Schwyciła dłońmi fałdy spódnicy.

- Malcolm Randwick nie żyje? Nie wiedziałam. Podarował mi kiedyś bukiet przebiśniegów i złoty wisiołek. A kiedy Lucien nie widział... - urwała gwałtownie. - Prawy był z niego człek. Prawy i czcigodny.

- Nie taki jak jego syn?

Zaskoczyło ją to pytanie. Nie ufając własnemu głosowi, skinęła tylko głową. O dziwo, dostrzegła w chłodnych zazwyczaj oczach Alexandra coś na kształt współczucia, a także... Nie, nie myliła się. To był gniew.

Po raz pierwszy od dwóch lat wstyd i hańba z powodu czynu, jakiego się dopuściła, zbladły w obliczu niecných postępów jej brata. Zrozumiała raptem, że Noel miał w tym zabójstwie swój udział. To nie była jej wina. Niecała i nie tylko jej. Nie była pewna czy zdoła podźwignąć uczucie tak wszechpotężnej ulgi.

Alex milczał, by nie zdradzić się z targającymi nim emocjami. Czy ten psubrat Randwick podniósł na nią rękę, zastanawiał się, prześlizgując wzrokiem po delikatnej, alabastrowej skórze na szyi i ramionach Madeleine. Ciche przekleństwo, które spłynęło niespodzianie z jego warg, niosło w sobie ogrom treści. Dalszy ciąg rozmowy okazał się równie znaczący. Roztrząsanie sekretów państwa pozwoliło im nawiązać kruchą nić porozumienia.

- Zostałaś pani zaślubiona Randwickowi jako dziecko?

- Tak.

- Z woli króla Edwarda?

- Tak. - W jej oczach malował się prawdziwy ból.

- Żona Malcolma Randwicka była kuzynką Edwarda. Król wiedział o jego stanie.

O jego stanie? O Boże...! Do Maddie dopiero teraz dotarła okrutna prawda. Lucien był szalony. Zawsze! Wiedzieli o tym wszyscy. Jego ojciec, jej brat, a teraz okazuje się, że nawet Alexander Ullyot. Tylko ona nie była niczego świadoma. No pewnie, bo i po cóż mieliby jej o tym mówić?

- Ach tak. - Przypomniała sobie teraz okazałą sumę, którą brat otrzymał w zamian za oddanie jej ręki Randwickowi. Jej dobro zostało poświęcone w imię doraźnych interesów. Nieraz Noel wykorzystywał ją do własnych celów. Robił to po wielokroć. Uczynił z niej w oczach świata morderczynię i uwięził we własnym domu, bo tak było wygodnie nie tylko jemu, ale i Edwardowi, władcy Anglii. Dopiero teraz pojęła, czemu to pod najrozmaitszymi pretekstami przysyłano do jej prywatnych komnat obcych mężczyzn i czemu to wciąż wymieniano służbę. Tym sposobem łatwiej było rozsiewać plotki, jakoby Madeleine Randwick była wiedźmą albo dopadło ją szaleństwo. Potem wystarczyło tylko zamknąć ją w odosobnieniu jako opętaną i niebezpieczną dla otoczenia.

Czarna Wdowa, pomyślała z goryczą. Te okrutnie słowa nierzadko docierały do jej uszu na korytarzach zamku Heathwater.

- Powinieneś odpocząć, panie. - Nie chciała kontynuować tej rozmowy. Bała się, że nie wytrzyma, że natychmiast rozboli ją głowa albo straci dech. Gdyby zapytał o szczegóły dnia, w którym zabiła męża, nieoczekiwana serdeczność w jednej chwili zniknęłaby z jego oczu. Owinęła się szczelniej peleryną z zamiarem odejścia. Powstrzymał ją jednak, kładąc jej rękę na ramieniu. Zadrżała pod wpływem tego dotyku.

- Jeśli cię to pocieszy, pani, rzeknę, iż zabiłem setki ludzi. Nie tylko w ferworze walki. Mimo to nadal żyję i oddycham.

Po raz pierwszy od długich miesięcy na policzkach Maddie pojawił się uśmiech, a wraz z nim dołączki. Nie spodziewała się usłyszeć z jego ust słowa otuchy.

- Dziękuję za pokrzepienie, panie - odparła z uśmiechem.

Stała jeszcze jakiś czas w miejscu, przyglądając mu się, gdy odchodził. Poruszał się między drzewami z wdziękiem i lekkością, jakie rzadko spotyka się u mężczyzn o tak potężnej posturze.

Alexander Ullyot był panem samego siebie. Chadzał swoimi ścieżkami, nie bacząc na rządzące światem prawidła i kodeksy. Z właściwą sobie swadą i niezłomnością kierował się wyłącznie własnym sumieniem i własnymi zasadami. Kiedy się oddalił, Madeleine doznała nagle niewytłumaczalnego poczucia straty. To pewno skutki brak snu, pomyślała, przymykając ociężałe powieki. Lekko oszołomiona oparła się o pień najbliższego drzewa.

- Lady Randwick - usłyszała raptem za plecami nieznajomy głos. - Mam cię, pani, odprowadzić do twego pazia. Brian the Tall - przedstawił się. - Kuzyn Alexandra. Kazał ci to dać. W dowód wdzięczności za medykamenty, którymi go uleczyłaś. - Z tymi słowy wręczył jej piękny, ozdobiony muszelkami bukłak. - To dzieło Gilliona.

- Kim jest Gillion?

- Synem Alexa.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Ullyot jest żonaty? Uniosła gwałtownie brodę, by rozmówca nie zauważył jej zmieszania. Jeśli w Ashblane oczekuje go żona, to dla niej i dla Jemie nie ma tam miejsca. Nie mogą się zatrzymać w jego domu. Jej plany, a może i marzenia, spełzną na niczym.

Z przejęcia tak mocno zacisnęła dłoń na skórzanym podarku, że ostre końce muszelek poraniły jej skórę i spod palców zaczęła spływać krew.

Odwróciwszy wzrok, Brian przeżegnał się z przestachem w oczach, jakby chciał odpędzić złe moce.

Nie zdziwił jej ten zabobonny gest. Wszak był wśród tych, którzy obserwowali jej poczynania, gdy opatrywała wodza. Żałowała, iż nie może mieć w nim przyjaciela. Jego łagodny głos świadczył o prawym charakterze i przypominał jej lepsze czasy. Czasy, kiedy w jej życiu było miejsce na radość i śmiech.

Lecz cóż, podły los znów skazuje ją na tułaczkę po ziemi niczyjej. Próżno łudziła się nadzieją na ocalenie czy choćby doraźne schronienie. Znikąd pomocy. Znikąd ratunku, pomyślała ponuro. Cóż teraz wypada jej czynić? Co może zrobić, aby przeżyć razem z Jemmie? Delikatną, cichą Jemmie?

Za nic w świecie nie wróci do Heathwater, a w twierdzy Ullyota również zostać nie powinna. Godzić się na dolę nałożnicy w zamian za obietnicę bezpieczeństwa to jedno, ale dzielić łożę z mężem w obecności żony i dzieci? Przenigdy. To zwyczajnie nie uchodzi.

Przygryzwszy nerwowo wargę, natychmiast poczuła w ustach smak krwi. Że też Bóg obdarował niewiasty tak słabowitym ciałem. Wiele by teraz dała za odrobinę męskiej krzepy.

Oby jej dzisiejsza postawa wzbudziła w Ullyocie cień sympatii. Liczyła, iż będzie jej na tyle wdzięczny, by nieco złagodzić rygor wartownikom. Gdyby strzegło jej mniej ludzi, być może niebawem nadarzyłaby się sposobność ucieczki. Naturalnie musi zabrać ze sobą Jemmie. Zmarszczyła w zamyśleniu brwi. Obóz znajdował się w miejscu zupełnie jej nieznanym. Nawet gdyby udało się im zbiec, deptałoby im po piętach dwustu uzbrojonych po zęby żołnierzy z Ullyotem na czele.

Zafrasowana odtworzyła w myślach ich niedawną rozmowę. Czy Alexander, tak jak przedtem Noel, bezwzględnie wykorzysta wiedzę o jej zbrukany krwią małżeństwie do własnych celów? Wystarczy, że oskarży ją o zaplanowany mord, a nie o zabójstwo w obronie własnego życia. Mógłby też

bez trudu zarzucić jej uprawianie czarnej magii. Wszak jego ludzie od początku widzą w niej czarownicę, a nie uzdrowicielkę. Zapewne ochoczo to potwierdzą, jeśli zajdzie potrzeba. Czy ich wódz zdecyduje się ją pognać? Czy odeśle ją na dwór któregoś z królów, Edwarda - do Anglii bądź Davida - do Szkocji, by tam stanęła przed sądem i została skazana? Jest przecie nieślubnym synem jednego z braci Roberta the Bruce'a. Czyż nie tak o nim powiadają? Pierwszy raz w życiu żałowała, że tak mało uważnie wsłuchiwała się swego czasu w pełne plotek dysputy Noela i jego kochanka, Liama Williamsona. Daj Boże, by jutro nie odesłano jej na północ. Daj Boże, by pozwolono jej ocalić życie. Daj Boże, by Ullyot nie wierzył ślepo w literę prawa. Daj Boże, by pociecha, którą jej niedawno ofiarował, okazała się szczerą.

Takie myśli krążyły jej w głowie nieustannie, a pojedyncze krople krwi ściekały z jej poranionych przez muszelki palców i wsiąkały w ziemię.

## *Rozdział czwarty*

Ujrzała zamek z daleka. Okazał się tak szkaradny, jak go opisywał Terence. Z tą różnicą, że w rzeczywistości wyglądał jeszcze posępniej. Mury wznosiły się na bodaj trzysta metrów, a choć wyteżała wzrok, nie dostrzegła ani śladu okna. Jemie sprawiała wrażenie zaskoczonej i przerażonej. Nie spodziewały się wprawdzie pałacu, ale coś takiego... przechodziło wszelkie wyobrażenie. Jediną zaletą tej monstrualnej budowli była niewątpliwie jej solidna konstrukcja, która pozwalała przypuszczać, iż twierdza przetrwa co najmniej kolejne pięćset lat.

Ashblane.

Zamek był zdobyczą wojenną darowaną Ullyotowi w zamian za lojalność wobec stryja, Roberta the Bruce'a, po wojnie o niepodległość, którą Szkoci stoczyli ze zniechęconymi Anglikami. Zbudowano go wieki temu z kamienia. Stał się fortecą nie do zdobycia.

Niebawem w dolinie rozległy się dźwięki dudów, a gdy z rumorem otwarto podwoje, z dziedzińca wysypały się tłumnie białogłowy i dziatwa, by powitać ojców i mężów. O dziwo nikt nie wybiegł na spotkanie Ullyotowi. Przeciwnie, ludzie zdawali się przed nim rozstępować. Odsuwali się zapewne po to, by mógł swobodnie przeprowadzić konia przez zwodzony most i wjechać na podwórzec.

Maddie starała się nie patrzeć na twarze mieszkańców Ashblane. Wiedziała, iż wyczytałaby z nich jedynie nienawiść i wzdarcę. Wszak wieść o tym, że była siostrą Noela Falstone'a, ich zaprzysięgłego wroga, dotarła zapewne do wszystkich. Jej uszu dobiegały jęki i zawodzenia tych, którzy wśród spoczywających na wozach ciał odnaleźli swych krewnych. Uspokoiwszy lekko znarowioną klacz, zaczęła się zastanawiać, co może dalej czynić.

- Zsiądźcie z konia i chodźcie za mną! - wrzasnął Quinlan, próbując przekrzyczeć ciżbę.

Skinęła posłusznie głową i zsunęła się ostrożnie na ziemię. Rozprostowała obolałe od długiej jazdy członki i pomogła zejść z siodła siostrze.

Przedśionek, w którym się rychło znalazły, wyglądał niebywale wręcz pospolicie. Pozbawione ozdób ściany świeciły pustkami. Nie było żadnych gobelinów, wyszywanych krzesel czy mis z kwiatami. Jediną dekorację stanowił zawieszony nad paleniskiem wypchany jeleni łeb.

Alexander Ullyot rozmawiał z jakimś nieznanym jej mężczyzną, ogrzewając ręce nad płomieniami. Nie nosił już temblaka, lecz wciąż trzymał ramię w nienaturalnej pozycji. Zaklął nieobyczajnie, gdy jeden z kręcących się u jego nóg psów, niechcący go potrącił.

Czy jeszcze dziś zaciągnie mnie siłą do swej łóżnicy? - zastanawiała się z biciem serca Madeleine. Zmierzchało. Może zechce zabawić się z nią już teraz? Sprawiał wrażenie człowieka, który nie ma zwyczaju czekać po próżnicy, zwłaszcza wtedy, gdy rzecz tyczy się niewiasty. Był istnym uosobieniem męskiej siły. Dlaczego w pobliżu nie widać jego żony i dzieci? Gdzież się mogą podziewać?

- Odprowadzą cię teraz, pani, wraz z giermkim, do twej komnaty - gospodarz zakończył dysputę i zwrócił się wprost do niej. - Każę posłać wam jadło i świeżą wodę.

- Czyż nie macie w zwyczaju spożywać posiłków wspólnie, panie? W westybulu? - zapytała impulsywnie, próbując grać na zwłokę.

- Nie dziś - odparł ściszym głosem. - Wpierw musim pogrzebać zmarłych. - Odwróciła wzrok, widząc w jego oczach ból.

- Ian - powiedziała bezwiednie, przypomniawszy sobie imię, które przywoływał, trzymając w ramionach poległego przyjaciela.

- Co takiego? - W mgnieniu oka pokonał dzielący ich dystans i stanął tuż przy niej.

- Twój druh, panie. Widziałam, jak zginął.



- Boże przenajświętszy! - Jego szare źrenice ciskały gromy gniewu. -  
Zatem to prawda, co o tobie powiadają. Uwielbiasz widok przelanej krwi. -  
Skrzywił się z niesmakiem i odszedł.

- To bardzo roztropnie, panie, że z taką uwagą wsłuchujesz się w  
opowieści o niewiastach z rodu de Cargne - odcięła oziębłym tonem, który, o  
dziwo, zwrócił jego uwagę.

Gdy na nią spojrział, zmusiła się do uśmiechu. Niech wierzy we wszystko,  
co plotą o jej rodzinie. Naznaczył ją jako swoją. Wciąż czuła na piersi ślad jego  
sztyletu. Podobnie jak w Heathwater, tu też potrzebowała ochrony. Mężczyźni  
zazwyczaj pożądamy kobiet, które łatwo im zrozumieć, kobiet spolegliwych i  
słabych. O jej sile stanowiła magia oraz potęga uprzedzeń i zabobonów. Ulegali  
im nawet tak dzielni i nieustraszeni rycerze, jak Ullyot.

Przez moment zdawało się jej, że ją uderzy. W rzeczy samej postąpił  
nawet krok w jej stronę. Spojrzała ostrzegawczo na Jemie, która wyraźnie  
poczerwieniała na twarzy. Modliła się w duchu, by siostra zachowała rozsądek i  
nie usiłowała jej przed nim bronić. Mogłoby to przynieść tragiczne skutki dla  
nich obu.

- Chcesz, pani, za wszelką cenę ściągnąć na siebie śmierć? - zapytał z  
nieszczera uprzejmością.

- Nie pojmuję, o co.

- To pojmij. - Nim się zorientowała, co się święci, wyciągnął jej z  
kieszeni sztylet i rzucił go na ziemię. - Jak na czarownicę masz, pani,  
zadziwiająco niewinne oblicze, lecz strzeż się. Jeśli któryś z moich ludzi  
zobaczy cię przy mnie uzbrojoną, skróci cię o głowę, nim zdążysz pomyśleć, jak  
się przed nim wytłumaczyć. - Uniósłszy dłoń, objął lubieżnym gestem jej pierś.  
- Wiedźma nie wiedźma, szkoda by było takiego ciała.

- Zawsze mam ten sztylet przy sobie, panie. Rozcinałam nim twoje rany i  
czyściłam je. Wszyscy to widzieli. - Maddy odsunęła się odruchowo, czując, że  
jego palce wypalają jej skórę. Jak zwykle zdeprymował ją samą swoją posturą.

Bez trudu mógłby ją zabić jednym uderzeniem ogromnej pięści. Wiedziała, że nie powinna kusić losu. Nie potrafiła jednak dłużej milczeć.

- Twej żonie nie spodobałyby się pewnie te karesy.

- Mnie nikt niczego nie dyktuje, lady Randwick, ani niczego mi nie zabrania. Jako pan na zamku mam prawo sam wybierać sobie niewiasty.

- Nie godzi się szlachetnemu panu zniewalać ich siłą. - Wyprostowała się, żałując, że Bóg poskąpił jej wzrostu. - Jeżeli nie wierzysz, spytaj małżonkę, panie. Jestem pewna, że to zacna białogłowa.

Jego spojrzenie złagodniało i nabrało odrobinę ciepła.

- Niezmiernie rad, iż nie posiadaś, pani, umiejętności czytania w myślach - skwitował enigmatycznie, po czym, powiedziawszy coś po celtycku do Quinlana, podniósł z podłogi sztylet, ale go jej nie oddał.

Madeleine odwróciła się, by sprawdzić, czy Jemie jest bezpieczna. Szczęściem siostra skryła się za jej plecami. Co z nami teraz będzie? - myślała w popłochu. Gdzie położą je do snu? Czy dostaną obiecany posiłek? Zaczynała boleśnie odczuwać brak strawy. Od niemal dwóch dni nie miała niczego w ustach.

Wtem z korytarza wpadł do izby wyrostek, może pięcioletni, a tuż za nim ukazała się uniesiona wysoko miotła.

- A kysz! A kysz, ty mały nicponiu! Czekał, niech no cię dopadnę, gałganie! - Darła się wniebogłosy dziewczka służebna, która nijak nie mogła dogonić chłopca.

Maddie wystarczyło jedno spojrzenie, by pojąć, że mały jest synem Ullyota. Miał te same szaroniebieskie oczy i płowe włosy. I patrzył na świat z tym samym dystansem, co ojciec. Jakby był nieobecny. U tak małego dziecka wydawało się to szczególnie nienaturalne i z miejsca wzbudzało litość.

- Postradałaś zmysły?! - zwróciła się zdecydowanie ku służącej i zastąpiła jej drogę. - Cóż on ci zawinił?

- Skradł bułeczki przeznaczone na wieczerę - odparła żałośnie młódka. Mimo bruzd na czole nie mogła mieć więcej niż kilkanaście lat.

Madeleine zerknęła na malca, oczekując wyjaśnień, lecz ten przyglądał jej się tylko ukradkiem, przeżuując w najlepsze przywłaszczony łąkocie. Dzieci zazwyczaj wypierają się swych złych postępów, zdziwiła się, marszcząc brwi. Gillion nie próbował się schować ani nawet nie strzepnął z kubraka obciążających go okruchów.

- Czemu wzięłaś ciastka bez pozwolenia? - zapytała łagodnie, schylając się, by widział jej twarz. Natychmiast spostrzegła, że mały nie patrzy jej w oczy, lecz na usta.

- Bo jest durny i nierozgarnięty, a w dodatku głuchy jak pień - wyjaśniła zrzędliwie mała służąca.

Zauważywszy kątem oka, że jego prześladowczym znów unosi miotłę, chłopiec okręcił się na pięcie i puścił się biegiem po schodach w górę.

Przyglądający się całej scenie Quinlan, podchodził do zajścia z wyjątkową rezerwą. Nie skomentował go w żaden sposób ni gestem, ni słowem.

- Lady Randwick, mam rozkaz odprowadzić cię do izb, w których ty i paż będziecie spali - oznajmił, celowo unikając wzroku Maddie.

To dobry czy zły omen, zastanawiała się przejęta. Jej palce odruchowo powędrowały do szyi, by potrzeć krzyżyk. Opuściła dłoń natychmiast, gdy uzmysłowiła sobie, co robi. Nie dalej jak tydzień temu Noel zbeształ ją za podobne, niemądre gesty. Brat wciąż jej powtarzał, że powinna wyzbyć się nawyków z dzieciństwa, twierdząc słusznie, że niczemu nie służą, a są jedynie oznaką słabości. Wstrzemięźliwość i umiar w okazywaniu emocji to maksyma Falstone'ów. Także ich kobiet, bo te, które się do niej nie stosują, czeka sroga kara. Mimo strachu przed bratem nigdy nie próbowała się do jego nauk stosować.

Zachowaj rezerwę, bądź silna i trzymaj fason, choćby niebo zważyło ci się na głowę, przypomniała sobie teraz słowa matki. Do nich warto się stosować.

Nie może sobie pozwolić na żaden impulsywny czy nieprzemyślany czyn. Ktoś mógłby potem zechcieć wykorzystać to przeciw niej.

Uniósłszy dumnie podbródek, poszła za nim do położonej na tyłach zamku komnaty z widokiem na jezioro. A więc jednak są tu jakieś okna, ucieszyła się, oddychając z ulgą.

- Pani, zostaniesz tutaj - poinformował ją sucho Quinlan.

- Pacholek zaś będzie czekał za ścianą, dopóki nie znajdziemy mu jakiegoś zajęcia. Wieczерę przyślą, jak tylko będzie gotowa.

- Dziękuję - odparła drżącym głosem. Musiała przygryźć wargę, by nie zapytać gdzie, a raczej w czyim łóżu będzie spała.

- Obrzędy żałobne zajmą Alexandra na kilka najbliższych dni - rzekł, jakby czytał w jej myślach. - Nie będzie cię niepokoił. - Gdy spojrzał na nią przelotnie, dostrzegła w błękitnych źrenicach zakłopotanie i prawość. Tym sposobem zyskała pewność, iż jest człowiekiem honoru. Wypełniał wprawdzie rozkazy przywódcy, lecz nie pochwalał tego, że Ullyot ją więzi. Wyczytała to z jego oblicza. Może uda jej się go przekonać, aby puścił ją wolno? Czy ośmieli się poprosić, by pomógł jej i Jemie w ucieczce?

- Jestem szlachetnie urodzoną damą - zaczęła z wolna, po raz pierwszy w życiu żałując, iż wzorem innych niewiast nie posiadała umiejętności zalewania się łzami na zawołanie.

- Wasz pan nie ma prawa przetrzymywać mnie tu wbrew mej woli. Zechciej mi pomóc, a...

Nie dane jej był skończyć.

- Damy nie noszą na ciele znaków, którymi naznaczyli je kochankowie, ani nie karmią oczu obrazami bitew, w których giną nobliwi rycerze. Nim znów poprosisz kogoś o to, o co zamierzałaś poprosić mnie, radzę ci, pani, zapamiętać, iż rozkazy naszego wodza to świętość. Nikt nie śmie podawać w wątpliwość ich słuszności. Za zdradę płacimy głową, a twoje życie z pewnością nie jest warte więcej niż życie któregokolwiek z nas. Jeden fałszywy krok,

Madeleine Randwick, a zostaniesz pogrzebana razem z tymi, których ciała składamy dziś do ziemi.

Z tymi słowy skinął na Jemie i wyszedłszy wraz z nią z izby, zaryglował drzwi.

Madeleine podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Przez okiennice z wygładzonego poroża świat wydawał się jakby rozdęty i nierzeczywisty. Hen w oddali majaczyły jakieś wzgórza. Dostrzegła także kapłana, który pędził ścieżką wzdłuż murów, zmagając się z targaną wiatrem sutanną. Jej uszu dobiegały pierwsze dźwięki dudów.

Czuła się osamotniona, zagubiona i zalękniona. Wsunęła dłonie do kieszeni i namacała resztki przechowywanych w ich czeluściach ziół. Rumianek, majeranek, szafran. Zazwyczaj sprawiały, że zaczynała stąpać twardo po ziemi. Tak było i tym razem. Z miejsca zrobiło jej się lżej na sercu. Pomyślała o swych bliskich, o Jemie, o Goulcie, o swej matce, o której pamięć była dla niej święta, i o babce. Przymknąwszy powieki wyobraziła sobie, że Eleanor i Josephine przywołują ją tak, jak to przez wieki czyniły kobiety z rodu de Cargne. Ot i gdzie leży prawdziwa magia, uśmiechnęła się słabo, kładąc sobie rękę na sercu.

Po jakimś czasie, gdy zrobiło się cicho jak makiem zasiał, zbliżyła się do drewnianej ściany oddzielającej jej komnatę od izby Jemie. Wstrzymując oddech zapukała dwa razy. Wkrótce odpowiedziały jej takie same dwa krótkie dźwięki. Kod, którym posługiwały się niegdyś w Heathwater. Dwa uderzenia oznaczały, że są bezpieczne, trzy, że coś im zagraża. Nagle zaczęła ją ogarniać złość. Kiedy wreszcie zaczną normalnie żyć? Kiedy złożą głowę na poduszce bez obaw, że będą ją dręczyć nocne koszmary? Kiedy jej siostra zrzuci bez lęku przebranie chłopca i będzie mogła się cieszyć własną dziewczęcością? Wpadły z jednego ambarasu w inny. W rodzinnym domu trzymano je w odosobnieniu, teraz zaś Ashblane stało się ich kolejnym więzieniem. Niczym więcej. Próżno szukać tu schronienia. Pora zapomnieć o wcześniejszych rojeniach.

Czarna Wdowa, wypowiedziała szeptem swój nienawistny przydomek. W wieku dwudziestu czterech lat dorównała złą sławą matce. Czy jej też przyjdzie dokonać żywota w poniewierce i niewoli?

## *Rozdział piąty*

Następnego ranka zaprowadzono ją do westybulu na śniadanie. Nie było dla niej zaskoczeniem, iż w chwili, gdy się pojawiła, umilkły wszelkie rozmowy. Przechodząc, rzuciła ukradkowe spojrzenie Ullyotowi. Wyglądał na zmęczonego. Jego policzki pokrywał kilkudniowy zarost i miał na sobie to samo ubranie, które widziała na nim poprzedniego wieczora; było wymięte i nieświeże. Zatem nie kładł się tej nocy. Uroczystości związane z pochówkiem musiały trwać aż do świtu. Na myśl o tym ścisnęło ją w gardle. Odetchnęła z ulgą, widząc, że krzesło, które dla niej przeznaczono, znajduje się w znacznym odosobnieniu od reszty zgromadzenia.

- Oto twoje miejsce, lady Randwick - poinformowała nerwowym szeptem służąca, czyniąc na piersi znak krzyża. - Zaraz przyniosę posiłek

Rozglądając się dookoła, Madeleine napotkała wzrok jakiegoś niedomytego jegomościa, który bez namysłu uniósł dłoń do szyi i zamarkował podrzynanie gardła. Zaskoczona i wstrząśnięta, natychmiast uciekła spojrzeniem w inną stronę. Nie spodziewała się aż takiego jadu. Nawet w Heathwater, gdzie również za nią nie przepadano, nikt nie ważył się bez opamiętania otwarcie okazywać jej nienawiści.

Znieruchomiała niby posąg, trwając bez ruchu z zaciśniętymi zębami i pięściami złożonymi na kolanach. Nie raz i nie dwa przesiadywała tak całe godziny, podczas gdy Noel i Liam poili się do nieprzytomności. Skrywała uczucia także przed mężem, zwłaszcza wtedy, kiedy napady szaleństwa zdawały się całkowicie odbierać mu resztki rozumu. Przywykła do tego, że nie darzy się jej poważaniem i rewerencją przynależnym dobrze urodzonym niewiastom.

Toteż nie oczekiwała od losu zbyt wiele. Tu przynajmniej nikt nie podnosił na nią ręki ani nie obrzucał wymyślnymi wyzwiskami. Dobrze i to. Lecz ten gest zaniepokoił ją.

W pewnej chwili zauważyła kątem oka poruszenie u szczytu stołu. Ulyot przywołał do siebie jakieś młode dziewczę o jasnych włosach i ogorzałej cerze osoby, która lubi słońce i świeże powietrze. Po krótkiej wymianie zdań młódka podeszła wprost do Maddie i zapytała:

- Lady Randwick? Pozwolisz, pani, iż będę ci towarzyszyć? Mój wuj polecił mi okazać ci uprzejmość, a także być twoją przyjaciółką.

Zabrzmiało to jak zawołana obelga, a zarazem wyjaśnienie, z jakimi zamiarami przybywa.

- Nie spodziewam się uprzejmego traktowania - odparła rzeczowo. - Przekaż pani wujowi, że zwalniam wszystkich tu zgromadzonych z obowiązku okazywania mi jakichkolwiek względów.

Ku jej ogromnemu zdumieniu dzierlatka uśmiechnęła się i usiadła za stołem.

- Na imię mi Katherine - oznajmiła pogodnie. - Jestem siostrzenicą pierwszej żony gospodarza - dodała gwoli wyjaśnienia.

- Pierwszej? Ile ich zatem było?

- Tylko ta jedna. Zmarła po urodzeniu Gilliona, którego poznałaś pani wczoraj.

- W takim razie nie jest obecnie żonaty? - Maddy nawet nie próbowała ukryć ulgi, jaką poczuła na tę dobrą dla niej wieść.

- Jako żywo, nie jest. Będzie pięć lat, odkąd ciotka Alice nie żyje. Zmarła w komnacie, którą obecnie zajmujesz, lecz, o ile mi wiadomo, nie ma tam żadnych duchów ani nic z tych rzeczy. Zresztą nie straszne ci przecie jakoweś widma, prawda, lady Randwick? Obserwowałam cię, pani, i to ci jedno rzeknę, że to ciebie się boją. Nie staje im odwagi albo rozumu, by uwierzyć w twą magię. I siłę.



- Magię?

- To, jak uzdrawiasz, pani... Gołymi rękoma.

- To nie żadne czary tylko wiedza i wprawa, której nabywa się z wiekiem.

- Nazywaj to, jak chcesz, dość, że dzięki tym umiejętnościom jesteś niezależna. Nie masz nad sobą żadnych panów. Czyż nie?

Maddie zmarszczyła czoło, zaniepokojona torem, jakim potoczyła się ta dziwna rozmowa.

- Nie jesteś zameżna - perorowała Katherine - i wcale nie musisz być. Mąż nie jest ci do niczego potrzebny. Ja też chciałabym, aby mój los nie był zależny od woli mężczyzn.

- Zaiste tak mnie widzisz?

- Wuj tak o tobie mówił. Słyszałam, jak dysputował z Quinlanem, rychło po waszym przyjeździe. Nazwał cię też czarownicą.

- A ty mu uwierzyłaś?

- Quinlan i Dougal wierzą, tak samo jak i wszyscy pozostali, którzy widzieli, jak uzdrawiałaś wuja na polanie. Za każdym razem, gdy przechodzisz mimo, zegnają się, niby przed jakimś świętym obrazem. By odczynić złe moce, jak mniemam. Wuj w kółko ich za to beszta, a ci dalej swoje. Doszły mnie słuchy, że w Heathwater trzymałaś się, pani, na uboczu. Rzadko widywano cię w towarzystwie innych... I... tak sobie myślałam... zastanawiałam się, czy czasem nie czujesz się nieco samotna?

Samotna? Kiedyż to, na Boga, zaznała czegokolwiek innego poza samotnością?

Ogarnęła ją raptem niepoahamowana fala smutku i bezkresnej rozpacz. Z trudem zachowała spokój i przywołała na usta coś na kształt uśmiechu.

- Nie - odparła krótko, lecz nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to zupełnie nieprzekonująco.

- Wybacz, pani. Nie powinnam wścibiać nosa w nie swoje sprawy. Zawsze mi powtarzają: nie bądź taka wścibska dziewczyno i przestań zadawać



tyle pytań. W dzieciństwie matka wciąż łajała mnie za nadmierną śmiałość i zuchwalstwo. Obawiam się, że niczego mnie to nie nauczyło...

Przysłuchując się szczebiotowi Katherine, Maddie powoli opuszczało przygnębienie i napięcie towarzyszące jej od chwili, gdy znalazła się w tym gronie. Odniosła wręcz wrażenie, że nowa znajoma nie przestaje paplać, bo pragnie dać jej trochę czasu, by odzyskała spokój i równowagę ducha. Zagadką pozostawały jedynie jej motywy. Co mogło nią powodować? Powinna przecie nienawidzić jej, tak jak inni, lecz miast niechęci ta młódka ofiarowywała jej życzliwość i przyjaźń. Przyjaźń w domu pełnym nieprzychylnych ludzi. Przyjaźń, której Madeleine nie zaznała nigdy w całym swym życiu. Dotychczas nie mogła sobie pozwolić na bezinteresowną zażyłość.

Przerwał im rwetes, który podniósł się niespodzianie w przeciwległym krańcu izby. Obydwie poderwały się na nogi, by sprawdzić, co zaszło. Jakiś mężczyzna jak opętany wykrzykiwał coś po celtycku.

Żołnierze trzymający wartę przy drzwiach wnet zbiegli się i otoczyli wachlarzem część stołu, przy której spożywały wspólnie posiłek. Zapewne na rozkaz Ullyota, domyśliła się Madeleine, zerkając w jego stronę. On również się jej przyglądał. Na jego obliczu nie pozostał nawet ślad zmęczenia. W jego miejsce pojawiały się skupienie i czujność. Obserwował ją, tak jak wódz obserwuje przebieg bitwy, raz po raz rozglądając się bacznie dokoła komnaty. Nagle podniósł się gwałtownie i ruszył w jej stronę. Zdjęta trwogą, Maddie zacisnęła dłonie w pięści. Nie zdąży, przemknęło jej przez myśl, jeśli któryś z wartowników zechce zrobić jej krzywdę. Alexander nie dotrze na czas, by zapobiec nieszczęściu. Niemal w tej samej sekundzie wyczuła w sobie tylko znany sposób, że ktoś za moment zaatakuje ją od tyłu. Odwróciwszy się, aby stawić czoło napastnikowi, zdążyła jeszcze mocno odepchnąć Katherine, odsuwając tym samym śmiertelne niebezpieczeństwo od dziewczyny. Zginęłaby niechybnie, gdyby najbliższy stojący strażnik nie zasłonił jej szybko własnym ciałem. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jej wybawca padł na

ziemię, powalony pchnięciem sztyletu między żebra, a ona wyrwała nóż z za jego pasa i wyciągnęła go przed siebie w obronnym geście. Jej oczy błyszczały złowrogo.

Nie rozumiała nic z tego, co się wydarzyło obok niej. Nic nie miało sensu. Najpierw krzyk z daleka, potem jej własny wrzask, zawrośnięcie przerażonej Katherine i grupka osób, szamoczących się z jej niedoszłym zabójcą. Obezwładniająco szok ustąpił dopiero pod wpływem przeszywającego spojrzenia Ullyota, który wyrósł raptem u jej boku.

- Oddaj nóż, pani.

Nie od razu zareagowała. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w stłoczonych dokoła niej ludzi.

- Oddaj mi nóż - powtórzył nieco drżącym głosem i wyciągnął dłoń.

Gdy położyła na niej sztylet, na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. Skinął głową, nakazując ludziom, by się rozeszli.

Klękając obok swego obrońcy, Maddie objęła jego głowę i ułożyła ją sobie na kolanach. Nie bacząc na krew, która plamiła obficie jej spódnice, zajrzała w łagodne, brązowe oczy. Był taki młody.

- Dziękuję - szepnęła ze ściśniętym sercem.

Próbował się uśmiechnąć, lecz jego lica dopadła już śmiertelna bladość. Ocalił jej życie, przypłacając za to własnym. Nie знаła nawet jego imienia. Ze łzami w oczach przycisnęła go mocniej do piersi. Przywołała całe swe ciepło i zaczęła cicho nucić, by odegnać od umierającego ból i strach. Wiedziała, że nie jest w stanie go uratować. Mogła jedynie pomóc mu spokojnie przejść na drugą stronę. Przycisnęła palce do wlotu rany, a potem dotknęła jego twarzy. Wkrótce oddał ostatnie tchnienie. Głowa opadła mu bezwładnie.

Madeleine złożyła jego ciało z powrotem na ziemi. Lniana koszula, którą nosiła pod gorsetem, rozchyliła się na piersiach, odsłaniając oczom zebranych niewieście krągłości.

Alexander zauważył, że jego ludzie bez oporów korzystają z okazji i zagładają jej w dekolt. Nie dziwota, są przecie wyposzczeni długą wojaczką, a ją mają za ladacznicę, mimo że w tej chwili, skąpiana w jesiennym słońcu i doglądająca konającego żołnierza, nie wyglądała ani na czarownicę, ani na rozwiązłą kusicielkę. Cierpienie i żal - tylko to widać było na jej smutnej, pobladłej twarzy. Wszystko, co o niej powiadali, wydało mu się nagle niedorzecznością.

Po raz pierwszy w życiu poczuł pokrewieństwo dusz z tą niewiastą. Rozkazawszy pozostałym, by opuścili komnatę, odczekał w milczeniu aż zostaną sami.

- Nie mogę tu zostać - odezwała się pierwsza, wstając z kolan. - Dziś nie udało się mnie zabić, ale następny śmiałek może mieć więcej szczęścia.

- Nie masz wyboru, Madeleine - odburknął, zaskakując tym samego siebie. Obiecywał sobie, że nie będzie zwracał się do niej po imieniu. Nie chciał dopuścić, by się do siebie zbliżyli. Jako siostra znenawidzonego Noela Falstone'a mogła się spodziewać, że prędzej czy później spotka ją los branki. Widząc, że cała drży, przemówił nieco łagodniejszym tonem: - Człowiek, który podniósł na ciebie rękę, zostanie ukarany.

- Przez kogo?

- Przeze mnie.

Odetchnąwszy ciężko, zebrała się w sobie. W jego oczach pojawiła się z powrotem odraza, z jaką zazwyczaj na nią spoglądał. To dobrze. Jeszcze minutę wcześniej na jego twarzy malowało się współczucie. Nie potrzebowała jego litości. Łatwiej przeciwstawić się niechęci i walczyć z otwartą nienawiścią. Z powrotem uklękła nad ciałem zabitego i ucałowała jego dłoń. Patrzyła przez chwilę na jego młodą twarz.

- Jak go zwali?

- Patrick z Jedburgh. Trzy lata temu przysłano go do mnie na naukę.

- Potrafisz, panie, nauczyć żołnierza, by oddał życie za kobietę, którą pogardza? - zapytała z nieskrywanym potępieniem.

- Nie, pani - odparł nieugiętym głosem. - Uczę ludzi, co to służba i obowiązek. Obowiązkiem Patricka było chronić ciebie. Zrobił to, co do niego należało.

Jego oczy nie zdradzały ni śladu emocji. Nie dostrzegła w nich żalu ani wyrzutów sumienia. Dzielny młodzian, który służył pod nim trzy lata, leżał martwy u jego stóp, a on nie odczuwał z tego powodu nawet cienia smutku. Znow pokazał twarz zimnego i bezdusznego tyrana. Zobaczyła w nim okrutnika, którego знаła z krążących po wsiach legend i jej serce znow przepełniła niechęć. Miał owinięty nadgarstek, a spod bandaża wciąż sączyła się krew. Zatem to prawda, że podczas ostatniego obrządku do ust zmarłego przyciskają krwawiącą ranę na rękę. Kolejny bestialski obyczaj Ullyotów, choć dziś gotowa była spojrzeć nań nieco przychylniejszym okiem. Cieleśny ból pomaga zwalczyć uczucie wszechogarniającej pustki i otepienia po stracie bliskich. Sama chętnie zadałaby sobie teraz głęboką ranę. Z jej powodu zginął człowiek.

- Wrócisz teraz do swej komnaty, pani.

Ni stąd, ni zowąd pojawiła się ta sama kobieta, która rankiem przywiodła ją do westybulu, a wraz z nią sześciu uzbrojonych po zęby wartowników.

- Mogę liczyć na to, że ci tutaj są równie sumienni jak Patrick? - zapytała szyderczo, nie potrafiąc oprzeć się pokusie wstrząśnięcia jego sumieniem.

Nie zawiodła się. Pancierz zobojętnienia pękł i jego oczy zakipiały gniewem. Pokrzepił ją także widok tego, co zobaczyła, gdy zerknęła na niego od progu. Pochylił się nad ciałem swego wychowanka i utuliwszy je z czułością w ramionach, zaniósł do kaplicy.

Nawiedził ją jeszcze raz tego ranka. Zatrzymał się w drzwiach izby, nie wchodząc do środka. Miał splamioną krwią koszulę i włosy splecione po bokach, by nie opadały na twarz. Bodaj pierwszy raz widziała go nieuzbrojonego.

- Przez następnych kilka dni nie opuścisz, pani, komnaty.

- A mój paż? Też będzie trzymany pod kluczem? - Miała szczerą nadzieję, że tak. Tym sposobem zyskałaby pewność, że jej siostrze nic nie zagraża. - Czy to kara? - dodała cicho, widząc, że milczy.

- Nie. To najpewniejszy sposób, by zapewnić ci bezpieczeństwo.

- Znow będą chcieli mnie zgładzić? Przesunął dłonią po twarzy.

- Ashblane to twierdza rycerzy miłujących wojaczkę, ale mamy tu pewne zasady. Nie dokonujemy rzezi na niewinnych.

- Takich jak ja? - spytała na poły kpiąco, lecz nie wydawał się tym szczególnie ubawiony.

- Nikt już nie ośmieli się podnieść na ciebie ręki, pani.

- Z twego rozkazu, panie? Zignorował pytanie i rzekł:

- Rozczłonkowane szczątki twego niedosłego zabójcy rzucono wilkom na pożarcie, a głowę zatknięto na kołku na mogile Patricka.

Madeleine wyraźnie pobladła. Nawet w Heathwater, gdzie rządził pozbawiony skrupułów Noel, starano się utrzymywać podobne praktyki w tajemnicy.

- Jako ponurą pamiątkę dobrze wypełnionego obowiązku, jak mniemam?

- Nie wziął tej wypowiedzi za krytykę, choć takie właśnie było jej zamierzenie. Przeciwnie, wydawał się szczerze ukontentowany. Wszedł bowiem nareszcie do środka i przemierzywszy izbę, wyjrzał przez okno.

- Ale dzieci... Nie powinny tego oglądać.

- Dość już o tym. - Zbliżywszy się, wyciągnął dłoń i zdjął jej z włosów przewiązkę. Potem przyglądał się z zadowoleniem jak opadają niemal do bioder.

- Wolę, gdy nosisz je rozpuszczone.

Madeleine oniemiała ze zdziwienia. To były pierwsze osobiste słowa, jakie padły z jego ust. Z wrażenia zapomniała języka w ustach. Dawniej w Heathwater mężczyźni zazwyczaj rozpoczynali w ten sposób zaloty. Sądząc

jednak z rozdrażnienia i złości, jakie ukazały się na obliczu Alexandra, nie w głowie mu były umizgi.

- Czy ty i Noel jesteście rodzeństwem po obojgu rodzicach? - zapytał niespodzianie.

- Nie - odparła speszona.

- Kim jest Goult?

- Bratem mej matki.

- Mieszka z wami w Heathwater, by cię chronić?

- Tak. - Zaimponował jej swą przenikliwością. Był pierwszym człowiekiem, który odgadł prawdziwe motywy, jakie kierowały wujem.

- Zdarza mu się czasem opuszczać zamek?

- Owszem. W dniu urodzin odwiedza siostrę w Carlisle.

- Kiedy wypadają?

- Dwudziestego drugiego października.

- Gdy będzie w drodze, wyślę po niego ludzi. Sprowadzą go do Ashblane. O niczym innym nie marzyła. Nie byłaby bardziej szczęśliwa, gdyby ofiarował jej gwiazdkę z nieba. Na chwilę zapało jej dech w piersiach.

- Zapamiętałeś, o co cię prosiłam, panie - szepnęła, gdy wrócił jej głos. - Bardzo ci za to wdzięczna.

Przerwał jej, unosząc dłoń, po czym chwycił ją za rękę, zaczął jej się bacznie przyglądać, jakby chciał przepowiedzieć jej przyszłość. Maddie w jednej chwili poczuła żywsze bicie serca. Modliła się w duchu, by nie zorientował się, co się z nią dzieje.

- W przeciwieństwie do twego brata, mam zwyczaj słać swe długi - stwierdził ponuro.

Uśmiechnęła się niepewnie, a on puścił jej palce, jakby raptem zaczęły go parzyć.

- Będą regularnie przynosić ci strawę. Gdybyś potrzebowała czegoś więcej, przywołaj służbę, ale nie wychodź z izby. Ostrzegam, jeżeli opuścisz sama komnatę, każę trzymać cię znowu pod kluczem.

- Dla mego bezpieczeństwa? - zakpiła.

- Nie inaczej.

Minał ją obojętnie i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z rozmachem.

Znalazłszy się na korytarzu, natychmiast się zatrzymał i oparł plecami o mur. Na psa urok, jest taka piękna, że jeszcze chwila i dałby się jej zwieść niczym inni głupcy, których omotała i zbałamuciła. To te jej ogniste włosy, nieprzeniknione oczy i delikatne brzmienie głosu. Imponowała mu także jej samodzielność. Skąd w takim wątłym ciele tyle siły? Zastanawiał się nie po raz pierwszy.

Zbrzydły mu już bezwolne i spolegliwe niewiasty, bo tylko takie znał. Ta jedna poruszyła w nim czułą strunę właśnie hardością i uporem.

Miałby uwierzyć w bajki o Czarnej Wdowie? W to, że Madeleine Randwick zwabia swe ofiary w sieć kłamstw, by potem zwyczajnie pozbawić je życia? Miałby sam wpaść w jej sidła? Przenigdy. To przecie tylko branka, nic więcej. Trzyma ją w zamku wyłącznie z powodów taktycznych. Jest jego rękojmnią. Sposobem, by zaleźć za skórę odwiecznemu wrogowi klanu Ullyotów. W bezwzględnej i krwawej walce o ziemię i wpływy nie ma miejsca na sentymenty. Wykorzystanie jej do własnych celów nie powinno spędzać mu snu z powiek, a zwłaszcza dlatego, że okrywa ją jak najgorsza sława. Trzeba było raz na zawsze z tym skończyć. Wziąć wiedźmę siłą. Zaspokoić na niej swoją żądzę i zrujnować ją tak samo, jak zamierza zrujnować jej brata. A on zamiast tego, niczym ostatni osioł, zaczyna czule do niej przemawiać i prawić jej komplementy na temat jej rudych włosów.

- *Woleę, gdy nosisz je rozpuszczone* - przypomniał to sobie i skrzywił się z niesmakiem. Co też strzeliło mu do głowy?

Brr! Rudowłosa wiedźma o twarzy anioła, ot co! Próbuje na nim swych czarów.

Uderzył dłonią w ścianę z silnym postanowieniem, że dopóki nie postanowi, co z nią począć, dopóty będzie się trzymał od niej z daleka. Jak najdalej od lady Madeleine Randwick.

## *Rozdział szósty*

Obudziła się z uczuciem, że dzieje się coś dziwnego.

Ktoś ją obserwował. W kompletnych ciemnościach nie widziała twarzy intruza. Słyszała za to wyraźnie czyjś oddech. Odwróciwszy głowę w prawo, spojrzała na zakratowany wyłom w ścianie. Zazwyczaj zasłaniały go ciężkie okiennice, które teraz były rozchylone. Przez niewielką szparę rozpoznała w podglądaczu chłopca, którego poznała po przybyciu do Ashblane. Gillion?

Zniknął, gdy tylko wstała z łóżka i okryła się peleryną. Czemu syn Ullyota pałęta się sam w środku nocy po zamku? Dlaczego pozwalają dziecku na taką samowolę? Gdzie jest jego niańka? Czemu mały jeszcze nie śpi? Zastanawiała się, nasłuchując. Zamiast malca usłyszała w dole na blankach śmiechy i porykiwania podchmielonych rycerzy. Pochwyciwszy wśród nich głos Alexandra, podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Jakaś urodziwa jasnowłosa kobieta przytulała się do niego całym ciałem, przyciskając mu do boku swe bujne niewieście kształty, spowite w jasną szatę.

Madeleine zmarszczyła brwi i sięgnęła dłonią do nie całkiem zagojonej rany na piersi. Czemu naznaczył ją jako swoją, skoro tak bardzo jej nienawidził? Jeśli wierzyć słowom Quinlana uczynił to, by ją chronić. Gdyby chciał pojąć jej ciało, mógłby to zrobić w każdej chwili, wcale nie prosząc jej o przyzwolenie. Zresztą jej opór na niewiele by się zdał. Mogłaby jedynie opóźnić to, co nieuchronne.



W korytarzu rozległy się znenacka ciężkie kroki i odgłosy rozmowy. Zamarła w niemym oczekiwaniu. Nie czekała długo. Niebawem otworzono drzwi i do komnaty wtargnęło trzech mężczyzn, których nigdy przedtem nie widziała. Sądząc po ciężkich oddechach i zaszklonych oczach, nie szczydzili sobie do wieczery wypitki. Co to znaczy, zastanawiała się w popłochu. Zaczęła się zwyczajnie bać. Czyżby zamierzali ją pohańbić, mimo że zgodnie z obyczajem należała do ich pana? I dlaczego, na Boga, strzegący jej izby wartownicy nie stanęli im na drodze? Przypomniała sobie ostatnią scenę, kiedy mało brakowało, a już by nie żyła, gdyby Patrick nie stanął w jej obronie. Czyżby znowu jej obecność komuś przeszkadzała? Czy to się nigdy nie skończy?

Pomyślała o Alexandrze, o tym, co mówił o jej bezpieczeństwie. Widać zmienił zdanie.

W lot pojęła, co się święci, gdy wnieśli do środka bladego jak płótno kompana z krwawiącą, postrzępioną raną na nodze. Cięcie biegło od pachwiny aż po kolano.

- Przychodzimy po pomoc, lady Randwick - oznajmił z powagą jeden z przybyłych. - Temu tutaj Dougalowi rozplatało udo. Będzie z dziesięć pacierzy jak stracił przytomność.

- Jak to się stało? - zapytała zatrwożona. Oby to nie była sprawka jej brata.

- Dzik. Dopadł go w lesie wczesnym popołudniem. Quinlan nas przysłał. Powiada, że tylko ty, pani, możesz temu zaradzić.

Najwyraźniej byli tak przejęci stanem towarzysza, że zapomnieli o plotkach na jej temat, iż jest groźną czarownicą. Nie zwlekając ani chwili, Maddie zrzuciła pelerynę. Nie było czasu, by się ubrać. Trudno. Jej koszula nocna była cienka i nieco prześwitująca, szczęściem jej goście mieli na tyle przyzwoitości, by nie zwracać na to uwagi.

- Będę potrzebowała gorącej wody i kilku ziół. Kiwnęli zgodnie głowami.

- Gospodyni przyniesie, co trzeba.

Rannego ułożono na łożu, które zabezpieczono uprzednio grubą lnianą narzutą. Dziwiło ją, że o tym pomyśleli. Mężczyźni rzadko zwracają uwagę na takie drobnostki jak wysiłek praczki, która zapewne biedziłaby się z pościelą trzykroć dłużej, gdyby zabrudzili ją krwią. Nim zabrała się do pracy, stanął przed nią wysoki młodzieniec o rysach bardzo podobnych do rysów pacjenta.

- Nazywam się Donald - powiedział nieśmiało i zarumienił się natychmiast, gdy napotkał jej spojrzenie. - Dougal to mój brat bliźniak - dodał ze łzami w oczach.

- Bądź dobrej myśli, Donaldzie. Rana jest świeża, a Dougal jest silny i młody.

- Ale uszło z niego tyle krwi...

- Oznaki życia są dobre. Nie jest zbyt blady, a jego serce bije miarowo.

- Powiadają, że twe czary, pani, przywróciły do życia naszego wodza.

- Mimo to postanowiłaś powierzyć brata mej opiece? - zakpiła, widząc, że czyni na piersi znak krzyża.

Obejrzywszy ranę, zaniepokoiła się. Oprócz błota i innego śmiecia dostały się do niej końskie odchody. W Heathwater straciła onegdaj dwóch ludzi, którzy mimo jej wysiłków zmarli w męczarniach na skutek zakażenia nieczystościami własnych wierzchowców.

Śmierć Dougala mogłaby zagrozić życiu jej i Jemmie. To pewne. Odpędziła jednak czerne obawy. Noel wielokrotnie groził jej, że jeśli nie zdoła uratować jego ludzi, odda ją katu. Jak zwykle w takich razach przywołała na pamięć związane słowa babki: „Nigdy nie odmawiaj pomocy choremu z powodu własnych lęków”.

Zawsze lepiej pomóc, niż zaniechać, to sama wiedziała.

Zarządzając listę ziół, które mieli dostarczyć z kuchni, poczęła namaczać w wiszącym nad paleniskiem kociołku bandaż. Uspokoila ją ta czynność i odsunęła na bok troskę o najbliższą przyszłość. Liczył się nade wszystko ten ranny młodzieniec.

Dwie godziny później, gdy do izby zaczynały wpadać pierwsze promienie porannego słońca, skończyła oczyszczać rozszarpane udo Dougala. Nie pozostał nawet najmniejszy pyłek, brud czy drobina błota. Nie dałoby się zrobić tego lepiej, niemniej wciąż miała opory przed zszyciem skóry.

- Zamkniesz teraz ranę, pani? - dopytywał się Donald.

- Nie. Lepiej zostawić ją otwartą.

Natychmiast podniósł się szmer niezadowolenia. Wiedziała, że łatwiej byłoby postąpić zgodnie z oczekiwaniami i według zazwyczaj stosowanych prawideł. Nawet gdyby ranny zmarł, nie mogliby jej wtedy winić. Jeśli pójdzie za głosem intuicji, obrażenie będzie wystawione na zgubne działanie powietrza. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak wybrać mniejsze zło.

Nagle nadejście Alexandra przerwało jej rozważania. Jego szaty rozsiewały woń olejku różanego. Nie miała wątpliwości, że spędził długie chwile w objęciach kobiety. Zapewne tej złotowłosej piękności, z którą widziała go wcześniej.

- Co tu się u licha wyczynia? - zagrział w kierunku zgromadzonych wokół łoża mężczyzn.

- Dougal odniósł ranę na polowaniu, panie.

- I przynieśliście go tutaj? Mogę wiedzieć, czemu? - Omiótł spojrzeniem cienką koszulę Madeleine, a jej z miejsca zapłonęły policzki.

- Powiadają, że lady Randwick przywróciła cię do życia, panie - wyjaśnił Donald. - A stary Hale więcej ludzi wysłał na tamten świat niż uratował.

- Bardzo oberwał? - zapytał Ullyot, podchodząc do Maddy.

- Tak - odparła zmieszana.

- Teraz go, pani, zszyjesz?

Łypnął na nią groźnie, widząc, że się waha.

- Wolałabym nie, panie.

- Chcesz zatem, by wyręczył cię ktoś inny? - Odwrócił się, gotów posłać po swego medyka.

- Nie. Sądzę, że lepiej zostawić ranę otwartą.

- Czemuż to? - Zajrzał jej w oczy, nie kryjąc zdziwienia.

- Bo jest wyjątkowo głęboka, a dostały się do niej końskie odchody. To bardzo niebezpieczne. W zeszłym roku straciłam w ten sposób dwóch ludzi. Może przetrzymaliby, gdybym ich nie zaszyła. - Teraz, kiedy powiedziała na głos, czym się kieruje, poczuła się pewniej i jeszcze bardziej umocniła się w swym postanowieniu.

- Niech i tak będzie - zgodził się Alexander, spoglądając na nogę rannego.

- Tedy niczym jej nie obwiążem?

Ależ obwiążem. Maddy wstrzymała oddech. Świadomie czy nie, znów ją ochronił, dając do zrozumienia, że podjęli decyzję wspólnie. Powiedział - my Poskutkowało. Niezadowolone szepty zebranych wokół rannego w jednej chwili umilkły.

- Owinę ją lnem, panie - rzekła, mocząc bandażę we wrzącej wodzie z rozdrobnionym czosnkiem. - Będę też potrzebowała kilku deszczulek do unieruchomienia nogi.

Niebawem dostarczono jej łubki i zabrała się do pracy. Zakończywszy opatrunek, położyła choremu rękę na czole. Miała ochotę zamknąć oczy i dotknąć raz jeszcze obwiązanej rany, by upewnić się, że nie ma niebezpieczeństwa. Nie mogła tego jednak uczynić. Nie w obecności Ullyota. Następna godzina będzie decydująca. Tymczasem, odurzony naparem z kozłka, Dougal spokojnie spał. Alexander odprawił ludzi i ponownie stanął tuż za plecami Maddy.

- Sądysz, pani, że może umrzeć? - zapytał z wyraźnym niepokojem.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekła, patrząc wprost na niego. Wydawał się nieco mniej oficjalny niż zwykle. Nawet ze znacznej odległości wyczuwała w jego oddechu zapach piwa. - Ale nie wiem, być może powinnam była... - zwiesiła głos.

- Czasem lepiej kierować się intuicją niż rozumem.

- Jeśli nie przeżyje, powiedzą, że trzeba mi było zaszczyć ranę -  
stwierdziła matowym głosem.

- A jeśli wydobrzeje, będą cię wychwalali za to, żeś tego zaniechała.

Niezachwiana pewność, z jaką wyrzekł te słowa, dodała jej otuchy.

- Bóg zapłać za dobre słowo, panie.

Skinął w milczeniu głową. W ostrym świetle poranka jego blizna na policzku rzucała postrzępiony cień na resztę twarzy. Gdyby nie ona, ta twarz nie wydawałaby się tak sroga i nieprzystępna.

Odniosła wrażenie, że pragnie ją jeszcze o coś zapytać, ale nie może się zdecydować. Głosy na korytarzu, zwiastujące rychłe nadejście innych, rozwiązały mu język.

- Byłaś uzdrowicielką na zamku brata?

- Tylko wtedy, kiedy mi na to pozwalał. A robił to niezbyt często.

- Kto cię uczył rzemiosła?

- Matka.

- Eleanor de Cargne?

Zaniepokoił ją nagły błysk w jego oczach.

- Nie była taka, jak o niej powiadali - wyrwało się jej, choć nie zamierzała mówić tego na głos. Zastanawiała się, jak naprawić swój błąd, gdy Ullyot otworzył drzwi, by wpuścić do środka wzburzonego Quinlana.

- Mamy problem, Alex - oznajmił od progu przyboczny. Po tym, jak omiół ją niechętnym wzrokiem, Maddy zorientowała się, że chodzi o jej brata.

Mogła się była domyślić, że Noel nie zjawi się osobiście, lecz przyśle emisariuszy, którzy zadbają o jego interesy. Nie zdziwiło jej również, że owi posłańcy zostali dobrze poinstruowani, by opowiadać niestworzone historie zarówno o niej, jaki i o obecnej sytuacji w Heathwater.

- Lady Randwick jest narzeczoną Liama Williamsona, księcia Harrington  
- oznajmił Andrew Milward, dziobaty sługa Falstone'a. - Kościół nie popiera podobnego bezceństwa. Nie godzi się porywać niewiasty z jej własnego domu.

Stojący u jego boku ojciec O'Sullivan przytaknął, ochoczo kiwając głową. Gdy Madeleine utkwiała w nim wzrok, zmarszczył czoło, przeżegnał się i wyrecytował: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti....*

Nie uszło to uwagi ludzi Ullyota, podobnie jak smugi kolorowego światła, które tańczyły wokół głowy Maddie. Domyślili się potem, że to słońce odbijało się od klejnotu w jej spince. Teraz jednak nade wszystko zajmowała ich jej dumna postawa. Trzymała się prosto, z wysoko uniesioną głową i włosami splecionymi w pojedynczy warkocz, który sięgał niemal do końca pleców. Zauważyli także, że rąbek jej sukni jest splamiony krwią, a gładką skórę pod oczami szpecą ciemne kręgi.

- Pojmałem lady Randwick w ferworze walki - odezwał się od okna Alexander. Na dworze piętrzyły się chmury i zaczął rześisty deszcz. - Gdyby była dla was taka cenna, jak to przedstawicie, nie pozwolilibyście jej podejść tak blisko pola bitwy.

- Robi co chce, panie. Z pewnością do tej pory dała to już po sobie poznać. Jest nieposłuszna i potrafi być okrutna. Brat musi trzymać ją przez większość czasu w odosobnieniu. - Zachęcony głosami aprobaty, które rozległy się za jego plecami, Milward parł dalej: - Przybyłem zabrać ją do Heathwater i zdjąć wam kłopot z głowy, panie. Mniemam, iż kiedyście ją porywali, nie wiedzieliście, że to lady Randwick.

Madeleine zmarszczyła brwi. Andrew nie od dziś słynął z politycznej przebiegłości. Proponował bezkonfliktowe rozwiązanie krępującego sporu, wydawało się, że wygodne dla obu stron. Jakże wielkie było jej zdziwienie, gdy usłyszała zdecydowaną odpowiedź Ullyota.

- Przekażcie Noelowi Falstone'owi, że zatrzymuję jego siostrę. A Liamowi Williamsonowi powiedzcie, że odebrałem mu jego prawa do narzeczonej.

- Jakże to? A Kościół? Jak odpowiecie Kościołowi, panie? - Ton posła w jednej chwili stracił całą swą dworską uprzejmość. Zaczęła w nim pobrzmiwać jawna groźba.

- Odpowiem, że jeśli lady Randwick istotnie jest taka, jak ją malujecie, to Kościół powinien być rad, iż sam przejąłem nad nią pieczęć.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem i opuściła wzrok. Ich kłamstwa zostały zręcznie obnażone, lecz kolejne słowa Milwarda zmartwiły ją na nowo.

- A co rzekiecie na to rozporządzenie, panie?

Gdy Ullyotowi wręczono pergamin, złamał pieczęć i rozpostarł zwój.

- Umiesz czytać, pani? - zapytał, przebiegłszy wzrokiem pismo.

- Tak, panie. - Mile zaskoczona i wdzięczna, odebrała od niego dokument.

Dekret nakazywał natychmiastowe oddanie jej w ręce brata i zapowiadał srogą karę w przypadku niedotrzymania jego postanowień.

- Rozkaz przyszedł wprost z Edynburga? - zapytał Alexander, odczekawszy, aż skończy czytać. Madeleine wstrzymała oddech, od dawna bowiem słyszała, że Ullyot jest nieślubnym synem królewskiego wuja.

- Nie, panie. Książę Montcrieff wydał pozwolenie na przyłożenie pieczęci. - Tym razem głos emisariusza nieco zadrżał.

Zapewne Milward również był świadom rozpowszechnianych informacji, choć sam Ullyot nigdy nie twierdził, że jest potomkiem brata Roberta the Bruce'a.

- A więc Montcrieff użył pieczęci bez wyraźnej zgody króla?

- Wybaczcie, panie, ale nie pojmuję...

- Nie pojmujesz? W liście jest mowa o srożej karze dla Ashblane. Czy nie wiadomo ci nic bliższego na temat tych grózb?

Oczy Andrew wyraźnie pociemniały, gdy wreszcie dotarła do niego wymowa słów gospodarza. Próbując załagodzić sytuację, rzekł pospiesznie:

- Dziewka jest czarownicą, panie. Przypuszczam, a właściwie to mam pewność, że Montcrieff pragnął was przed nią ochronić.

- Ochronić?! Przed jedną słabą niewiastą? Na Boga, Lady Randwick, musiałaś, pani, nieźle zależeć komuś za skórę. - Oczy Alexandra ciskały gromy, gdy spojrzał ze wzgardą na przybyłych posłów.

Milward spaśował, nie mogąc dać ujścia swej złości.

- To ladacznica, panie, której nie można ufać. Każdy ci to powie. Niechybnie i na ciebie rzuciła urok. Nie byłbyś pierwszym, którego omotała.

Na te słowa, tak podobne do jego własnych przemyśleń, Alex zapieklił się na dobre.

- Basta! - ryknął, zbliżając się do Andrew. - Zaniechaj waść, póki masz głowę na karku. Kaprys księcia, słynącego z gwałtownego usposobienia, nie daje ci pełnej swobody działania ani tym bardziej rękojmi bezpieczeństwa. - Te ostatnie słowa wypowiedział tonem nad wyraz spokojnym, ale dała się w nim słyszeć groźba.

- Quinlan odprowadzi was bezpiecznie do wyjścia.

- Ty, pani, zostajesz! - zwrócił się do Madeleine, która także ruszyła do drzwi. - Chcę wiedzieć - odezwał się ponownie, gdy zostali sami - dlaczegóż to twój los tak bardzo leży na sercu Monterieffowi? Był twym kochankiem?

- Nie.

- Twej matki?

- Tak.

- Pojmuję. - Uniósłszy puchar, dolał sobie trunku. - Czemu zatem chciałby cię mieć przy sobie blisko?

- Łatwiej zwalczać wroga, kiedy ma się go tuż pod nosem.

- A więc uważa cię za wroga?

Wzruszyła ramionami, lecz nie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

- Ktoś taki jak on widzi wroga w każdej dobrze sytuowanej niewieście.

- Zwłaszcza wtedy, jeśli owa niewiasta chowa wiele sekretów?

Nie odpowiedziała. Alex zmarszczył brwi i przyjrzał się jej z bliska. Była taka piękna. Prawdopodobnie piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie



kiedykolwiek oglądały jego oczy. Był świadom, że oddawała się licznym wielmożom na dworach Anglii i Szkocji, a mimo to nie potrafił jej odesłać. Coś go do niej ciągnęło.

- Na psa urok! - zaklął i odwrócił się do niej plecami. Co się z nim wyprawia? Najwyraźniej odjęło mu rozum. Naraził się dziś nie tylko Falstone'owi, ale i Moncrieffowi, a przy okazji ściągnął na swą głowę gniew Kościoła. A wszystko to w imię zapewnienia bezpieczeństwa tej wiedźmie, czarownicy z Heathwater, Madeleine Randwick.

- Jeśli z powodu twych sekretów miałby ucierpieć choćby jeden mieszkaniec Ashblane, radzę ci, pani, wyjawić je teraz.

Niemal roześmiała się ze zdenerwowania.

Jeden mieszkaniec? Jej tajemnice mogłyby narazić na szwank cały naród. Niemniej, mając na względzie życie Jemie, nie mogła sobie pozwolić na szczerość.

- To sekrety, które powierzano mi w porywach namiętności, panie, a takie rzadko wychodzą poza alkierz.

Było to wierutne, acz konieczne kłamstwo.

Z pewnością usłyszał jej słowa, lecz nadal tkwił w milczeniu przy oknie. Popołudniowa bryza rozwiała mu włosy, odsłaniając szyję, a na niej niewielki, różowy siniak. Takie same przywoził jej brat z miłosnych podbojów w Londynie. Ich widok doprowadzał Liama Williamsona do furii. A zatem owa niewiasta, w której ramionach Alex spędził ubiegłą noc, była jego żarliwą kochanką. Wbiła tępo wzrok w podłogę. Myśl o tych dwojgu, splecionych w gorącym uścisku, była jej dziwnie niemiła.

- Pomnisz, pani, rycerza, któremu pomogłaś niegdyś po bitwie na obrzeżach Heathwater? Stracił wtenczas trzy palce. Rosły mąż o jasnych włosach i takiejże brodzie? A, widzę, że utkwiał ci w pamięci. Był jednym z nas. Jock Ullyot mu było na imię. Otóż przyrównywał cię, pani, do anioła. Mówił o tobie, żeś jest jak niebiańska istota natchniona dobrocią. Tak o tobie powiadał na

łożu śmierci, kiedy konał zeszłej zimy. Wyjawiał nam, że dwa lata temu poprzysiągł ci dochowanie jakowejś tajemnicy. Ponoć takiej zażądałaś ceny za opatrzenie ran. Zastanawiałem się wówczas, dlaczego człek tak pobożny jak Jock miałby ryzykować swą wieczność, kłamiąc na temat angielskiej ladacznicy? Potem zaś zadałem sobie pytanie, dlaczego niewiasta z rodu Falstone'ów nadstawiała karku, by ratować życie Ulllyota?

Przemierzywszy komnatę, ujął jej twarz w dłonie i zajrzał prosto w oczy.

- Sądziłem, że sprzedajna dziewczka potrafi sztuczkami osiągnąć więcej - rzekł, przyglądając się jej badawczo. - Nierządnicą mogłaby na przykład przycisnąć swe ciało do mego i fortelem wymóc na mnie obietnice, których innym sposobem nigdy by nie wymogła. A co dopiero czarownica. Tej wystarczyłoby wypowiedzieć zaklęcie, czy rzucić urok, a mężczyźni sami padaliby jej do nóg. Ty zaś, pani, nie próbujesz ani jednego, ani drugiego, i wyznam, iż wielce mnie to zadziwia.

Na jego surowej twarzy widać było zakłopotanie i jakieś inne jeszcze uczucie, którego nie potrafiła odczytać.

Ulżyło jej, gdy wreszcie ją puścił. Był potężnym wielmożą, a na dodatek przystojnym i rozumnym mężczyzną. To wyjątkowo niebezpieczne połączenie. Lepiej trzymać się od niego jak najdalej. Królewscy szpiedzy panoszą się wszędzie. Gdyby rozniosła się wieść, że z własnej woli dzieliła z nim łożę, życie obojga zawisłoby na włosku. Miała wrogów znacznie silniejszych od Noela i Montcrieffa. Ich armie razem wzięte są niczym w porównaniu z siłami wojsk przychylnych Davidowi i Edwardowi. Dwóch niedoskonałych monarchów oraz kilku ich doradców, a wszystkich łączyła nałożnica w osobie jej matki. Sekrety i kłamstwa oraz słowa szeptane w największym zaufaniu. Eleonor miała swoje sposoby. Potrafiła bez trudu wyciągnąć od kochanków wszystko, co tylko zechciała.

Słowa Alexandra wyrwały ją z zamyślenia.

- Co się stanie, jeśli odeślę cię, pani, do Heathwater?

Maddie na próżno starała się nie okazać przerażenia i lodowatego strachu, który zaczął się po niej rozpełzać. Wiedziała, że dostrzegł w jej oczach lęk.

- Nim minie tydzień wydadzą mnie za męża.

- Za kogo?

- Za Harringtona albo - jeśli trafię na dwór Edwarda bądź Davida - za hrabiego Stainmore'a, czy może jakiegoś innego możnowładcę.

- Jesteś zatem rozchwytywaną partią - stwierdził z nieukrywaną kpiną. - Cudzołożyłaś z nimi wszystkimi? - dodał z jadem w głosie, chwytając ją nader gwałtownie za nadgarstek.

- Rozdając wdzięki na lewo i prawo zyskuje się ogromną władzę, panie. Jestem w tym dobra. Jako Czarna Wdowa z Heathwater radzę ci omijać mnie z daleka - wysyczała mu prosto w twarz.

Gdyby nie wyczuł pod palcami, że jej puls pędzi jak oszalały, i gdyby nie dostrzegł na jej czole kropelek potu, być może zareagowałby inaczej, a tak, nim zdążył się powstrzymać pochylił ku niej głowę i zaczął ją całować.

Ona natomiast nie zrobiła nic, by mu przeszkodzić. Przeciwnie, odpowiedziała tym samym. Jego usta przyciskały z żarliwą mocą jej wargi, domagając się władczo, by je rozchyliła. Czując, że całym jej jestestwem wstrząsa fala gorąca, podniosła ręce i wplotła mu palce we włosy, drugą dłonią dotykając delikatnie policzka zoranego blizną. Wydawało się jej, że rozplynie się pod jego dotykiem. Upajał ją jego zapach i ciepło bijące od ciała. On tymczasem przyciągnął ją bliżej, przytulając mocniej do swego szerokiego torsu. Jego ręce poczęły błędzić po jej plecach, zrazu nieśmiało, potem coraz mocniej, pożądliwie...

Oprzytomniał pierwszy i spojrzał na nią z nietęgą miną oraz pomieszaniem w szarych oczach. Nie był z siebie zadowolony.

- Chryste! - zawołał z niedowierzaniem i przesunąwszy dłonią po twarzy, odsunął się na bezpieczną odległość, jakby co najmniej była trędowata. - Nie musisz przede mną niczego udawać, pani - rzekł w końcu zadziwiająco

łagodnym tonem. - I wiedz, że w Ashblane nikt nie żąda od niewiast cielesnej zapłaty w zamian za bezpieczeństwo. - Z tymi słowami opuścił komnatę szybkim krokiem.

Madeleine poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Przyłożyła palce do rozpalonych ust, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się wydarzyło.

Był pierwszym mężczyzną, który ofiarował jej protekcję, nie żądając niczego w zamian. Po tym jak ją całował, zorientowała się, że jej pragnie. Rozpaczliwie. Czy mogła mu zaufać?

- Nie - nakazała sobie stanowczo. - Nie rób sobie nadziei.

- Zdarzało jej się już wcześniej zawierzyć mężczyźnie i zawsze spotykało ją srogi rozczarowanie. Skończy doglądać Dougala, a potem... potem obmyślił plan ucieczki dla siebie i siostry.

Na odgłos kroków na korytarzu, zdusiła rumieniec. Czyżby to znowu był Ullyot?

Ku jej uldze na progu stała Jemie w towarzystwie starszego mężczyzny o imieniu Hugo.

- Hugo zabierze mnie do stajni. Jedna z klaczy lada chwila będzie się żrebić.

Maddy zmarszczyła brwi, swoim zwyczajem pełna obaw.

- Kiedy odprowadzisz go z powrotem?

- Za kilka godzin, pani. Od dwóch dni siedzi zamknięty w izbie. Świeże powietrze dobrze mu zrobi, a i przyda się na coś. Mówi, że lubi konie. Gillion też z nami pójdzie. Zdaje się, że twój paż i syn naszego pana bardzo się zaprzyjaźnili.

- Hugo obiecał, że jeśli dobrze się spiszę, będę mógł rankiem oporządzać i wyprowadzać konie i objeżdżać okoliczne wzgórza.

- Nie! - zaprotestowała ostro Madeleine. - Nie wolno ci wychodzić poza mury twierdzy, Jemie - dodała nieco łagodniejszym tonem. Tu jest bezpiecznie. Gdyby ktoś cię pojmał... urwała, by zebrać myśli. - Wolałabym, by

nie opuszczał Ashblane - zwróciła się grzecznie do starca, starając się ukryć panikę. - Nie chcę, aby coś mu się stało.

Końskie kopyta mogą być zdradliwe, Jemie. Nie podchodź do rumaków od tyłu i nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Jeśli któregoś wystraszysz, może cię kopnąć albo pogryźć, a wtedy trudno będzie coś zaradzić...

- Osobiście go przypilnuję, pani - Hugo spoglądał na nią z coraz większym zdumieniem. - Proszę się nie troskać. Daję słowo, że włos mu z głowy nie spadnie.

- Dziękuję.

Podchwyciwszy spojrzenie siostry, dostrzegła w nim błysk buntu i zawiedzionych nadziei. Nie wystawiaj się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo - miała ochotę krzyknąć. Trzymaj się blisko Hugo. Nie patrz nikomu w oczy i z nikim nie rozmawiaj. Nie mogła jednak wypowiedzieć tych słów na głos. Uśmiechnęła się tylko ze ściśniętym sercem, przyglądając się w milczeniu jak odchodzą.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, opadła na najbliższe krzesło i skoncentrowała siły na tym, by poskromić wszechogarniający lęk. Serce tłukło się jej w piersi tak prędko, że brakło jej tchu. Nienawidziła własnej słabości i niemocy, lecz nijak nie mogła im zaradzić. A jeśli postąpiła niesłusznie, zgadzając się, by Jemie poszła do stajni? Czasem wydawało się jej, że siostra nigdzie nie może czuć się bezpieczna.

Jeśli z powodu twych sekretów miałby ucierpieć choćby jeden mieszkaniec Ashblane, radzę ci, pani, wyjawić je teraz - przypomniała sobie słowa Alexandra.

Czy powinna była to uczynić? Choć była z natury podejrzliwa i nieufna, niemal uległa pokusie zwierzenia się Ullyotowi.

Niemal.

- Och, Jemie - szepnęła, zakrywając twarz dłońmi. - Nie wiem, jak zapewnić nam bezpieczeństwo, nie potrafię tego uczynić, a twoje rysy z każdym

dniem stają się coraz bardziej podobne do moich. Ktoś rychło to zauważy, a wtedy... przepadłyśmy. Która z nas zginie pierwsza? - zaszlochała bezgłośnie.

## *Rozdział siódmy*

Pogorszyło mu się - pomyślała Maddy, wsuwając w usta Dougala drewniany kołek i każąc mu go przygryźć. Tym sposobem, jeśli wdał się tęzec, przynajmniej nie pogryzie języka. Kozłek i maść z czosnku zdawały się pomagać, a mieszanka nasion kopru i szałwii, miód oraz ocet zbijaly gorączkę. Wiedziała jednak, że te eliksiry nie wystarczą.

Odprawiwszy wartownika za drzwi, zastawiła wejście stołem, po czym przyłożyła dłonie do torsu chorego. Tętno miał słabsze i mniej miarowe, oddychał z trudem i zaczynał majaczyć. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie jego serce we własnej piersi. Po chwili poczuła w uszach szum, a pod palcami żywsze pulsowanie. Nazajutrz będzie ją nękał ból głowy, ale nic to. Skoncentrowała wszystkie siły, by przekazać mu swą energię i przegnać z jego członków niemoc i odrętwienie. Kciukiem cały czas ugniatała mu prawe płuco, nie bacząc na spływające po czole strużki potu. Wkrótce jego oddech się uspokoił i pacjent zaczął nabierać powietrza swobodniej niż ona. Niemoc zaczęła powoli ustępować. Maddy dyszała ciężko, usiłując przerwać więzy, które paraliżowały ich oboje i skierować je na zewnątrz. W końcu przygryzła wargę do krwi i z największym wysiłkiem, na jaki mogła się zdobyć, oderwała ręce od Dougala, po czym padła bez czucia na podłogę.

Gdy nieco później otworzyła oczy, wpatrywał się w nią całkiem przytomnie z mieszaniną zdziwienia i niedowierzania.

- Ktoś ty? - zapytał ochryplym głosem. Wiedziała, że jest spragniony, ale nie miała siły ponieść ręki i podać mu czarki z wodą.

- Madeleine Randwick.

- Czarna Wdowa z Heathwater? - Tym razem na jego obliczu pojawiły się strach i konfuzja.

- Nie inaczej. Tak w każdym razie o mnie powiadają.

- Coś ty mi zrobiła? Czuję, jakbyś była we mnie... w środku...

Maddy przełknęła nerwowo ślinę. Rzadko zdarzały jej się takie niedopatrzenia. Od jak dawna jest przytomny? - zastanawiała się w popłochu. Zebrawszy się w sobie, z trudem podniosła się na nogi.

- Majaki to zwyczajna rzecz przy gorączce - wyjaśniła spokojnie i zebrała swoje olejki i mikstury. - Teraz nade wszystko potrzebujesz snu. Dużo snu. - Napar z rumianku i kozłka, który zaaplikowała mu do wypicia był bardzo mocny. Czy będzie jutro cokolwiek pamiętał? Oby nie. Izba poczęła krążyć jej przed oczami, po czym rozmazała się zupełnie, pozostawiając po sobie jedynie znajomą, pomarańczowo-szarą plamę. Osunąwszy się na ziemię, znowu odpłynęła w ciemność.

Oprzytomniała, słysząc szuranie ciężkiego, dębowego stołu po podłodze. Gdy uchyliła powieki, pogrążona w popołudniowym mroku twarz Alexandra Ullyota znajdowała się tuż przy jej twarzy.

- Co tutaj zaszło? - zapytał opryskliwie, dotykając palcem jej zranionej wargi. - Dlaczego drzwi były zamknięte na skobel i zastawione? I skąd ta rana? Dougal? - dodał niebezpiecznie niskim głosem, w którym czaiła się groźba.

Młodziak usiadł w pościeli, wyraźnie nie wiedząc, gdzie podziać oczy. Policzki płonęły mu żywym ogniem.

- Zaniemogła ni stąd, ni zowąd, panie, i omdlała - mruknął zawstydzony.

- I zostawiłeś ją na podłodze?

- Nie miałem siły podźwignąć się z łóżka. - Opuściwszy stopy na ziemię, ledwo się podniósł z posłania.

- Teraz, widzę, wstałeś bez wysiłku.

Dougal wbił wzrok w ziemię, i zaczerwienił się jeszcze bardziej. Po sam czubek nosa.



- Madeleine! - Alex potrząsnął ją lekko za ramiona, po czym pomógł jej stanąć na nogi. Natychmiast oparła się o ścianę i potrząsnęła głową, wciąż otumaniona.

Wyczuła, że kipi gniewem, choć stara się tego nie okazywać. W powietrzu czuć było wyraźne napięcie. Niespodziewanie wyciągnął dłoń i chwycił ją za łokieć. Bez zastanowienia Madeleine oparła się o niego całym ciałem. Nim jednak padła mu w ramiona, dostrzegła w jego oczach coś, czego nie widziała nigdy wcześniej u żadnego mężczyzny; szczerą troskę.

Przywykła raczej do tego, iż wzbudza prymitywną żądzę lub trwogę. Widywała je na wielu twarzach. U Noela, Harringtona, Edwarda, a także u zwykłych mieszkańców Heathwater i Ashblane. Dlatego zazwyczaj trzymała się z dala od ludzi i nie uskarżała na żywot w odosobnieniu. Tak było bezpieczniej, ale też nigdy nie zaznała przez to prawdziwej przyjaźni czy bliskości od drugiego człowieka.

A dziś rano Alexander Ullyot uratował jej życie, przy okazji narażając swoje własne. Bo do tego sprowadzało się jego zachowanie w obecności posłów od jej brata. Dlaczego wystawił się dla niej na tak wielkie niebezpieczeństwo? To zupełnie nie miało sensu. Właśnie miała się odezwać, kiedy wziął ją na ręce i ze srogą miną ruszył ku drzwiom.

- Zaczekaj, panie. - Dougal zatrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Lady Randwick nie jest taka, jak o niej powiadają. Jej czary są dobre, nie złe.

- Jakie znowu czary? Co ty pleciesz?

Skonfundowany młodzik spojrzał w oczy Maddy. Zamknęła szybko powieki, jakby chciała mu powiedzieć, żeby zamilkł.

- No... ja... sam nie wiem... - wyjąkał i odszedł na stronę.

- Wracaj do łóżka, chłopcze - polecił Alex nieco łagodniejszym tonem. - I nie frasuj się zanadto. Jutro znów będzie cię doglądała.

W korytarzu smagało przenikliwym chłodem. Madeleine nie zdołała opanować szczykania zębami. Znow zrobiło jej się ciemno przed oczami.



- Zi...m...no mi - wymamrotała, gdy wspinali się po schodach.

- Widzę, że przemarzłaś, dziewczyno.

Łoże w komnacie, do której w końcu weszli, okazało się olbrzymie.

Przytłumione światło rzucało cętkowane cienie na narzutę przykrytą sobolowym futrem. Izba niewątpliwie należała do mężczyzny. Była schludna, lecz z wyjątkiem kilku zawieszonych na ścianie mieczy, niemal pozbawiona ozdób.

Oprócz nich jedyną dekorację stanowił czerwono-złoty sztandar z mottem klanu Ullyotów pośrodku: *Soyez sage*.

- Czyja to łóżnica? - zapytała słabo, choć w głębi duszy znała już odpowiedź.

- Moja.

Mimo słabości poczuła, że kielkuje w niej gniew. *Soyez sage*. Bądź mądry. Ale jak? Dziś nie miała siły się przed nim bronić.

- Możesz być spokojna o swą cnotę - zakpił, kładąc ją pośrodku. - Jeśli zapragnę niewiasty, poszukam cieplej i chętniej. Na cóż zda mi się na wpół żywa od czarów wiedźma?

- Dougal będzie żył. - Pociągnęła go za rękaw. - Niebawem wydobrzeje. Głos z trudem przeciskał się przez jej szczekające z zimna zęby.

- Wiem. Ale czy ty wydobrzejesz? - Usiadł na posłaniu i bacznie jej się przyjrzał. - Tak się dzieje za każdym razem?

- Nie.

- Więc dlaczego teraz?

Z wyczerpania zapomniała o ostrożności.

- To przez... twą srebrną aureę... - Wsłuchiwała się we własne słowa, jakby jej głos należał do innej osoby.

- Madeleine! - Złapał ją za rękę, a kiedy otworzyła powieki, na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Zimno... mi... - Zaczęły wstrząsać nią dreszcze. - Za zimno. - Nie potrafiła nawet wykrzesać z siebie na tyle mocy, by wciągnąć powietrze w płuca.

- Na Boga, Madeleine! Oddychaj!

Próbowała się skoncentrować, lecz na próżno. Powoli odpływała w ciemność. A potem nagle poczuła błogie ciepło, które ogarnęło całe jej ciało. Od stóp, poprzez brzuch, piersi i policzki. Pochłonięły ją ogień i srebro, odpędzając z przemarzniętych członków odrętwienie.

Westchnęła z ulgą i przesunęła palcami po ramieniu, które ją ciasno obejmowało. Ukojona świeżym zapachem czystości, skór i dymu z paleniska, uśmiechnęła się i uspokojona, rozgrzana, zapadła w uzdrawiający sen.

Alex długo trzymał Madeleine w objęciach, dawał jej swoje ciepło, przeklinając jednocześnie cały świat. Jej brata i jego roszczenia wobec Ashblane, piętno, którym naznaczył ją Harrington i bajania Dougala o czarach. Przycisnąwszy ją mocniej do piersi, poczuł na swojej skórze jej spokojny, miarowy oddech. Nareszcie! Niechaj ją piekło pochłonie! Ją, Iana i Edwarda razem wziętych! Iana za to, że dał się usieć, Edwarda za to, że uczynił z niej nierządnicę. Przeklęty niech będzie Kościół ze swą wścibską prawością i nakazami. Nie mógł przecie walczyć z nimi wszystkimi, ale jakże miałby ją wydać tym bezwzględny krwio pijcom? Zostawić na pastwę losu?

Powoli zapadał zmrok. W oddali, na wzgórzach Cheviot, słychać było stłumione podmuchy wiatru. Boże Przenajświętszy, cóż on najlepszego czyni? Ashblane. Jego dom, jego ludzie i ziemie. Dlaczego przestał o nich myśleć? Lady Randwick samą swą bytnością pod tym dachem stwarza zagrożenie dla wszystkiego, co w życiu ukochał. Bunt będzie go słono kosztował. Potrząsnął głową i wciągnął w nozdrza jej zapach. Uśmiechnął się, wyczuwając mieszaninę kopru, żywokostu i szaławii. Zwykle zioła z ogrodu, nie wonne olejki, którymi oblewały się sprzedajne dziewczki. I nie jest żadną wiedźmą, lecz kruchą niewiastą wykorzystywaną niecznie przez silniejszych mężczyzn. Nie nazwałby

jej nawet Falstone'ówną. W każdym razie nie z krwi i kości, taką, jak jej bezwzględny brat. Miał powody wierzyć, że jest zacna i życzliwa. Dała tego liczne dowody. Wyleczyła nogę Dougala i jego własne ramię. Nikomu w niczym nie uchybiła, przeciwnie, odnosiła się do jego ludzi z uprzejmością, choć nie zawsze odpłacają jej tym samym. Gdybyż przynajmniej była sekutnicą, wszystko byłoby znacznie prostsze.

Ale nie jest. Żadna z niej jędza. I co tu z taką robić? Aż się zachnął.

Odsunawszy się delikatnie, wstał i otulił ją szczelnie sobolimi futrami po samą szyję. Na jej policzki z wolna powracały rumieńce, a zsiniałe usta nabrały zdrowego koloru.

Uzdrowicielka, która ryzykuje własne życie, by ratować cudze? Jawnogrzesznica o usposobieniu świętej? Madeleine Randwick to pełna sprzeczności zagadka. Kiedy tak na nią spoglądał, nie wyglądała ani trochę jak znana z opowieści w dwóch królestwach przebiegła i skłonna do kłówek intrygantka.

Ale czyż sama nie opowiadała mu o upodobaniu, z jakim obdarowuje mężczyzn swymi wdziękami? Czyż nie wyznała, że Lucien Randwick zginął z jej ręki?

Sięgnął po miecz i z grymasem niezadowolenia zasadził go z powrotem za pas. Tymczasem do izby weszła leciwa służąca z dodatkową poduszką.

- Kazać Ewanowi ją przenieść, panie? - zapytała, zerkając w stronę łóżka.

- Nie - odparł bez namysłu. - Ostawcie ją tutaj. Prześpię się w sąsiedniej komnacie.

- Każę przygotować posłanie. - Postąpiła chwilę w miejscu, przyglądając się śpiącej Maddy. - Wygląda coś krucho jak na niewiastę słusznego wzrostu. Aj, śliczna ci ona jak z obrazka, a i mądra jak niejeden mąż.

Alex zmarszczył brwi. Gospodyni przemawiała nazbyt poufałym tonem, by wypadało mu przytaknąć. Za nic nie przyznałby, że Madeleine wzbudza w nim jakiegokolwiek ciepłe uczucia.

- To Czarna Wdowa z Heathwater - rzekł ponuro.

- Może i tak, panie, tak mówią, ale moim zdaniem jest ździebko za młoda, by mogła dokonać choć połowy tych bezceństw, które jej przypisują. A Jock powiedział kiedyś...

- Dostyc! Milcz kobieto! - Spojrzawszy ostatni raz na Maddy, niemal wybiegł z komnaty.

Powędrował nad jezioro i usiadłszy pod rozłożystą paprocią, przez chwilę rzucał kamyki na wodę, puszczał kaczki. Kiedy skończył, uniósł dłonie i przyjrzał się im w świetle księżyca.

Odkąd pamiętał, był wojownikiem.

Przez lata walczył, dowodził, wymachiwał mieczem i zabijał. Tak długo, aż śmierć stała się jego nieodłączną i jedyną towarzyszką. Tylko tyle potrafił. Pochylił głowę i przesunął palcami po napiętych i obolałych mięśniach karku.

Czasem zdawało mu się, że jest sam całą wieczność. Zajmowały go wyłącznie sprawy klanu, czuwał nad bezpieczeństwem swych ludzi i dokładał wszelkich starań, by Ashblane pozostała niezdobytą i dobrze zarządzaną twierdzą. Przypomnił sobie powrót z Egiptu, ów spokój i ukojenie, które znajdował na wzgórzach Cheviot. Odnalazł tu prawdziwy dom. Bezpieczną przystań po latach tułaczki. Jako nieślubny syn brata Roberta the Bruce'a, ojca obecnego króla, nie wspominał dobrze ponieważ na nepotycznym dworze Szkocji. Ciągle zadawał sobie jedno pytanie - czy jeśli da schronienie i weźmie pod swój dach Madeleine Randwick, skaze tym samym na zagładę Ashblane?

- Ech, do czarta! - Rozdarty pomiędzy obowiązkiem i porywem serca zacisnął powieki. Targał nim gniew, bo wiedziała, że poczucie obowiązku musi zwyciężyć. Nie mógł przecie wyrzec się Gilliona, Katherine, Quinlana oraz sześciuset rodzin, które były od niego zależne od blisko dziesięciu lat. Nie mógł wydać na zgubę Ashblane - swego domu i jedynej pociechy. Dość tego deliberowania. Znajdzie jakiś sposób, by bezpiecznie odprawić lady Randwick,

a potem o niej zapomni. Poprzysiągł sobie tak właśnie uczynić. Wszak Isabella Simpson jest całkiem niezgorsza, no i do wzięcia.

Tyle, że nie jest Madeleine. Nie ma ani jej urody, ani tej siły i samodzielności, które tak bardzo go pociągają. Na samą myśl o ognistowłosej „wiedźmie” oblał się gorącem. Przeklęty los! Złorzeczając pod nosem, zrzucił szaty i wskoczył w lodowate wody jeziora.

## *Rozdział ósmy*

Madeleine obudziła się o świcie we własnej komnacie. Sądząc po długości cienia, który padał na ścianę, przespała co najmniej osiemnaście godzin. Katherine siedziała obok niej na tle ogromnego gobelinu zakrywającego prawie pół ściany.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się pogodnie, unosząc głowę znad robótki. - Przyniosłam ci kwiaty. - Kiwnęła w stronę glinianego dzbana u wezglowia.

- Gdzie ich nazrywałaś? - spytała ochryplym, zmęczonym głosem Maddy.

- Na łące, razem z Gillionem.

- A Dougal? Co z nim?

- Zdrów jak nowo narodzone dziecko. Ludzie gadają o cudzie, a sam Dougal wyśpiewuje każdemu, kto się nawinie, pieśni pochwalne na twą cześć. Wuj jest nieco mniej wylewny, lecz nawet on przyznaje, żeś w niczym niepodobna do swego brata.

Madeleine zarumieniła się po sam czubek nosa. Ostatnim razem, gdy widziała Alexandra Ullyota, leżała w jego łóżu przytulona mocno do jego nagiego torsu.

- Gdzie teraz jest? - Miała nadzieję, że nie wejdzie znienacka niezapowiedziany. Woląла, by nie oglądał jej w tym stanie.

- Wziął trzydziestu konnych i wyjechał jakiś czas temu. Nie wiem, po co. Przypuszczam, że z wizytą do Armstrongów, bo ruszyli w tamtą stronę. Ale

mogli też udać się do zamku Grantów. Ich ziemie graniczą od zachodu z naszymi. Tuż przy rzece Annan.

Maddy milczała w zadumaniu. Z jednej strony cieszyła się, że nie ma go w pobliżu, z drugiej nie była w stanie odegnąć obaw, co do celu jego wyprawy. Czyżby postanowił wynegocjować rozwiązanie problemu, którym była ona sama, a raczej jej pobyt w murach Ashblane? A jeśli zechce wykorzystać swą wiedzę na temat śmierci Luciena? Po cóż, na Boga, przyznała się przed nim do zabicia własnego męża? Odsunąwszy narzutę, próbowała się podnieść, lecz Katherine powstrzymała ją w pół drogi, przykrywając jej dłonie swoimi.

- Nie wolno ci wstawać. Pani Sim ma dla ciebie rosół i świeży chleb. Oto i ona.

Gospodyni przyprowadziła ze sobą Jemie i poprawiwszy starannie pościel i całe posłanie podała Madeleine suto zastawioną tacę.

- Dougal jest moim siostrzeńcem, lady Randwick - wyjaśniła z dumą. - Zaczny i urodziwy to młodzik. A i brat jego, Donald, także samo. Siostra, świeć Panie nad jej duszą, umierając, powierzyła ich mej opiece. - Wyjąwszy z kieszeni chustę, otarła łzy i wydmuchała głośno nos. - Dlatego nie dbam wcale o te bujdy, które opowiadają o tobie po korytarzach. Do końca swych dni będę ci wdzięczna za to, coś dla nas zrobiła.

- Poklepała rekonwalescentkę łagodnie po ramieniu i położyła obok niej na łóżku małe zawiniątko.

- Otwórz, pani, kiedy już pójdę. Będzie jak znalazł do , uzdrawiania.

Cieplutka pościel, wypełniająca izbę zapachem gorącego chleba, a nade wszystko życzliwe spojrzenia sprawiły, że Maddy doznała raptem dziwnego uczucia swojskości i zażyłości. Jakby znalazła się we własnym i przytulnym domu. Jemie też wydawała się zadowolona i dobrze wykarmiona, a Katherine specjalnie dla niej nazrywała kwiatów.

- No dalej, rozpakuj podarek - ponagliła z uśmiechem siostra.

Madeleine rozwinęła lniany tobolek i odnalazła w nim wysłużony, kamienny moździerz. Pewnie długo towarzyszył pani Sim w kuchni. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś jej coś podarował. Przysłuchując się trelom Kathy o nadchodzącym święcie, zaplanowanej na ten dzień biesiadzie i uporczywym kaszlu kapłana, poczuła nieopisany spokój i ukojenie. Codzienne troski składają się przecie na prawdziwe, godne życie, takie, jakie chciałyby mieć.

Poczucie bezpieczeństwa to taka krucha rzecz, pomyślała z niejakim smutkiem. W Ashblane czuła się niezagrożona prawie na każdym kroku. Zastanawiała się tylko, jak długo dane jej będzie się tym cieszyć.

Nie widziała Alexandra Ullyota ani nazajutrz, ani przez kilka kolejnych dni. Wiele razy kusilo ją, by zapytać Katherine, dokąd się udał, lecz obawiała się, że jej zainteresowanie może zostać poczytane zupełnie na opak.

By odegnać troski o przyszłość, postanowiła znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pomagała pani Sim w kuchni, regularnie odwiedzała stajnie i doglądała zielnego ogródka.

Z czasem zauważyła, że ludzie nie patrzą już na nią wilkiem tak jak niegdyś ani nie kreślą na piersiach krzyża na jej widok. Przeciwnie, coraz częściej zatrzymują się, by pogawędzić z nią o pogodzie, o sobie, albo o licznych dolegliwościach, które im doskwierają. Zaczęła więc przyrządzać swe lecznicze maści i mikstury. Wkrótce w jej komnacie unosiła się zdrowa woń ziół, niczym w kramie aptekarza, który odwiedziła swego czasu z matką w Londynie. Niektóre świeże zioła wieszała na oknie, by uschły, inne nad paleniskiem, by nie zapleśniały, jeszcze inne wkładała do flakonów i zalawszy wrzącą wodą, zatykała woskiem, tak jak uczyła ją tego babka. Zbierała także wczesny, jeszcze zielony czosnek i marynowała go w solance wraz z liśćmi kapusty - nadawały się idealnie do sporządzania gorących kompresów. W dużym glinianym garncu trzymała zaś znalezione w spizarni wodorosty



wyciągnięte z morza. Można ich było używać do czyszczenia krwawiących ran. Miały równie silne działanie jak czosnek.

Jemie zrobiła się bardziej rozmowna, a ciemne sińce pod jej oczami stały się niemal niewidoczne. Widywano ją wielokrotnie z Gillionem. Hasali razem po łąkach, śmiejąc się głośno i rozmawiając na migi. Madeleine natychmiast zwróciła na to uwagę, dochodząc na koniec do wniosku, że skoro chłopiec potrafi się śmiać, prawdopodobnie mógłby także nauczyć się mówić. Obiecała, że sprawdzi to za jakiś czas. Gdyby za bardzo go naciskała, mały zamknąłby się w sobie. Tymczasem pozostawiła sprawy w rękach siostry, która radziła sobie z młodym Ulyotem nadspodziewanie dobrze. Nie tylko zdobyła jego zaufanie, ale i odnalazła z nim wspólny język, co przecież wcale nie było łatwe.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem, nie mogąc się nadziwić swemu dobremu nastrojowi. Tu w Ashblane jej życie po raz pierwszy zyskało sens i nabrało rumieńców. Radosny śmiech Jemie i Gilliona, przyjaźń Kathy i matczyzna opieka pani Sim wzbudzały w niej uczucie szczęścia i ukontentowania. Wzniosłszy ramiona ku niebu, odetchnęła pełną piersią. Kiedy ostatnio było jej tak dobrze i błogo?

- Cóż ty wyczyniasz? - zapytała z rozbawieniem Kathy. Szły akurat wąską ścieżką wiodącą wzdłuż cmentarza.

- Oddycham - odparła beztrosko. - W Heathwater nigdy nie mogłam porządnie odetchnąć.

- Z powodu twego brata?

- Uhm. - Kiwnęła głową i zmieniła temat. Nie chciała dziś żadnych pytań, które przypominałyby jej o Noelu. - Dokąd mnie prowadzisz, Katherine? - zapytała, pospiesznie zmieniając temat.

- Do mej kuzynki. Brigid jest siostrzenicą ojca i... właśnie rodzi.

Nim Madeleine zdążyła dowiedzieć się czegoś więcej, skręciły w boczną dróżkę, która zaprowadziła ich do kamiennej chaty pokrytej strzechą. Przed



drzwiami znajdował się starannie utrzymany ogródek pełen pachnących ziół, ze środka zaś dobiegały głośnie jęki i zawodzenia.

- Chodź, musimy się spieszyć - rzekła Kathy, pociągając energicznie Maddy za rękaw.

Wewnątrz znalazły mężczyznę, obejmującego ramieniem młodą, ciężarną kobietę.

- Bogu dzięki Kitty, żeś przyszła. Brigid chce przeć - odezwał się zafrasowanym głosem. Gdy dostrzegł Madeleine, w miejsce ulgi na jego twarzy natychmiast pojawiła się podejrzliwość i nieufność. - Po coś ją tu przywiodła?

- Nie znam się na tych sprawach, Jamie, a Lillith powiada, że...

- Jesteś pani akuszerką? - zwrócił się wprost do Maddy lodowatym i nieprzyjaznym tonem, od którego przeszły jej ciarki po krzyżu.

W Heathwater nie pozwalano jej się zbliżać do brzemiennych kobiet, by nie zaraziła ich swą magią. Zarówno dzieci, jak i matki omijały ją z daleka, zaś jej własna bezpłodność miała być kolejnym dowodem na to, że jest wysłanniczką samego szatana, a nie niewiastą. Miała być diabłem w ciele niewiasty, rzucającym zły urok.

- Nie jestem pewna - zaczęła podenerwowanym głosem.

- Akuszerka, Lillith, nie przyjdzie - przerwała jej Katherine. Twierdzi, że dziecko jest źle rozwinięte i ułożone w nienaturalnej pozycji. Kazała nam obsypać Brigid jarzębiną i paciorkami bursztynu i wystrzelić strzałę ze wschodu na zachód. Ponoć miało to uśmierzyć ból. Zrobiliśmy, jak mówiła, ale nic to nie pomogło.

Maddy przesunęła dłońmi po twarzy, mnąc w ustach przekleństwo, które cisnęło się jej na usta. Strzała ze wschodu na zachód. Dobre sobie!

- A Hale - spytała. - Wasz medyk?

- Jest poza murami, na zamku Grantów. Jeszcze dziś rano matce Jamiego wydawało się, że z moją pomocą uda jej się samej odebrać poród, ale nic z

tego... To już dziesięć godzin, a dziecka jak nie było, tak nie ma. Jesteśmy zrozpaczeni.

- Quinlan wie, że akuszerka odmawia pomocy?

- Nie, ale nawet gdyby wiedział, uznalby, że to sprawy kobiet niegodne jego uwagi. Tak to u nas jest.

Matki umierają przy porodzie. Żadna z nich nie wypowiedziała tego na głos, lecz wszystkie trzy pomyślały o tym samym. Brigid mogła stać się jedną z takich matek. Usiadłszy na ławie, spojrzała błagalnym wzrokiem na Madeleine. Była taka młoda, nie miała pewnie nawet szesnastu lat.

- Jeśli mam cię zbadać, będę potrzebowała gorącej wody, czystych prześcieradeł i czosnku. Masz czosnek, Brigid?

- Tak, w ogródku.

- Dobrze. Namocz go, Kathy. Posłuży nam do przemycia rany. Pilnuj, by kolor był nasycony, inaczej płyn nie będzie dość mocny.

Zakasawszy rękawy, związała włosy w ciasny węzeł. Poczuła, że nad wargami zbiera jej się pot, lecz nie pora było myśleć o własnych niedostatkach i braku wprawy. Jeśli ona nie pomoże Brigid, to nikt jej już w niczym nie zaradzi. Mimo obaw, Maddy wierzyła w swe umiejętności i była przekonana, że opowieści krążące o niej w Heathwater są wyssane z palca. Prawdziwy uzdrowiciel potrafi znaleźć sposób na każdą dolegliwość. Nawet kobiecą.

Godzinę potem, choć brzemienna była nieco bardziej rozluźniona i spokojniejsza, dziecko nadal się nie pokazało. Zbadawszy wcześniej młodą matkę, Maddy odkryła, że akuszerka miała rację. Problem brał się ze złego ułożenia płodu. Wiedziała, że najpierw na świat powinna wyrzeć główka, a nie pośladki. Trzeba było go odwrócić. Ale jak i kiedy? Bóle pojawiały się dosłownie co chwilę i przybierały na sile. Odetchnęła głęboko i postanowiła natychmiast działać.

- Jamie, czy mógłbyś wyjść na podwórze i naznosić więcej drewna na opał? - Nie chciała, by oglądał to, co zamierzała zrobić.

Kathy spojrzała na nią z przestraczem.

- Zamierzasz użyć magii? - zapytała złęknioma.

- Nie, mocy uzdrawiania - odparła, kładąc Brigid ręce na brzuchu.

Przez rozciągniętą skórę, wody płodowe oraz pępowinę, wyczuła, że dziecko leży po lewej stronie, z pośladkami zakleszczonymi przy prawej ścianie macicy. A więc jest miejsce. Jeśli się pospieszą, zdążą je odwrócić, ale muszą zabrać się do rzeczy bardzo szybko.

- Weź głęboki wdech, Brigid - poleciała i zaczęła obracać małe ciało. Nie było łatwo, ale powoli pokonywała opór. Kiedy nadchodziły skurcze, przestawała, czekając aż miną i mierzyła puls na nadgarstku rodzącej. Potem, nie bacząc na wrzaski dziewczyny, kontynuowała przemieszczanie płodu. Jeśli jej się nie uda, oboje umrą. Czasem w leczeniu ważniejsza jest siła mięśni niż delikatność. To był właśnie jeden z takich przypadków. Zmęczona, oddychała coraz ciężiej, lecz przysięgła sobie nie poddawać się. Nareszcie, jak im się wydawało, po całej wieczności, udało się.

- Będiesz żyw, maluchu - powiedziała z uśmiechem, widząc wyraźnie główkę.

Brigid otworzyła oczy z nową nadzieją.

- Czuję je! Wychodzi! - Sapnęła i zaczęła przec.

Wkrótce w izbie rozległ się przenikliwy płacz zdrowego, różowiutkiego noworodka. Gdy Katherine podała dziecko matce, na jej twarzy pojawiły się łzy wzruszenia.

Jamie wpadł do izby i spojrzał z ulgą na swą młodziutką żonę i córkę.

Madeleine nie słyszała ich czulej rozmowy. Jak zwykle po tak wielkim wysiłku, dopadła ją przemożna słabość. Siedząc na podłodze w nogach łóżka, próbowała uspokoić swój poszarpany oddech.

- Maddy! Co ci? - dopadła jej zaniepokojona Katherine. - Twoje oczy!

- Co... z... dzieckiem?

- Dobrze. Brigid już ją karmi. Łóżysko też wyszło w całości. Ale... musisz wstać... - Z oczu przyjaciółki wзираła szczerą troską, lecz Madeleine dostrzegła w nich coś jeszcze. Znała to spojrzenie. Wyrażało strach przed nieznanym. Obawę przed czymś, co widziała, ale czego nie rozumiała.

- Powiedziałaś kiedyś, że chcesz zobaczyć moją magię - odezwała się zmęczonym głosem, przygnębiona. Dobry nastrój sprzed kilku godzin przysł, bo zrozumiała, że ludzka akceptacja to rzecz wyjątkowo ulotna. - Wiedz, że te czary, jak o nich mówisz, nie przychodzą mi łatwo. Czasem, tak jak teraz, muszę za nie płacić krwią i utratą przyjaźni.

Kathy potrząsnęła głową.

- Myślisz, że przez to, czego tu dziś byłam świadkiem, przestanę cię szanować? Że nie potrafię docenić twojej odwagi i twoich umiejętności? Widziałam, jak się bałaś, kiedy tu weszłyśmy i jak ze sobą walczyłaś. A jednak zrobiłaś, co trzeba. Pokochałam cię jak siostrę, Madeleine i klnę się na Boga, że nigdy, przenigdy cię nie zdradzę.

Maddy spodziewała się wszystkiego, nigdy jednak nie przypuszczała, że usłyszy z jej ust takie słowa. Wyciągnąwszy rękę, z ulgą przyjęła dłoń przyjaciółki. Była uzdrowicielką. Uznano ją za taką, i to gdzie - w Ashblane. Opowieści Noela o jej rzekomym zepsuciu i bezbożności były zwykłymi kłamstwami, ale sączony przez niego jad odniósł skutek, ponieważ słysząc je tak często, sama zaczęła w nie wierzyć.

Były takie chwile w jej życiu, że przestawała sobie ufać. Czy przyjście na świat tego malutkiego dziecka, w czym miała swój udział, może coś odmienić w jej życiu? Nagle pojęła, że wstąpiła w nią nowa siła. Niedorzeczne uprzedzenia i zabobony z Heathwater przestały się liczyć w jednej chwili. Odtąd najważniejsza dla niej będzie prawda oraz to, co dobre i prawe.

W tym niespodziewanym momencie iluminacji doznała kolejnego olśnienia. Może to nie ona jest jałowa? Może była to wina Luciena i jego

zepsucia, że nie powili dziecka? Może i jej będzie kiedyś dane, że zostanie matką? Urodzi dziecko? Jakże bardzo by tego chciała!

Odepchnęła od siebie tę myśl i przyjęła od Jamiego naczynie z wodą. Była bardzo spragniona i musiała przełknąć choćby mały łyk wody, żeby powstać.

## *Rozdział dziewiąty*

Alexander wrócił do domu trzy dni po narodzinach córeczki Jamiego i Brigid.

Madeleine ujrzała go po raz pierwszy z oddali podczas spaceru. Siedziała akurat na tyłach zamku i spoglądała na pobliskie łąki. Czując na policzkach obfity rumieniec, ucieszyła się, że dzieli ich tak duży dystans. Nie chciała się zdradzić, że go oczekiwała.

Miał na sobie tartan, którego wcześniej na nim nie widziała, i wydawał polecenia młodym adeptom sztuki wojennej. Chłopcy mieli nie więcej niż piętnaście, szesnaście wiosen. Dziś ćwiczyli szarżę. Ich zadaniem było trafić z konia w zawieszony na wysokim kołku worek z piaskiem. Tarcze, którymi się osłaniali, były zbyt ciężkie. Do tej pory żaden nie zdołał utrzymać równowagi. Jednemu z nich udało się, co prawda, pozostać w siodle, ale zawisł bezwładnie w strzemionach, gdy rumak gnał w najlepsze przez pole.

Potem sam Ullyot dosiadł swego wierzchowca i ujął w dłoń kopię. W przeciwieństwie do innych nie miał na sobie zbroi ani przyłbicy, więc Maddy przez chwilę zadrżała o jego bezpieczeństwo, tym bardziej że cel wydawał się ogromny. Nim popędził konia, stał przez chwilę bez ruchu, koncentrując uwagę. Wreszcie ruszył pędem i trafił w sam środek worka, który wyleciawszy w górę, minął go o włos i upadł z hukiem na ziemię.

Wiedziona impulsem Maddy poderwała się na nogi i poczęła klaskać w dłonie, dołączając w okrzykach zachwytu do skandujących na cześć wodza

chłopców. Gdy Alexander odwrócił się ze śmiechem w jej stronę, uradowała się. Zauważył ją i miała nadzieję, że jest mu to miłe.

Chwilę później ściągnął wodze, i znalazłszy się tuż przy niej odprawił wartownika, który jej pilnował. Wyglądał młodziej i mniej srogo niż zwykle. Jasne włosy miał w nieładzie, a na policzkach cień dwudniowego zarostu.

- Zatem lubisz, pani, przyglądać się zaprawie wojennej?

- Owszem. Zastanawiam się tylko, jak szwy na twym ramieniu, panie, zniosły tak wielki wysiłek?

- Używam prawej ręki - odparł lekko. - A cięcie miałem na lewej.

- Dobrze się goi? - Po założeniu opatrunku nie pozwolił jej więcej oglądać rany.

Zbył jej pytanie i zamiast odpowiedzieć zadał własne.

- W Heathwater też byłaś, pani, taka prężna? Katherine wciąż prawi mi o twych niezrównanych talentach uzdrowicielskich oraz niespotykanej wiedzy. - Błysnął zębami w uśmiechu i przytrzymał w miejscu konia. - Bez obaw, lady Randwick, to nie były słowa krytyki. Ostatnio słyszę o tobie same pochlebne rzeczy. Zyskałaś sobie, pani, wielu orędowników w Ashblane, muszę cię jednak uprzedzić, iż brat twój posłał na dwór Szkocji kolejną prośbę o interwencję w sprawie twego uwolnienia. W każdej chwili mogę otrzymać od króla pismo z żądaniem zwrócenia cię rodzinie.

- Wypełnisz ten rozkaz, panie?

- A czemuż miałbym go nie wypełnić? Nie odpowiedziała.

- Narysuj mi mapę Heathwater - odezwał się po chwili uciążliwego milczenia. - Ze wszystkimi tunelami, wierzejami i zasobnością uzbrojenia.

- Nie mogę.

- Nie możesz? - powtórzył, marszcząc czoło.

- Nie potrafiłabym zrobić tego należycie. Wyświadczę ci tym jedynie przysługę, panie. Heathwater to forteca nie do zdobycia, podobnie jak Ashblane. Choćbyście posiadli misterną wiedzę na temat jej konstrukcji, wielu poległoby

przy próbie sforsowania murów. Nie chcę mieć was na sumieniu. Pamięć ludzka jest zawodna i mogłoby się okazać, że niektóre z lochów i tuneli istnieją tylko w mej wyobraźni.

- Wielu z nas i tak ginie w boju niemal codziennie, lady Randwick.

Cmentarz pełen jest mężnych ludzi z mego klanu.

- Może zatem nadszedł czas, by pójść po rozum do głowy? Spojrzał na nią wyczekująco spod uniesionych brwi.

- Gdyby jedna ze stron zaniechała nienawiści i wyraziła gotowość zawieszenia broni...

Po jego twarzy przebiegł grymas gniewu.

- Dalibóg, naprawdę wydaje ci się, pani, że to wystarczy? Jak dobrze znasz brata?

Pokraśniała, przypomniawszy sobie, że Noelowi zdarzało się nie dotrzymywać warunków rozejmu.

- Wystarczająco dobrze, jak widzę - dodał miękko. - Na tyle dobrze, by przyznać, że Falstone to łgarz i obłudnik. Oszukał już niejednego głupca, który mu zawierzył.

Jego oczy przybrały ciemną, bardziej posępną barwę.

Madeleine natomiast przywodziły na myśl skąpaną w księżycowej poświacie tafłę jeziora.

Próbowała obmyślić odpowiedź, która rozładowałaby napięcie, lecz na próżno. Dlaczegoż nie potrafi traktować go jak wszystkich innych mężczyzn? Z obojętnością, dystansem lub przyganą?

Bo od chwili, gdy w lasach Liddesdale jej ręce spoczęły na jego poranionym ciele, czuła, że jest między nimi silna więź. Bo za fasadą, którą ukazywał światu, skrywał łagodniejsze, bardziej przystępne oblicze oraz samotność. Tak wielką, jak jej własna.

W dodatku samo patrzenie na niego sprawiało jej niewysłowioną przyjemność. Choć wyróżniał się spośród innych wzrostem i mocną sylwetką,

nie było w nim ani krzty niezdarności, przeciwnie, miał w sobie wiele naturalnej lekkości i wdzięku. Jest zwyczajnie piękny, pomyślała nagle i natychmiast zamarła z przerażenia. Przez krótką chwilę wydawało się jej, że mogła wypowiedzieć te słowa na głos. Szczęściem, gdy nieśmiało zerknęła w jego stronę, przyglądał się dwu zmierzającym ku nim niewiastom. Wkrótce dołączyły do nich, jedną z nich była Katherine z bukietami polnych kwiatów w każdej ręce.

- Witaj Kitty. Witaj Meg.

Jej towarzyszka zachichotała i oblała się rumieńcem. Albo mi się zdaje - pomyślała Maddy - albo na widok Alexandra Ullyota każda kobieta na tym zamku zaczyna się krygować, mizdrzyć i głupkowato uśmiechać. Ze mną na czele, dodała, ganiąc się w duchu za brak rozsądku.

- Nazrywałyśmy kwiatów dla Patricka i Iana. Czy Madeleine może udać się wraz z nami na groby?

Skinął głową.

- Nie zapuszczajcie się poza cmentarz i wróćcie przed wieczerzą - polecił z powagą, po czym zawrócił konia i odjechał w stronę gromadki uczniów.

- Jenny McLeod powiada, że ożeni się jeszcze przed końcem roku - oznajmiła Meg, gdy oddalił się na tyle, by nie usłyszeć ich rozmowy. - Widziała zaślubiny dziedzica we śnie. Ponoć wyglądali jak żywi.

- Kto taki? - zainteresowała się Kitty.

- No, baron Ullyot i jego nowa żona. Któżby inny?

- Aha - westchnęła Katherine. - A jak podług Jenny wyglądała owa oblubienica?

- Hm... no cóż. Trochę to dziwne, ale nie widziała twarzy, bo zakrywał ją gęsty welon. W każdym razie była wysoka.

- Może to ty, Madeleine? Też jesteś wysoka. - Przewróciwszy oczami, Kathy rzuciła w przyjaciółkę bukietem i zaintonowała weselną przyśpiewkę. Maddy zawtórowała jej śmiechem, po czym poczęła się zastanawiać, jakby to



było móc na zawsze pozostać w Ashblane. Rozgniewana na samą siebie, niemal natychmiast złała się za marzenia, które nigdy się nie spełnią. Nie była już młodką ani tym bardziej kobietą bez skazy. Przeciwnie, ciążyła na niej zła sława.

Jakże myliła się jej matka, sądząc, że zapis w testamencie zapewni jej bezpieczeństwo. Tymczasem darowane w spadku ziemie stały się dla niej prawdziwym przekleństwem. To z ich powodu stała się bezwolnym narzędziem w rękach okrutnego brata i innych wpływowych wielmożów. Od czternastego roku życia walczyła o przetrwanie i już była tą walką znużona. A teraz... teraz po raz pierwszy poznała mężczyznę, który okazał się nie tylko uczciwy

- Powiadasz, że wuj jest urodziwy?

- Więcej niż urodziwy. Powie ci to każda niezamężna niewiasta w Ashblane, a i kilka zamężnych spogląda na niego chutliwym wzrokiem.

- Czemuż więc nigdy nie ożenił się ponownie? - zapytała z uśmiechem Maddy.

- Jakoś się nie złożyło. Chciał znaleźć sobie żonę, lecz długo przebywał poza granicami kraju. Najpierw na dworze króla Francji, Filipa, potem w Egipcie. Po powrocie zaś, ledwie minęło kilka dni, a już był po słowie z Alice the Fair. Gdy zmarła, zrazu przestał zważać na kobiety.

- Tak bardzo ją miłował?

- Alice była kapryśna i bojaźliwa - wtrąciła Katherine.

Jak znosił to mężczyzna, który nie pobłaza słabości? - zamyśliła się Madeleine. - Lękała się własnego męża? - zapytała. Raptem zapragnęła dowiedzieć się wszystkiego.

- Możliwe - odparła z namysłem Kathy. - Gillion, zdaje się, odziedziczył tę płochliwość po matce. U pacholęcia jednak o wiele łatwiej to znieść.

- Nie lubiałaś jej?

- Nie znałam jej zbyt dobrze. Miałam zaledwie dziesięć lat, gdy odeszła z tego świata. Zapamiętałam jedynie, iż była nieczuła i wyniosła. Nawet dla dzieci. Właściwie... do wszystkich odnosiła się z rezerwą. Nikt nie oplakiwał jej śmierci. Jakby zniknął cień, a nie niewiasta z krwi i kości. A wuj nigdy więcej z nikim o niej nie rozmawiał.

Madeleine przypomniała sobie jasnowłosą piękność i ślady upojnych chwil na szyi Alexandra. Zapewne ukrywał swe nocne uciechy przed krewnymi. Meg miała rację. Jest więcej niż urodziwy. Wydaje się surowy i szorstki, lecz jednocześnie ma w sobie nieodparty wdzięk, a nade wszystko imponującą siłę i nieugiętą wolę. W jaki to sposób lękliwa Alice radziła sobie z tak niezłomnym mężem? Zważywszy na wspomnienia Katherine, zapewne marnie. A może

wszyscy się mylili? Nikt przecież nie wie, co objawia się między kobietą a mężczyzną, zwłaszcza wtedy, kiedy są dla siebie mężem i żoną.

Niebawem znalazły się przy grobach i zmieniły temat rozmowy. Maddy przywitała tę chwilę z radością. Nie chciała, by jej towarzyszki zorientowały się, iż od rozmyślenia o Ullyocie zaczynają piec ją policzki.

Została na cmentarzu po tym, jak Katherine i Meg odeszły do swoich spraw. Wyczuwała za plecami obecność żołnierza, którego wysłano, by jej pilnował, lecz nie przeszkadzało jej to, że nie może być sama.

Podeszła do dwóch świeżych kurhanów. Ian Ullyot i Patrick Lambie - głosiły wydrapane na drewnianych tabliczkach napisy. Jej wybawiciel dożył ledwie dziewiętnastu lat. Był młodszy od niej. Kiedy tak stała nad jego mogiłą, znowu zrobiło jej się ciężko na sercu. Życie i przyszłość wydały się nagle kruche i ulotne. Podniósłszy wzrok, zauważyła Gilliona. Stał nieopodal, bacznie się w nią wpatrując.

- Witaj - odezwała się i zachęciła gestem, by do niej dołączył.

Gdy usiadł przy grobie Iana, w jego oczach pojawił się smutek, a mała rączyna spoczęła opiekuńczo na usypanym z ziemi kopcu.

- To wielka strata. Współczuję ci. - Wypowiadając każde słowo z osobna i powoli, zastanawiała się, czy Gillion potrafi czytać z ust.

Nie zareagował.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Ja mam na imię Madeleine.

Znów nie odpowiedział. Ująwszy w dłoń patyk, nakreśliła na piasku: jestem Madeleine.

Tym razem zyskała jego uwagę. Pierwszy raz spojrzał wprost na nią, więc dodała kolejne zdanie: Jemie jest twym przyjacielem.

Kiwnął głową i przyjął od niej patyk. Przez chwilę wydawało się jej, że go wyrzuci, ale nie. Zamiast tego stał jej napisy i zaczął rysować. Wkrótce na ziemi pojawiła się twarz kobiety. Jej twarz. Rozpoznała swoje oczy, nos i włosy.

- Boże miłosierny - wyrwało się jej, gdy skończył i oddał Jej gałązkę. Nie mogła wyjść z podziwu nad finezją obrazka.

Ja - podpisała podobiznę i zajrzała mu w oczy. Uśmiechnął się szeroko, a ona klasnęła w dłonie i poczęła odrysowywać nowe kształty; zamek Ashblane i dwoje ludzi - Gillion i Katherine.

Bez namysłu dodał jeszcze jedną męską postać, która obejmowała ramionami pozostałe. Tata. - nakreślił koślawe litery i poderwał się na nogi, wyczuwając za plecami poruszenie. Madeleine poszła w jego ślady i ujrzała Ullyota. Był umorusany i zmęczony całodziennymi ćwiczeniami z młodzieżą.

- Poznałaś, pani, mego syna Gilliona? - Pogładził złote loki chłopca, a ten wtulił się w niego na moment, po czym umknął, zabierając po drodze patyk. Niemal natychmiast za chłopcem pojawił się wartownik. Zatem mały nie biegał samopas.

- Katherine zdradziła mi, że nie ma matki.

- Prawda. Moja żona, Alice, zmarła w połogu.

- Bardzo ci współczuję, panie.

Kiwnął głową, przyglądając się z uśmiechem synowi.

- Jest głuchy od momentu narodzin, a ja nijak nie potrafię temu zaradzić - powiedział to jakby niechcący, po czym zaraz się zmitygował i umilkł. Madeleine nie spodziewała się, że usłyszy z jego ust cokolwiek więcej.

Mimo wszystko zatrzymał chłopca przy sobie, pomyślała z uznaniem. Większość wielmożów na jego miejscu zwyczajnie pozbyłaby się kalekiego potomka, uznając ułomne dziecko za niegodnego dziedzica.

- Nie słyszy zupełnie niczego?

- Niestety. - Poruszył się niespokojnie i przeczesał dłonią włosy. Maddy zobaczyła w nim nagle kogoś więcej niż nieustraszonego wojownika i wodza, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić. Zobaczyła rodzica, który kocha swoje dziecię i martwi się o nie.

- I nie mówi? - Spojrzał na nią w taki sposób, że wnet pożałowała swego zainteresowania. - Mogę pomóc?

- Niby jak?

- Są sposoby na to, by mówić, nie używając słów. Pozwól mi, panie, pokazać je Gillionowi. - Stanąwszy na wprost niego, złożyła ręce jak do pacierza.

Uśmiechnął się na ten widok, a jej zrobiło się ciepło na sercu.

- Gdybyś pomogła memu synowi, lady Randwick... urwał i spojrzął na stojącego w pobliżu żołnierza, mierząc wzrokiem odległość.

Sprawdza, czy słyhać, o czym rozmawiają, domyśliła się. Jest powściągliwy i ostrożny. Tak jak ja.

Znów ogarnęło ją poczucie więzi. Uczucie to pojawiło się nagle, jak błysk światła. Odwróciła się, by nie dostrzegł niczego w jej oczach. Widział ich nie tylko strażnik. Na horyzoncie pojawili się także spacerujący dotychczas po dziedzińcu Quinlan i Dougal.

- Pozwól mi, panie, praktykować w Ashblane uzdrawianie a zajmę się przypadłością twego syna.

- Nie jestem pewien, czy to bezpieczne. Siostra Falstone'a miałyby sprawować opiekę nad Ullyotem?

Poczuła się, jakby ją nagle uderzył.

- Widzę, że nie muszę się obawiać - rzekł, nim zebrała się na odpowiedź. - Wyczytałem odpowiedź z twojej twarzy. Dostaniesz, pani, oddzielny pokój do leczenia. Oczekuję, że zadbasz o to, by nie urazić Hale'a. To zacny starzec. Wspomaga nas od wielu lat.

Maddy nie dowierzała własnym uszom. Marzyła o czymś takim przez całe życie. W Heathwater Noel nigdy nie ufał jej na tyle, by uczynić ją nadwornym medykiem. A teraz Alexander Ullyot chce jej na to pozwolić.

- Czasem mogą mi się przytrafiać niepowodzenia - powiedziała przyciszonym głosem, próbując powściągnąć nadmierne emocje. Lepiej ostrzec go naprzód, niż zbierać cięgi poniewczasie.

- Tylko czasem? - zakpił z uśmiechem. - Jak często? Potrafisz, pani, uściślić?

- Jedynie w najgorszych razach. Kiedy rany zbyt długo wystawione będą na zepsucie.

- A białogłowy? Ich również zechcesz doglądać w połogu?

Zawstydzila się, nienawykła do tego, by omawiać podobne sprawy z mężczyzną.

- Dowiedziałeś się, panie, iż pomogłam przy narodzinach córki Jamiego i Brigid?

- I owszem. Słyszałem także, że niełatwy był to poród. Akuszerka ponoć odmówiła porady. Życzyłbym sobie, by to się więcej nie powtórzyło.

- Nie powtórzy się. Masz na to moje słowo.

- Pomożesz przyjść na świat każdemu niemowlęciu? Nawet wtedy, jeśli będzie opacznie ułożone?

- Jako żywo, panie.

- Nawet wtedy, jeśli oczy jeszcze nieraz nabiegną ci od tego krwią?

- Kto ci o tym doniósł, panie?

- Katherine. Martwiła się twym stanem. Nadto w lewym oku nadal nosisz ślady czerwoności. Jak do tego doszło?

- Dziecko utknęło w łonie. Musiałam w nie wejrzeć.

- Tak jak przedtem wejrzałaś w trzewia Dougala? Zamarła, przestraszona.

- Powiada nieborak, że czuł, jakbyś wniknęła w jego wnętrze niczym rozgrzewające światło. Od tej chwili zaczęło mu się polepszać. Ja również coś takiego zapamiętałem, choć leżałem bez świadomości, gdy opatrywałaś mnie w lesie.

Nie zapomniała wcale tego dziwnego uczucia, kiedy jej się opierał, jakby nie chciał, aby mu pomogła. W końcu przewyciężyła go, może udało się jej, bo leżał bez świadomości? Tak wtedy myślała, ale świadomość była, sam się teraz do niej przyznał. Nie powie mu o tym. Nigdy. Może kiedyś domyśli się sam?

- Napar z kozłka to silny eliksir, panie. Może sprowadzić na chorego omamy.

Roześmiał się, wprawiając ją tym w osłupienie. Czyżby jednak...?

- Z końcem każdego tygodnia będziesz mi, pani, zdawać sprawę z tego, jak ci się wiedzie. Gdybyś napotkała trudności, chcę o nich wiedzieć pierwszy.

Wyciągnęła do niego rękę, by przypieczętować układ. Wydawał się zaskoczony, lecz ujął jej dłoń w swoją. Gdy to uczynił, Maddy ujrzała ich nagle oczyma duszy zupełnie nagich, splecionych w namiętym uścisku. Ostatkiem sił powstrzymała się, by nie odskoczyć jak oparzona. Miała nadzieję, że nie zauważył żywych rumieńców, którymi spłonęły jej policzki.

- Muszę... muszę już wracać - bąknęła zmieszana, czując, że Alexander obrzuca jej postać spojrzeniem pełnym męskiej aprobaty.

Szczęściem od strony zbocza nadszedł jakiś starzec, który najwyraźniej chciał się z nim rozmówić.

- Szczwana z niej lisiczka - zauważył Angus Ullyot, uśmiechając się z uznaniem. - I choć powiadają, że wodzi mężczyzn za nos piekielnymi sztuczkami, nam jak do tej pory ukazuje łagodne oblicze. Żona moja, Patrycja, świeć Panie nad jej duszą, wyniszczyłaby ci to lepiej. Miała ci ona nieboga szczególny dar. Potrafiła rozpoznać dobro. Mawiała, że człek cnotliwy zacność ma wymalowaną w oku. A oczęta lady Randwick to szczerze złoto. Ale jest w nich także smutek i przezorność. Widzi mi się, że musiała kiedyś wiele od ludzi wycierpieć...

Jako że nie wiedział, co rzec, Alex odchrząknął.

- Prawda - odezwał się w końcu. - Jak na niewiastę, która przybyła tu jako zniechęcona siostra Falstone'a, radzi sobie w Ashblane nad wyraz dobrze. Ojciec MacLaren nadal wymyśla jej odsekutnic podczas niedzielnej mszy?

- A gdzieżby tam. Zdaje się, zapomniał już o swej niechęci. Sprawiała to sama, bez większego trudu.

- Jak?

- Za sprawą mikstur na kaszel. Zostawia je w kaplicy, kiedy nie ma go w pobliżu i nie może jej przepędzić.

- A on je... przyjmuje - zaśmiał się w głos Alexander.

- Wszelkie oznaki na niebie i ziemi na to wskazują. Podczas ostatniego nabożeństwa zakasłał tylko dwa razy i nie musiał przerywać kazania.

- Zaiste, niezbadane są wyroki boskie. - Ogarnęło go raptem zadowolenie i przedziwny spokój. Dookoła rozbrzmiewał świergot ptactwa i szelest listowia. Z oddali dobiegały nawoływania i śmiechy dziatwy, która harcowała na dziedzińcu. Chciałby usłyszeć kiedyś wśród nich głos Gilliona. Płonne nadzieje - pomyślał i spochmurniał równie nagle, jak przedtem poweselał. Nie warto dawać wiary czczym obietnicom. Bóg jeden wie, że w przeszłości karmił się nimi zbyt często. Zawrócił i udał się w stronę zamku, otrząsając przedtem buty z błota.

Madeleine zmierzała z wolna ku wieżom zamku. Nawet z tak daleka jej długi, rudy warkocz połyskiwał w popołudniowym słońcu niby żywy płomień.



## *Rozdział dziesiąty*

Madeleine przygotowała izbę, która miała jej posłużyć do uzdrawiania, z zapalem człowieka, któremu marzenia spełniły się po latach długich i tęsknych wyczekiwań. Włożyła całe serce w szorowanie, czyszczenie ścian i podłogi oraz gromadzenie ziół i sporządzanie eliksirów. Tym większe było jej rozczarowanie, gdy wreszcie otworzyła z rozmachem drzwi i nie znalazła za nimi nikogo.

Nikogusieńko.

Żadnego mieszkańca Ashblane z zimnicą, kaszlem, raną do opatrzenia lub innymi dolegliwościami.

- Może mają pilne zajęcia - pocieszała ją Jemie, jej pomocnica. - Nie frasuj się. Przyjdą zapewne po obiedzie albo po wieczery.

- Albo nie zjawią się wcale - odparła, rozzłoszczona na samą siebie. Niepotrzebnie robiła sobie nadzieje. Przypuszczała, że ludzie zwyczajnie nie chcą pokazywać się z nią otwarcie, wolą zadawać jej pytania potajemnie. Przygryzła wargę, uświadomiwszy sobie, co to dla niej naprawdę oznaczało.

Siostra przyglądała się jej z namysłem.

- Gdyby udało ci się namówić samego dziedzica, by zaszedł do ciebie po radę, inni jak nic uczyniliby to samo. Hugo powiada, że ludziska idą za nim stadem jak owce, bo też i przedni z niego baran.

Maddy uśmiechnęła się mimo woli.

- Hugo ma, zdaje się, szkodliwy wpływ na twój język, Jemie. Ale może i słusznie prawisz. Zostań tu i pilnuj, czy kto nie nadchodzi. W razie czego każ czekać. Wracam rychło.

Odnalazła Alexandra w komnacie, której używał za dnia. Siedział za stołem, obłożony manuskryptami. Niektóre z nich spisano po angielsku, inne po francusku, a jeszcze inne po arabsku, co odkryła z niejakim zdumieniem. Czytał we wszystkich tych językach? - zastanawiała się, wpatrując się w niego w zadumie.

- A, lady Randwick - odezwał się, odsunawszy na bok gęsie pióro i  
flaszkę z inkaustem. - Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Zawahała się. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jakby nie spał całą noc.  
Nie chciała obarczać go dodatkowo swoimi sprawami. Skoro jednak się tu  
znalazła, a on patrzył na nią wyczekująco, nie miała wyboru. Musiała się  
odezwać.

- Moja izba do uzdrawiania jest już gotowa, ale jak dotąd nie pojawił się  
żaden chory.

- I?

- Przyszłam do ciebie, panie, by dowiedzieć się, czemu nie zajrzał do niej  
nawet pies z kulawą nogą.

- Może nikomu nic nie dolega? - podsunął nie bez ironii.

- Dolega, a jakże. Wiem to na pewno. Helena opowiadała mi wczoraj o  
przytłuczonym palcu, Callumowi dokuczają stawy, a Anna ma wysypkę od  
zrywania - urwała, widząc jego uniesione dłonie.

Zaczynam paplać niczym przekupka na targowisku, stwierdziła z  
niedowierzaniem. Kiedy się tego nauczyłam? Nie należała do osób szczególnie  
wymownych, lecz tu, w Ashblane, słowa zdawały się same spływać jej z ust.

Uśmiechnęła się, niespeszona i zaczęła od nowa:

- Nie wiem, jak zachęcić ludzi, by do mnie przychodzili. Gdyby  
odwiedziła mnie choćby jedna osoba, może wtedy...

Podniósł się z krzesła i podszedł do niej sprężystym krokiem. W świetle  
padającym od okna jego ramiona wydawały się nienaturalnie szerokie. Jej brat i  
nieżyjący mąż wyglądaliby przy nim jak słabowite chuchra.

- Dlaczego upierasz się, pani, by leczyć, skoro przysparza ci to jedynie  
ból?

- Bez tego nie byłabym sobą. Gdy nie uzdrawiam, czuję, jakbym miała w  
sercu wielką pustkę. - Przyłożyła sobie rękę do piersi, spoglądając mu prosto w  
oczy.

- Moja matka też była uzdrowicielką. Pamiętam, że mówiła to samo.

- Twoja matka? - Madeleine nawet nie starała się ukryć zdumienia. - Jak ją zwali?

- Margaret Ullyot z Glenshire, ale mawiali o niej Biała Wiedźma.

- O wiele to lepsze niż Czarna Wdowa - odparła z uśmiechem. Gdy zauważyła, że udało jej się go rozbawić, poczuła nagle tak przemożną falę pożądliwości, pragnienia bodaj dotknięcia go, że niemal ją to zachwiało. Nie poznawała samej siebie. Dotychczas starała się za wszelką cenę stronić od zmysłowych przyjemności. Cóż jest warta jałowa niewiasta w oczach żarliwego kochanka? A teraz działy się z nią rzeczy, których nigdy wcześniej nie zaznała. Przerazona, odsunęła się pospiesznie na bezpieczną odległość.

Na wszelki wypadek. Nie mogła już ufać samej sobie. Aż świerzbiły ją palce, by dotknąć czule blizny na jego policzku. Czy to dlatego, że całe życie otaczali ją mężczyźni podli lub maluczcy, właśnie Alexandrowi Ullyotowi udało się stopić w jej sercu lód niechęci.

Przymknąwszy powieki, zaczerpnęła głęboko tchu.

Na jej sumieniu ciąży mnóstwo kłamstw i niejedna niezawiniona śmierć. Ludzie ją szkalują albo nią pogardzają. Nadali jej przydomek Czarna Wdowa. Widać mają powody, by jej nienawidzić, a zwłaszcza Alexander Ullyot, chociażby ze względu na jej brata. Otrzeźwiła ją ta myśl, jak również jego kolejne słowa:

- Mam ranę na kolanie. Mogłabyś ją, pani, opatrzyć.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Po tym, jak wyleczyła mu ramię, nie pozwolił jej się do siebie zbliżyć. Nawet nie mogła sprawdzić, jak goi się rana.

- Uczyniłbyś to dla mnie, panie? Pójdiesz ze mną do mej izby?

- Pójdę - odrzekł spokojnie, choć najwyraźniej była to ostatnia rzecz, na jaką miał w tej chwili ochotę.

- Och, bardzo ci wdzięczna - urwała, gdy minął ją bezceremonialnie i niemal wybiegł na korytarz. Pędził tak prędko, iż doszła do wniosku, że owa rana, na którą się skarżał, nie może być poważna.

Mieli do pokonania spory dystans, więc kiedy wreszcie dotarli do celu, podążał za nimi sznureczek ciekawskich. Maddy zastanawiała się, czy Alexander nie ma nic przeciwko tak dużej publiczności, lecz unikał jej wzroku, a jego oblicze pozostało nieodgadnione.

Zdenerwowana, poprosiła, by usiadł i podciągnęła szatę, w którą był odziany. Nie zauważyła ani śladu obrażeń. Oba kolana wyglądały zupełnie zdrowo.

- Która to noga? - zapytała szeptem. Nie chciała, by inni usłyszeli jej słowa. Teraz była już pewna, że nic mu nie dolega i przyszedł tu tylko po to, by jej pomóc.

- Lewa. - Pochyliwszy głowę, pokazał jej małe zadrapanie. Nawet nie mrugnął, kiedy dotknęła siniaka. Za to trzymał goleń tak, by pozostali nie dostrzegli oszustwa.

- Jak się zraniłeś, panie?

- Podczas zaprawy. Ćwiczyliśmy szarżę, a nie jestem już tak zwinny jak dawniej.

- Z miejsca, z którego was oglądałam, wydawało się, że nie brak ci wprawy. Gdzie uczyłeś się wojennego rzemiosła, panie? Tutaj, w Ashblane?

- Nie. Pobierałem nauki we Francji. W służbie u króla Filipa. Czasy były burzliwe.

- Wiem od Katherine, że walczyłeś w bitwie pod Crecy i Calais. Potem byłeś ponoć w Egipcie?

- Prawda, byłem - odparł ponuro. Zorientowawszy się, że nie chce o tym mówić, wstała i sięgnęła po wodę i bandażę. A więc podróżował nie tylko do Francji, ale i do dalekich, pustynnych krajów. Po co tam jeździł i z kim? Wyprawy krzyżowe zakończyły się przecie z górą pół wieku temu. Przypo-

mniała sobie arabskie manuskrypty. Skoro czyta w tym języku, zapewne ma jakoweś bliskie związki z tamtejszą kulturą.

Próbując wyciągnąć z niego więcej, ubrała swe myśli w słowa:

- Ciekawam bardzo, jak to jest podróżować po świecie? Gdybym urodziła się chłopcem - urwała, zmieszana, widząc, że Alexander się uśmiecha.

- Ruszyłabyś, pani, na wojnę - dokończył za nią.

- A jakże.

- Raduj się, iż nie dane ci było wojować. Wielu bowiem poległo, a ci, którzy przetrwali boje, wrócili całkiem odmienieni.

- Tak jak i ty, panie?

- I owszem.

Wnosząc z jego tonu, iż nie życzy sobie dalszej dyskusji, umilkła i zabrała się do przemywania rany. Same mięśnie i ścięgna, pomyślała, bezwiednie powiódłszy dłonią po opalonej łydce. I blizny. Raptem zauważyła, że przygląda się jej uważnie spod oka, i splonęła ognistym rumieńcem. Znów ogarnęła ją fala gwałtownego pożądania, a wraz z nią przerażenie. Palce odmówiły jej posłuszeństwa i wypuściła z nich bandaż. Zadowolona, że ma wymówkę, by się od niego odsunąć, przeszła w drugi koniec izby i sięgnęła po czysty okład. Boże, dopomóż, modliła się w duchu, próbując uspokoić oddech. Nie pozwól, żeby wyczytał z jej twarzy to, co tak często widywała u matki. Eleonora de Cargne oddawała się uciechom z każdym, kto wpadł jej w oko.

Nie. Nie wdała się w swoją rodzicielkę. Jest nade wszystko uzdrowicielką. Nie potrafi dać mężczyźnie potomka. Dlatego nie będzie niczyją żoną ani nałożnicą. Jest tu intruzem, a okropności małżeństwa z Lucieniem na zawsze wyleczyły ją z marzeń o tym, by komuś zaufać. Zwłaszcza mężczyźnie.

- Nie pozwól, panie, by do rany dostał się bród - rzekła pieczołowicie owinąwszy zadrapanie. - Jeśli będzie trzeba - dodała, nie patrząc mu w oczy - przyjdź jutro na zmianę opatrunku.

- Postaram się, lady Randwick - odparł, po czym podniósł się z ławy.

Oboje wiedzieli, że gdy tylko dotrze do swych komnat, natychmiast zdejmie okład i z pewnością nie wróci po nowy.

Skończyła przyjmowanie chorych dopiero późnym wieczorem. Uprzątała właśnie izbę, gdy w drzwiach pojawił się posłaniec z wiadomością od Ullyota.

- Lady Randwick, jaśnie pan każą wam zejść na wieczerzę - oznajmił młody służący.

Maddy ruszyła za nim żwawym krokiem, zadowolona z siebie i pełna wigoru. To uzdrawianie ma na mnie taki zbawienny wpływ - skonstatowała z uśmiechem.

Przy stole biesiadnym zastała gości, co było dość niezwykle. Od początku jej pobytu w Ashblane zdarzyło się to po raz pierwszy. U boku Alexandra zasiadał młody mężczyzna mniej więcej w jej wieku, przy nim zaś nieco starsza niewiasta z pszeniczno-złotymi włosami oraz ujmującym uśmiechem. Ta sama, z którą Madeleine widziała dziedzica owej nocy, gdy przyniesiono do niej rannego Dougala.

Przełknąwszy cisnące się na usta pytanie, spoczęła niepewnie obok Quinlana. Poniewczasie zauważyła wolne miejsce z drugiej strony Ullyota. Czyżby przeznaczyl je dla niej? Podchwyciła jego spojrzenie i wnet zrozumiała, że nie było to jego zamiarem.

- Lady Randwick - jego głos pozostał równie chłodny, jak pozbawiony ciepła wyraz twarzy. - Sir Stephen Grant i jego siostra, lady Isabella Simpson. Stephen przybył w nasze strony, by odwiedzić wuja i zabrać siostrę do domu. Wyruszają wraz z końcem tygodnia.

Grant powstał i przywitał się, unosząc rękę Maddy do ust.

- Twe imię okryte jest sławą, lady Randwick - odezwał się ponad głosami innych.

W odpowiedzi uśmiechnęła się słabo, bowiem niepewna była jego intencji.

- Powiadają, iż jesteś, pani, biegłą uzdrowicielką. Alexander zdradził mi, że masz w Ashblane osobną izbę, która służy ci za miejsce doglądania cierpiących.

Odpreżyła się, nie dosłyszawszy w jego głosie nieszczerych, zamiarów. - I owszem. Przyjęłam dziś blisko tuzin chorych.

- Aż tylu? - zdziwiła się lodowatym tonem lady Isabella. - Zamierzasz, pani, zabawić tu na długo?

Cała radość, jaką przyniosło Madeleine uzdrawianie, uleciała w jednej chwili.

- Nie, nie na długo.

Lady Simpson ujęła zaborczym gestem dłoń Alexandra. Zapewne próbowała w ten sposób ostrzec Maddy, by nie wchodziła jej w drogę.

- Dokąd udasz się, pani, opuściwszy Ashblane?

- Nie jestem pewna - odparła Madeleine, starając się trzymać nerwy na wodzy. Czy ta kobieta nie wie, że trzymają ją tu w charakterze branki?

- Wieść gminna głosi, iż jesteś, pani, po słowie z księciem Harringtonem. Urodziwy to mąż, a i wpływy ma ponoć znaczne.

- Prawda. Jestem mu obiecana.

- A jednak nie zamierzasz do niego wrócić?

- Nie.

- Doszły mnie słuchy, lady Randwick, iż jesteś niewiastą oszczędną w słowach, nie sądziłam wszakże, że aż tak bardzo. - Jej długie włosy opadły niby to przypadkiem na rękaw Alexandra.

Isabella zebrała je zalotnie i zawiązała w misterny węzeł, który rozpadł się przy pierwszym poruszeniu głową.

- Słyszałam także, iż lubujesz się, pani, w zabawianiu mężczyzn - dorzuciła głosem pełnym jadu.

- Dość już tego, Isabello - skarcił ją Ullyot, posyłając jej gniewne spojrzenie.

- Lucien był naszym kuzynem w drugiej linii - ciągnęła, lekceważąc przyganę. - Bawiliśmy się wspólnie jako dzieci, pojmuję więc, czemu szukasz pociechy u innych. - Wydawszy usta, pochyliła się do przodu, by wyeksponować wydatny biust. - Zmarł ponoć od ran kłutych?

- Na skutek wypadku, lady Simpson.

Isabella wymownie zakrztusiła się winem. Jeszcze przez jakiś czas świdrowała rywalkę wrogim spojrzeniem. Maddy odetchnęła z nieklamana ulgą na widok służby, niosącej tace z chlebem i mięsiami. Przywołując na usta pogodny uśmiech, odwróciła się do Stephena, którego ciemne oczy spoglądały na nią z przychylnością, jakiej próżno by oczekiwać od jego pięknej siostry.

Niedługo po wieczerzy Alex odnalazł Madeleine na murku przy wale obronnym. U jej stóp spał Bran, jeden z zamkowych psów.

- Mogę?

Odczekał aż kiwnie głową i spoczął obok niej.

- Jak przebiegło dzisiejsze uzdrawianie? Zdarzyły się jakoweś skomplikowane schorzenia?

- Tylko siniaki i zadrapania.

- Jak moje kolano?

W świetle księżyca jej nieśmiały uśmiech wydał mu się iście czarujący.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna, panie, za to, że zechciałeś przyjść.

Gdyby nie to, pewnie nikt by się do mnie nie zbliżył.

Milczał, rozkoszując się wieczorną bryzą, która muskała mu twarz.

- Lady Isabella Simpson jest niezwykle urodziwa - odezwała się po chwili Maddy. - Od dawna ją znasz, panie?

Zerknął na nią, nieco zaskoczony tematem rozmowy.

- O, bardzo długo. Jej mąż był mi najdroższym druhem. Siła razem przeszliśmy. Od czasu jego śmierci dwa lata temu Isabella mieszka u wuja w Kimdean. To niedaleko, zaledwie kilka wiorst stąd.

- I chce teraz nowego męża?



Roześmiał się, rozbawiony jej prostolinijnością.

- Nie silisz się, pani, na żadne ceremonie. Wolisz mówić bez ogródek.

- Życie mnie tego nauczyło.

Alex zaczerpnął głęboko tchu i oparł się plecami o mur. Zastanawiał się, jak by to było ucałować jej rękę, tak jak to onegdaj uczynił Stephen. Jej palce wydawały się małe i delikatne. Wokół nadgarstka nosiła pokrytą supelkami bransoletkę ze sznurka. Pewnie miały jej o czymś przypominać. Może służą jej do warzenia mikstur albo eliksirów - pomyślał z uśmiechem.

- Lucien nigdy ze mną nie rozmawiał - odezwała się po chwili przyciszonym głosem. - Nie znosił tego, że urodziłam się, by uzdrawiać. Nie podobały mu się moje szaty ani sposób w jaki czesałam włosy, ani jak na niego patrzyłam. Właściwie to niczego we mnie nie lubił. Ani ja w nim.

- Zatem sądzisz, pani, że mąż i żona najpierw powinni się polubić? - Poglaskał po pysku psa, który właśnie się zbudził i położył mu łeb na kolanach.

- Tak. To równie ważne jak miłowanie. Małżonkowie powinni się wzajem szanować, w przeciwnym razie nie będą szczęśliwi. Mnie nie było dane zaznać szczęścia w małżeństwie. A ty, panie? Czy byłeś szczęśliwy?

- Nie. - Sam się tego nie spodziewał, ale nagle zapragnął być szczery, a teraz w nocy wydawało się to o wiele łatwiejsze niż za dnia. - Moje małżeństwo było podyktowane rozumem. Jako dziedzic potrzebowałem żony. Byłem samotny, ale nie darzyłem żony wielkim afektem.

- Czy miłość nie przyszła z czasem?

- Nie. Wręcz przeciwnie. Alice była choleryczna i bojaźliwa zarazem...

- Obawiała się ciebie, panie?

- Raczej cierpiała na wieczną melancholię. Taką ją zapamiętałem.

Próbowałem wyrozumieć jej lęki, ale nijak nie potrafiłem. Teraz myślę, że zwyczajnie taka się urodziła.

- A Isabella? Jaka jest?

- Biegła w sztuce miłosnej.

Roześmiał się w głos, ubawiony jej zgorszoną miną.

- Zadziwiasz mnie, pani - wyznał, gdy nareszcie się uspokoił. - A to niełatwa sztuka.

Wpatrywała się w niego nieco oszołomiona tym, co usłyszała, on tymczasem pochwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Ich ciała zetknęły się ze sobą. Ognistorude włosy Maddy połyskiwały w blasku księżyca niczym żywe płomienie. Owinął je sobie wokół palców i wciągnął w nozdrza ich zapach.

- Wrzos - rozpoznał bez trudu. I chyba żywokost. Urodziwa niewiasta i wiedźma w jednym.

Zmarszczył brwi, gdy spróbowała się wyswobodzić.

- Lady Simpson mogłoby się to nie spodobać, panie. Nie byłaby rada, gdyby ujrzała, że bawisz się po ciemku moimi włosami.

- Isabella nie ma do mnie żadnych praw, *mo cridhe*.

*Mo cridhe?* Serce ty moje? Boże w Niebiesiech! Skrzywił się, uzmysłowiwszy sobie, iż wcześniej nigdy nie zwracał się w ten sposób do żadnej kobiety. Uspokoił się na myśl, że Madeleine nie zrozumiała tych celtyckich słów.

- Może i nie ma, lecz chciałaby mieć w przyszłości. To pewne jak amen w pacierzu.

W odpowiedzi uniósł jej podbródek i zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Jak ci się to udaje?

- Co mi się udaje? - zapytała zdziwiona.

- Sprawiać, że mężczyźni tracą dla ciebie rozum.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć ani nawet się odwrócić, gdy pochylił się nad nią i zaczął całować. Przycisnął swoje wargi do jej ust, niemal obejmując je swoimi i zmuszając, by je rozchyliła. To nie był czuły pocałunek, ale nie był jej niemiły. Tak dawno nikt nie okazywał jej prawdziwej miłości. Jego dłonie błądziły po nagiej skórze na jej ramionach, domagając się odpowiedzi. Poczula, że oblewa ją fala gorąca i przyłgnęła do niego całym ciałem. Oddała mu

pocałunek, zezwoliła, aby ich wargi pozostały długo złączone i jej język przestał być nieśmiały. Alex wsunął jej rękę pod gorset, objął palcami pierś i potarł delikatnie stwardniały sutek. Jęknęła z cicha, uświadamiając sobie, że jej ciało budzi się do życia. Pragnęła go tak bardzo, że gotowa była pozwolić mu na wszystko, choćby i tu pod gołym niebem, gdzie każdy mógł ich zobaczyć.

Wokół nich zapadła noc, sprawiając, że niemożliwe stawało się w zasięgu ręki. Jej ręce też zaczęły być niecierpliwe, dłonie poznawały jego silne plecy, muskularny tors, sięgały ku szyi, wplatały się we włosy, lecz nagle... Alexander przewal pieszczoty i odsunął się od niej gwałtownie. Miał w oczach zadziwienie i pomieszanie. Potem w ich miejsce pojawił się nagle gniew. A może to było tylko rozdrażnienie?

- Zrobię to siłą, albo po dobroci, Madeleine Randwick, ale wiedz, iż w końcu cię posiadam i będziesz moja. Stanie się to wtedy, kiedy będę gotów i tak, jak sam będę chciał. A kiedy to nastąpi, nie będzie z nami cieni tych, którym oddawałaś się przede mną. - Dotknął na moment jej szyi, zabierając dłoń dosłownie na chwilę przed tym, jak zza węgła wyłonił się Quinlan, który zobaczywszy ich razem, mimo wyraźnych wysiłków nie zdołał ukryć zdumienia.

- Isabella kazała mi cię sprowadzić, Alex. Jak mniemam, chce się udać na spoczynek.

- Dziękuję, Quin. Zechciej, proszę, odprowadzić lady Randwick do jej komnaty. - Z tymi słowami Alexander odszedł w stronę dziedzińca, lecz jego chód nie był tak sprężysty jak zazwyczaj. Madeleine zaś gotowa była przysiąc, że z jego ust padają ciche przekleństwa.

Gdy wróciła do siebie, Jemie powitała ją od progu, zasypując wieściami ze stajni.

- Mamy nowego źrebaczka, Maddy. Jest taki śliczny. Gillion i ja pomogliśmy mu przyjść na świat.

- Podoba ci się w Ashblane, prawda? - odparła na to z uśmiechem.

- Czuję się bezpieczna. Jakbyśmy zamieszkały z dala od złego świata. Alexander Ullyot to potężny mąż i wspaniały rycerz. Potężniejszy od Noela i Williama Harringtona, a nawet od księcia Moncrieff. Chciałabym, byśmy zostały tu na wieczność. A przynajmniej do czasu, kiedy będziemy stare i nikt już nie będzie nas nękał.

Przemierzywszy izbę, Madeleine usiadła na łóżku i posadziła sobie siostrę na kolanach.

Od pacholęstwa uwikłana w wielką politykę, Jemie nigdy nie zasmakowała prawdziwego spokoju. By chronić córkę, Eleanor od urodzenia przebierała ją w chłopięce szaty. Tak pozostało również po śmierci matki, kiedy znalazły się na łasce przyrodniego brata i zamieszkały w Heathwater. Dziś, po jedenastu latach, nadal nic się w tym względzie nie zmieniło.

- Nie możemy zostać tu razem, moja słodka. Ashblane nie będzie naszym nowym domem. Noel posłał pisma do króla Szkocji i do papieża, w których domaga się, by Ullyot mnie zwrócił. Tylko mnie. O tobie nie wspomina ni słowem... Jeśli nie będzie innego sposobu...

- Nie! Nie zostawisz mnie. Obiecałaś być zawsze przy mnie. Zaczęła szlochać.

- Przecie bym po ciebie wróciła.

Po policzkach dziewczynki spłynęły łzy. Mała spuściła głowę i wtuliła się w siostrę jeszcze bardziej.

- Dziedzic Ullyot cię ochroni, Jemie. Jeśli poproszę go, by dał mi słowo, do mego powrotu włos nie spadnie ci z głowy.

- Musiałabyś mu powiedzieć prawdę o nas.

- Wiem.

- Rozgniewa się na nas.

Maddy uśmiechnęła się bezwiednie. Rozgniewa się?

Raczej wpadnie w furie - pomyślała, czując na plecach ciarki. Jeśli jednak nie będzie miała innego wyboru, posłucha głosu intuicji. A ten podpowiadał jej, że Alexander Ullyot to człek godny zaufania.

Poniósłszy palce do ust, odtworzyła w pamięci jego pocałunek. Nieokiełznana siła, która biła od niego, gdy ją obejmował, była dla niej niczym objawienie. Wspaniałą mężczyzna z rozpalonymi gniewem oczyma i rękoma zbrukanymi krwią. Mimo nacisków ze strony nie tylko szkockiego, ale i angielskiego monarchy, nie zrezygnował z niej, nie wybrał łatwiejszej drogi i nie poświęcił jej tak, jak niechybnie zrobiłby to Noel albo Lucien. Jego arogancja i władza powinny być jej niemiłe. Do tej pory miała te cechy w głębokiej pogardzie, lecz u niego bynajmniej jej nie raziły. Co więcej, mogły się okazać wybawieniem zarówno dla niej, jak i jej siostry. Och, jakże mocno pragnęła, by jego silne ręce chciały dotykać wszystkich tajemnych miejsc jej ciała, żeby jego usta przysuwały się do jej ust i zostawiały na nich swój zapach i smak, a jego język rozsuwał jej wargi...

Roześmiała się gorzko i potrząsnęła głową, odpędzając te swawolne myśli.

Jemie zerknęła na nią z niepokojem.

- To nic - uspokoiła ją. Takie tam marzenie. To jeno moja imaginacja. - Jestem branką - dodała w myślach. - A on szkockim rycerzem, który pała nienawiścią do mego brata. Jeśli zechce mnie posiąść, z pewnością nie uczyni tego wiedziony miłością.

## *Rozdział jedenasty*

Alexander stał przy oknie wychodzącym na mury obronne, od dłuższej chwili przyglądając się lady Randwick i jej paziowi, którzy krzatali się w przykuchennym ogrodzie.

Był z nimi również Gillion. Podał Madeleine jakoweś liście, a ona objęła go ramieniem. Chłopak uśmiechnął się i wtulił w nią niczym w pierzynę.

Jeszcze wczoraj sam trzymałem ją w ramionach - przypomniał sobie - a ona wtulała się we mnie z ufnością i oddaniem. Jakby nagle porzuciła swą nieodłączną rozwagę i powściągliwość... Czy to było tylko naturalne pragnienie, czy może...? Wykrzywił usta i oparł się o ścianę. Nie chciał, by go zauważyła.

Zmieniał się za jej sprawą. Podobnie jak jego syn. Nawet z tak daleka widział jak na dłoni, że mały już się nie lęka. Na jego buzi zagościła taka sama radość jak u Jemmiego. Chłopcy stali się niemal nierozłączni. Często widział dwie dziecięce głowy obok siebie - jedną ciemnobursztynową, drugą jasną.

Przeniósł wzrok na małego paza. Nabrał nieco ciała przez ostatnie tygodnie, lecz wciąż był wątłą, wybiedzoną chudziną. Pierwszy raz zauważył, że jego włosy wydają się mieć ten sam rudawy odcień, co włosy Madeleine. Raptem, przebiegła mu przez głowę pewna myśl. Czy to możliwe? Zmarszczył brwi, lecz pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Do komnaty wszedł Quinlan z nieznanym Alexowi mężczyzną. Człek ów był wyczerpany podróżą i miał na sobie barwy króla Szkocji.

- Jego królewska mość wzywają was do Edynburga, panie - oznajmił nieznajomy. - Mam rozkaz przekazać wam to pismo i co rychlej wracać wraz z wami na dwór.

Alexander bez słowa odebrał od niego dokument. Był to rozkaz niezwłocznego stawienia się przed oblicze monarchy. Wiedział, że nie może go zignorować.

- Poślij po lady Randwick, Quin. To dotyczy także i jej. I każ siodłać konie.

Madeleine stanęła przed nim chwilę później, roztaczając wokół siebie woń świeżych ziół, mchu i zapachu ziemi. Jej szyję zdobił niewielki naszyjnik z niezdarnie nawleczonych na nić muszelek oraz orzechów. Wyraźnie ten widok wzruszył Alexandra.

- To podarunek od twego syna, panie - rzekła z uśmiechem, podążając za jego wzrokiem. - Ciekawam bardzo, skąd wziął muszelki. - Urwała, gdy zbliżył do jej piersi palce, by ująć w nie jeden z paciorków. Pod wpływem miękkiego dotyku w jednej chwili zrobiło jej się gorąco i przestała jasno myśleć. Żeby tylko nie zauważył jej pomieszania.

- Należały do jego matki. Zbierała rozmaite ozdoby.

- Zwrócę je zatem jak najrychlej. - Sięgnęła pośpiesznie do szyi.

- Nie, nie trzeba. Należą teraz do Gilliona. Może z nimi czynić, co chce. Najwyraźniej zapragnął ofiarować je tobie, pani.

Maddy zaniepokoiła się jego roztargnionym, dalekim tonem. Prawdziwa trwoga ogarnęła ją jednak za chwilę, gdy jej oczy spoczęły na leżącym na stole pergaminie. Rozpoznała na nim pieczęć króla Szkocji.

- Król David przysłał po mnie umyślnego?

- Nie po ciebie, pani, lecz po mnie. Mam się stawić niezwłocznie.

- Czy to na żądanie Noela?

- Tak.

Poczuła, że oblewa się zimnym potem. Najpierw Kościół, teraz dwór. Jej wrogowie działali niebezpiecznie prędko, a wypełnienie każdego z ich rozkazów stanowiło dla niej nieuniknioną groźbę.

- Czy coś ci grozi, panie, jeśli pojedziesz?

- Zamierzam się wpierw upewnić, że nie ma niebezpieczeństwa - odparł z powagą. - Jest jednak coś, o co muszę cię zapytać, lady Randwick. Czy to

braterski afekt skłania twego brata do takich działań, czy też zataiłaś przede mną coś, o czym powinienem wiedzieć, zanim wyruszę w drogę?

Milczała uparcie, choć - jak podejrzewała - zdradziły ją ogniste rumieńce, które wystąpiły jej na policzki.

- Pojmuję. - Odezwał się i zgarnawszy pismo od króla, wyszedł z komnaty.

Boże - pomyślała w popłochu. On wie! Poznał, że nie powiedziałam mu wszystkiego, a mimo to zamierzał stawić czoło monarsze.

Zbyt dobrze wiedziała, czym może się skończyć takie postępowanie poddanego, nawet lojalnego i oddanego krewniaka, w stosunku do panującego. Przerazenie na chwilę odebrało jej oddech. Jeśli spotka go z jej powodu jakaś krzywda...

Zaprzagnęła pobiec za nim i wyznać mu prawdę, lecz powstrzymała ją myśl o tym, czym mogłoby się to skończyć dla Jemie. I nie tylko dla niej. Strach o życie siostry przeważał szalę. Jemie była taka młoda, delikatna, była przecież jeszcze dzieckiem. Jakże to... ?

Jej palce sięgnęły bezwiednie do naszyjnika. Zacisnęła je zbyt mocno i paciorki posypały się z brzękiem na podłogę. Stała, nie wiedząc, co dalej ma zrobić. Po chwili opamiętała się i sama pozbierała koraliki, żeby Gillion nie zobaczył zerwanego naszyjnika.

Alex wyruszył z Ashblane w eskorcie dwudziestu ludzi i trzydziestu najlepszych koni. Zazwyczaj podróż do Edynburga zajmowała mu dwa dni. Tym razem dotarł na miejsce w niespełna półtora.

- Zwrócisz mi lady Randwick, Alexandrze. Taka jest moja wola. - oznajmił bez ogródek David.

Ullyot zacisnął wargi, by zdusić odpowiedź, która sama cisnęła mu się na usta.

- Nie pojmuję, czemu właściwie upierasz się, by ją zatrzymać? - zniecierpliwiał się król.



- Chcę jej dla siebie. Ot co. - Jeśli The Bruce pomyśli, iż stało się, że uczynił z Madeleine swą nałożnicę, może poniecha rozkazu?

- Myśl głową, a nie tym, co nosisz w portkach. Nie chcesz chyba, by ta wiedźma przywiodła królestwo do ruiny? Król Anglii tylko szuka pretekstu, by doprowadzić do nowej wojny, a baron Falstone aż się rwie do bitki. Sam to wiesz najlepiej. Nie, trzeba ci przywieźć ją do mnie.

Serce Alexandra zaczęło tłuc się w piersi niczym uwięziony ptak.

Słowa Davida wydawały się zupełnie pozbawione sensu.

Przetrzywanie lady Randwick na dworze Szkocji byłoby w tej sytuacji posunięciem ze wszech miar niepolitycznym. Król Anglii, Edward, potraktowałby to jako policzek wymierzony w jednego ze swych najpotężniejszych wielmożów i popleczników - bo za takiego uważał Falstone'a - i domagałby się zadośćuczynienia. Kto wie, być może mogłoby to nawet posłużyć za przyczynek do wypowiedzenia kolejnej wojny. Skoro taka decyzja nie leżała w interesie Davida, musiało chodzić o coś innego. Było coś, o czym nie miał pojęcia. Przypomnił sobie wyraz, twarzy Madeleine, gdy przyjmował poselstwo od jej brata. Malował się na niej nieklamany lęk. Może była w tym prawda, że sprzedawała swe wdzięki na prawo i lewo, lecz dlaczego nadal pozostała niewiastą, która się boi? Co było przyczyną owej bojaźni? Dlaczego każde przypomnienie o jej bracie było jej niemiłe i napawało ją strachem? W końcu była taka młoda. I śliczna, dodał w myśli.

- Ta czarownica ściągnie na ciebie nieszczęście, Alexandre Wspomnisz jeszcze moje słowa. Noel Falstone pragnie twej śmierci, a reszta angielskich możnowładców zapewne go poprze. Wystarczy, by ich przekonał, że córka Eleanor de Cargne ma dostęp do ich tajemnic.

- O jakich tajemnicach mowa?

- Tych, które szeptano jej matce wśród miłosnych uniesień. Lady Randwick dożyła swych lat tylko dzięki temu, iż brat przez ostatnie lata trzymał ją w odosobnieniu.

Alex zmarszczył brwi. Nadal coś tu się nie zgadzało.

- W odosobnieniu? W Heathwater powiadają, że miała mnóstwo kochanków.

Na oblicze monarchy wystąpił nieprzystojny rumieniec, ale nic nie odrzekł.

- Jest zamożna! Chodzi o jej majątek? - Tylko obietnica wzbogacenia się mogła skłonić Davida do powzięcia tak zdecydowanych kroków. Ullyot dobrze znał swego kuzyna i jego słabości. Nadto podpisany w Berwick pokój z Anglią był bardzo kruchy i dlatego David The Bruce starał się rozwiązywać konflikty na drodze dyplomatycznej. Jednym z warunków traktatu był haracz, który Szkocja wypłacała Anglii w regularnych splatach.

- Majętności Madeleine Randwick to nie twoje zmartwienie. Sam się tym zajmę.

- O jak wielkie sumy chodzi?

- Wystarczająco duże, by zadowolić Edwarda co najmniej na rok.

Alex zacisnął dłonie w pięści. Sto tysięcy marek wypłacanych corocznie Edwardowi zostawiało w skarbcu potężną dziurę. David najwyraźniej zwietrzył okazję, by ją załatać. Nagle wszystko stało się jasne.

- Zatem mam przywieźć ją na dwór, byś ty mógł ją „chronić”?

Oczy The Bruce'a pociemniały z gniewu.

- Pozwoliłem twej twierdzy i pogranicznym ziemiom rozkwitać, boś mi jest krewnym i posłusznym sługą. Jeśli chcesz, by tak pozostało, radzę ci oddać mi lady Randwick bez sprzeciwów. Po święcie Bożego Narodzenia dam ci czas do pierwszego tygodnia stycznia.

- Kto zostanie jej spadkobiercą, jeśli umrze bezpotomnie? - zapytał Alex, choć słowa z trudem przeszły mu przez gardło.

- Gdyby nie wydała na świat potomka i nie dożyła dwudziestu pięciu lat, prawo do jej włości przeszłoby na króla Anglii, a to dałoby Edwardowi swobodny wstęp na ziemie Szkocji przez przygraniczną Marchię Zachodnią.

- Ile lat ma ona teraz?

- Czwartego października skończyła dwadzieścia pięć. Tego dnia, kiedy omdlała w mym łóżu po uzdrowieniu Dougala - przypomniał sobie Ulliyot. Raptem uderzyła go nowa myśl.

- Zatem dożyła dwudziestego piątego roku. Co teraz z jej majątkiem? - zapytał, choć domyślał się odpowiedzi.

David roześmiał się szyderczo.

- Teraz lady Randwick to najlepsza partia w dwóch królestwach. Mimo iż mówią o niej, że to ladacznica.

- A jeśli nie wyda na świat potomka?

Alex wyczytał w oczach kuzyna odpowiedź, do której ten nigdy otwarcie by się nie przyznał.

- Kiedy umrze bezpotomnie, jej dobra przejdą na rzecz korony. Anglii lub Szkocji, w zależności od tego, kto pierwszy wyciągnie po nie rękę.

A więc to tak! W Alexandra uderzył grom. Madeleine, jesteś niewygodną i przeznaczoną na zagładę dziedziczką. Brat trzymał cię pod kluczem, żebyś zdążyła ukończyć swoje dwadzieścia pięć wiosen. To tłumaczyłoby wcześniejszą procesję kochanków, których niechybnie podsuwano ci po śmierci Luciena.

Dobry Boże! Noel Falstone z pewnością pragnął zagarnąć dobra siostry, tak samo jak chcieli to zrobić David i Edward. Jedyna ku temu droga wiodła dotychczas przez potomstwo Madeleine. Lecz potomka nie ma, mówią o niej, że jest nieplodna, za to drugi warunek testamentu został spełniony - lady Randwick ukończyła dwadzieścia pięć lat.

Bóg jeden wie, dlaczego angielski monarcha nie ściągnął jej teraz do siebie i osobiście nie zgładził. Czyżby zadecydowała o tym jej zła sława? Kto wie, być może ochroniła ją przed śmiercią reputacja czarownicy? Falstone zapewne sam podsycił plotki o jej rzekomych konszachtach z czartem. W ten

sposób wszyscy od niej stronili, a on mógł ją więzić bez przeszkód. Nikt nie chciał stanąć w jej obronie.

Krew uderzyła Alexowi do głowy. Machina ruszyła. Najpierw Milward, a teraz rozkaz samego króla Davida. Czy zdoła to powstrzymać? Nie ufał kuzynowi. Doskonale wiedział, co się stanie, jeśli odda Madeleine na któryś dwór. Zamordują ją jak bezbronne jagnię. David i jego poplecznicy lub Edward i jego baronowie. Sprawa bynajmniej nie zakończy się małżeństwem. Bo i któryż z możnowładców chciałby pojąć za żonę wiedźmę, skoro istniał o wiele łatwiejszy sposób, by dobrać się do jej majątku?

Pałając gniewem, opuścił komnatę króla, nie zapytawszy nawet o pozwolenie.

Pognał z powrotem do Ashblane, jakby ścigał go sam diabeł. Dopiero ujrawszy z oddali ziemie Ullyotów, zwolnił nieco konie. Szczęściem wszystko wyglądało jak zwykle. Jak okiem sięgnąć panował spokój. Żadnych najemników króla, ni oddziałów podjazdowych, gotowych grabić jego włości za pozwoleniem rozeźlonego monarchy.

Madeleine była bezpieczna. Przynajmniej tymczasem.

Głęboki oddech przyniósł mu spodziewaną ulgę. Stropił się jednak mocno na myśl o prawdziwych przyczynach swego strachu.

W dniu swego powrotu Ullyot zabrał ją wieczorem do swej komnaty i zarygłował drzwi. Maddy z miejsca poczuła się zagrożona. Ostatnie promienie słońca kładły się ponurym cieniem na jego policzkach. Gdy zajrzała mu w oczy, ku swemu zdumieniu ujrzała w nich pustkę i samotność. Jego oddech świadczył o tym, że nie skąpił sobie trunków do wieczery. Nie zostało w nim ni śladu z owego mężczyzny, który całował ją tak niedawno. Niespełna tydzień temu.

- Napijesz się, pani, ze mną?

Miłe słowa i przednie wino - pomyślała. Czyżby to miała być zapowiedź...?

- Nie. - Dziękuję - dodała, przypomniawszy sobie o dobrych manierach.

Uśmiechnął się złowroźnie.

- Zważywszy na to, co mam ci do powiedzenia, może jednak powinnaś zażyć czegoś mocniejszego.

Zaprzeczyła w milczeniu głową, po czym cała zamarła w oczekiwaniu.

- Jak ci wiadomo, wracam od króla Davida. Jego wysokość każe mi cię zwrócić. Mam cię zawieźć na dwór w pierwszym tygodniu stycznia.

- A jeśli tego nie uczynisz, panie?

Wzruszył ramionami, unosząc do ust puchar z napitkiem.

- Jeśli nie wypełnię rozkazu monarchy, to jak mniemam, baronowie Szkocji i Anglii powstaną przeciwko mnie.

- Ale czy każdy?

- Powinniśmy raczej martwić się tym, lady Madeleine, iż właśnie ukończyłaś dwadzieścia pięć lat.

- A więc już wiesz, David wszystko ci powiedział...

Skinął głową, a ona z trudem zaczerpnęła tchu.

- Zdradził ci również, panie, że mój majątek ma przejść tylko w ręce męskiego potomka? Że zostanę pohańbiona przez pierwszego mężczyznę, któremu uda się mnie dopaść...? - Urwała niemal ze szlochem.

- Któż, u diabła, uczynił ci coś takiego? Kto poczynił ten zapis?

- Moja matka.

- Ale dlaczego, na Boga? - Jego niedowierzanie zdawało się nie mieć granic.

- To był jedyny sposób, jaki potrafiła obmyślić, by pomóc mi dożyć obecnego wieku. Przed spisaniem tego testamentu, dwakroć próbowano mnie zamordować.

- Z czyjego rozkazu?

- Twego stryja i jego nałożnicy, panie, oraz Edwarda i jego doradców.

Przesmyk Harland to wygodne przejście pomiędzy Anglią i Szkocją.

- Przesmyk Harland?

- Część mej ojcowizny. Ziemie, które ojciec zapisał Eleonor, mojej matce.  
- Z tego, co powiadasz, pani, twa matka była nie tylko urodziwą, ale i rozumną niewiastą.

- Nie brakło jej też męstwa. Odebrała sobie życie, nim ktokolwiek zdołał ją zmusić, by unieważniła testament.

- Czemu mi o tym mówisz, pani?

- Zaryglowane drzwi, wino, wasz znak na mej piersi. Czyż nie w tej komnacie znajduje się twa łożnica, panie? Jest prawie środek nocy. Czy o czymś innym powinnam teraz myśleć, mój panie? Zapragnęłaś się wzbogacić tak samo jak twój kuzyn. Ot co.

W jego oczach pojawiło się tak wielkie osłupienie, że Madeleine bezwiednie postąpiła krok do tyłu. Obawiała się wybuchu, lecz tym razem to on ją zaskoczył, kiedy miał wpaść w szał zwyczajnie się roześmiał. Nie tego oczekiwała.

- Nie zamierzam brać cię, pani, gwałtem - oznajmił, patrząc na nią z góry.  
- Ofiaruję ci schronienie.

- Jakże to? Nie pojmuję, czemu miałbyś...

- Jestem ci to winien. Zawdzięczam ci życie.

Potrząsnęła głową i odsunęła się na bezpieczną odległość.

Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe.

- Owszem, panie, zawdzięczasz mi życie, lecz tylko jedno. Własne. Nie pomyślałaś o tysiącu niewinnych istot. Nie możesz narażać dla mnie Gilliona, Katherine czy Quinlana. Pomyśl o ludziach twojego klanu. Co się stanie, jeśli zatrzymasz mnie u siebie...

- Nie pochlebia mi twe niskie mniemanie o mej twierdzy. - Powiedział to wyraźnie niezadowolony. - Mylisz się, pani, sądząc, że David, Edward czy Noel zechcą się porwać na Ashblane. - Nie rzekłszy ni słowa więcej podszedł do drzwi i zdjął z nich skobel, jakby nagle zapragnął, by jak najszybciej zniknęła mu z oczu, jakby jej widok był mu niemiły.

Madeleine zarumieniła się i posłusznie skierowała kroki do wyjścia. Powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu. Stała w miejscu, wstrzymując oddech.

- Nie jestem taki jak mój kuzyn, Madeleine. Nie składam przyszłości mych ziem i ludzi w ręce dziedzica, który jeszcze nie został poczęty, lub niewiasty zdjętej wieczną trwogą przed wielmożami, którzy pragną wykorzystać ją do własnych celów. Jeśli szukasz bezpieczeństwa, być może mogę ci je zapewnić. Musiałabyś, pani, chcieć je przyjąć.

Dostrzegła, że pociemniały mu źrenice, a tętnica na jego szyi pulsowała szybciej niż zwykle. Zaczęła w niej kiełkować myśl, że może jest jakiś sposób, by uratować jej siostrę. Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by zachować spokój. Nie chciała dać po sobie poznać, ile ją to kosztuje.

- Bezpieczeństwo ma swoją cenę, panie.

Z przesadną dbałością i bardzo powoli zaczęła rozwiązywać sznurki stanika i śmieiej spojrzała mu w twarz. Pod cienką koszulką wyraźnie rysowały się krągłości jej piersi.

- Daruję ci, panie, swe ciało z własnej woli, na tak długo, jak ci się spodoba, w zamian za życie Jemie. - Zachęcona iskierką zainteresowania w jego oczach mówiła dalej.

- Wyślij go jeszcze dziś do Anglii pod ochroną straży. Do mojej babki. Zapłacę ci sobą albo złotem. Jeśli zechcesz to jednym i drugim. - Wzięła jego rękę i włożyła mu ją pod swoją szatę, przywołując na usta nieśmiały uśmiech, a sama zaczęła pieścić jego lędźwie, wsuwając ręce pod jego szkocki kilt.

- Przestań! - Niemal wrzasnął, odsuwając się gwałtownie. Zawładnął nim gniew i jednocześnie nieopanowana chęć poddania się jej woli. Cóż ta niewiasta z nim czyni? Wiedział, że przedtem oddawała się innym i robiła to, by zadbać o własne interesy, może ochronić życie. Powinien nią za to pogardzać, a jednak nie potrafił się zmusić, by ją odrzucić, lecz nie chciał też powiększać procesji jej kochanków. - Wyjdz.



- Ależ, panie...

- Wyjdź, Madeleine. Natychmiast - powtórzył o wiele ciszej i spokojniej, lecz zarazem groźniej.

Jeśli w tej chwili nie zniknie mu z oczu, jeśli zostanie, chociaż dziesięć sekund dłużej, gotów się na nią rzucić i odebrać z nawiązką wszystko, co mu chciała ofiarować.

Nigdy wcześniej w całym swym dwudziestoosmioletnim życiu nie doświadczył tak przemożnego pragnienia cielesnego obcowania z kobietą. Jej zmysłowość go odurzyła. Nie wiedział nawet, że takowa może istnieć. To o takich zdarzeniach opowiadano, to nic innego tylko magia znana kobietom z rodu de Cargne. To ona odbiera mężczyznom rozum i czyni z nich głupców. Z Luciena, Davida, Noela i Williamsona. Wszystko jedno czy opętała ich żądza, miłość, gniew, czy zwykła chciwość. Pierwszy raz, odkąd Madeleine wstąpiła w progi Ashblane, zaczął się zastanawiać, czy bardziej aniżeli swych wrogów nie powinien się lękać właśnie jej.

Gdy odeszła, nie obejrzawszy się za siebie, poczuł niewysłowioną ulgę i jął odtwarzać w myślach całą ich rozmowę i wszystko, co się potem wydarzyło.

Czemuż, do diaska, chciała oddać życie w zamian za życie pazia? Skąd u niej taka odwaga i nadmierna chęć okazania własnej uległości? Oddania? Do tej pory wcale taka nie była, nawet go to trochę irytowało, bo nie przywykł do zabiegania o kobiecie względy. Wystarczyło, że popatrzył z zainteresowaniem, uśmiechnął się i każda gotowa była na umizgi. Po chwili, kiedy już nieco ochłonął, powoli wszystko stawało się jasne. Jemie. Był starszy od Gilliona, a mimo to drobniejszy i chuderlawy. A jego dłonie były delikatne niczym u dziewczynki. No i te włosy...

Boże przenajświętszy! A więc to tak! Przywoławszy strażę, kazał im niezwłocznie przyprowadzić obie mieszkanki Heathwater przed swe oblicze.



## *Rozdział dwunasty*

Opadłszy ciężko na krzesło w swej komnacie, Madeleine drżącymi palcami zawiązała z powrotem stanik. Nie potrafiła go znienawidzić, choć Bóg świadkiem, że próbowała.

Jemie.

Gdyby udało jej się oddać siostrę pod opiekę babki, może jeszcze zdołałaby ją ocalić. A jeśli już wszystko stracone? Odsloniła przed nim zbyt wiele, a ktoś taki jak Ullyot z pewnością zechce dociekać całej prawdy.

Podeszła do ściany oddzielającej obie izby i wystukała dłonią umówiony sygnał. Odpowiedź nadeszła niemal w tej samej chwili. Zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą, lecz niebawem posłyszała na korytarzu ciężkie kroki, a wkrótce potem krzyki Jemie. Zdjęta okrutną trwogą poczęła tłuc pięściami o drzwi.

Kiedy się otworzyły, ujrzała ciemnowłosego mężczyznę, który włókł za sobą jej siostrę. Mała miała na policzku czerwonosiny ślad jego dłoni.

- Kto śmiał podnieść rękę na mego pazia? - krzyknęła z oburzeniem, gotowa wydrapać mu oczy.

Wartownik jeno się roześmiał i lubieżnym gestem położył jej dłoń na pośladku. Niewiele myśląc, zamachnęła się i podrapawszy mu twarz, przygarnęła Jemie, po czym ciasno okryła siebie i ją peleryną.

- Dokąd nas zabierasz?

Wybiła północ, a gdy się rozstawali, Alexander był srodze rozgniewany. Co zamierza z nimi teraz uczynić? Chce wyrzucić je poza mury zamku? Boże, nie pozwól mu na to! Odetchnęła z ulgą pełną piersią, rozpoznając schody, wiodące do jego komnaty.

Alexander nadal rozważał motywy swej urodziwej branki, gdy ta wmaszerowała z impetem do izby. Włosy miała w nieładzie, a zsunięta do

połowy ramion peleryna ledwie zakrywała to, co wiedział, iż kryje się pod stanikiem.

O dziwo, wcale nie sprawiała wrażenia zaleknionej. Przeciwnie, głośno i zdecydowanie zażądała uwolnienia.

- Jeśli już musisz, panie, wzywać mnie do siebie w środku nocy, każ przynajmniej strażnikom trzymać obmierzłe łapy przy sobie. Nie życzę sobie...

- Milcz, niewiasto! - rzekł ostro i zdziwił się, gdy natychmiast posłuchała rozkazu. W rzeczy samej wyglądała niemal na zadowoloną. Jakby cieszyła się z tego, że znalazła się akurat w tym miejscu.

Wartownicy spoglądali niepewnie to na nią, to na swego pana, jakby z zasady nie byli w stanie zaufać siostrze Falstone'a. Zwłaszcza takiej z rudymi lokami i dołkami w policzkach. Odprawiwszy ich, Alex zamknął drzwi i podszedł do okna.

- Po co nas tu przywiodłeś panie? - cała jej pewność siebie raptem uleciała.

- Zmieniłem zdanie.

- Jakże to? - przełknęła ślinę i wyraźnie pobladła.

- Skorzystam z twojej propozycji, Madeleine. Rozbieraj się.

Po jej twarzy przebiegły kolejno przerażenie, zawstyżenie, a na koniec złość.

- Możemy rozmówić się na osobności? - spytała oziębło, choć jej głos wyraźnie drżał.

- Nic z tego, lady Randwick. Twoje ciało w zamian za życie Jemmiiego. Sama tak zdecydowałaś. Chłopak powinien chyba wiedzieć, jak opłacisz jego wolność?

Nie czekając na odpowiedź, przywołał pazia do siebie. W mocnym świetle pochodni upewnił się, że widzi to, co powinien był odgadnąć już dawno.

- Przygotuj się, Madeleine. Za chwilę chcę cię zobaczyć w moim łożu. - Zdjąwszy własną koszulę, odrzucił ją na pobliskie krzesło. - Jemie, pomóż swej pani zdjąć szaty.

- Nie. - Usłyszał płaczącą, dziecinną odpowiedź.

- Nie?! - spytał gniewnie.

- Chciał powiedzieć, że nie może mi pomóc, bo nie wyznaje się na niewieściej garderobie. - Madeleine wydawała się doprowadzona do skrajnej rozpaczki.

- To miałaś na myśli, chłopcze?

- Nie. Nie tylko, ale... głos mu zadrżał niebezpiecznie.

- Podejź no tu do mnie.

- Nie! Nie ruszaj się! - W drżącej dłoni Maddy błysnęło ostrze sztyletu. Dopadła do Alexandra i przystawiła mu je do piersi. Powstrzymał się od odwetu, choć wiedział, że bez trudu mógłby stracić jej rękę, a nawet wyrządzić jej krzywdę.

- Tylko ja mogę wam pomóc, lady Randwick. Zabij mnie, a obie zginiecie. - Poczł, że zastygła w bezruchu i z rozmysłem sam skaleczył się o nóż. Nim wypuściła go z ręki na podłogę, poczuła na palcach strużkę krwi.

Zapadła grobowa cisza. Tylko Jemie szlochała cichutko skulona w kątku.

- Kim jest dziewczynka? - zapytał cicho, niemal uśmiechając się na widok niedowierzania w oczach Madeleine.

- Moją siostrą.

Tego się nie spodziewał.

- Eleanor urodziła jeszcze jedno dziecko?

- Tak.

- A jej ojciec? - Jeszcze zanim udzieliła odpowiedzi, domyślił się, co za chwilę usłyszy.

- To król David, twój kuzyn, panie.

Alex doznał uczucia, jakby ziemia usunęła mu się spod stóp.

- Wasza matka była jego kochanką? Kiedy?

- W Londynie. Potrafiła być bardzo przekonująca. Pozwolono jej go odwiedzać, gdy przebywał w więzieniu w Tower po bitwie pod Neville's Cross. Jemima przyszła na świat wkrótce potem, w tysiąc trzysta czterdziestym siódmym roku.

- Zatem ma na imię Jemima? I ukrywałyście ją przez cały ten czas?

Za odpowiedź posłużyło mu jeszcze głośniejsze szlochanie dziewczynki.

- Dość już Jemimo - odezwał się, w zdenerwowaniu przeczesując dłonią włosy. - Miej odwagę swej siostry i przestań płakać. Kto jeszcze o tym wie?

- Nasza babka i Goult, nasz wuj.

- A David?

- Nie.

- Falstone?

- Nie. Gdyby wiedział, już dawno użyłby jej do własnych celów. Zali nie łatwiej byłoby mu zabiegać o ziemię Heathwater i Harland, gdyby przedstawił bezpotomnemu władcy jego dziedziczkę? Przebierałam ją za swego pazia, pilnowałam, żeby wszyscy uważali go za chłopca, bo tylko tak mogłam zapewnić jej bezpieczeństwo i zarazem mieć ją zawsze przy sobie. Eleanor nakazała nam utrzymywać wszystko w tajemnicy. Była nieugięta.

- Czy owemu Goultowi można ufać? Zawahała się.

Boże, pomyślał, czując, że ogarnia go desperacja. Jeden stary człowiek i tajemnica, która może doprowadzić do zguby dwóch narodów. Madeleine obiecywała mu niegdyś, że jej przeszłość nie zagrozi jego ludziom. Cóż się ostało z jej obietnic?

- Jeśli dasz nam konie, panie, to wyjedziemy z Ashblane jak najrychlej. Nie pozwolił jej skończyć.

- I co? Przeleciecie ponad głowami armii, która żąda odwetu za wasze uprowadzenie?

Nie odpowiedziała. W milczeniu ujęła siostrę za rękę i przyciągnęła ją do siebie.

- Pomóż nam dotrzeć do granicy, panie, a sownie cię wynagrodzę.

Roześmiał się szyderczo.

- Martwemu na nic zda mi się twa nagroda, lady Randwick. Dostarczenie królowy na dwór jej ojca, Davida, wydaje się znaczenie prostszym, a i bardziej zyskownym rozwiązaniem.

Zaniemówiła z przerażenia, po raz pierwszy uprzytomniając sobie, jak wielką cenę być może przyjdzie im zapłacić za ujawnienie prawdy. Nie mogła jednak pozwolić, by dostrzegł jej strach.

- Chcesz, panie, wzbogacić się na śmierci niewinnego dziecka? Jeśli zabierzesz Jemie do Edynburga, spotka ją niechybna zguba. Robert Stewart, Balliol i synowie Edwarda III\* tylko czekają na śmierć Davida, by walczyć między sobą o sukcesję po nim. Nie pozwolą mojej siostrze przeżyć choćby jednego dnia. Zabiją ją, jak tylko król wyda ostatnie tchnienie. - Spojrzała na pulsujący punkt na szyi Ulliyota. Eleanor nauczyła ją swego czasu jak obezwładnić człowieka, uciskając to miejsce. Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że Alex bacznie ją obserwuje.

\* Robert Stewart - wnuk Roberta the Bruce'a w linii żeńskiej. Balliolowie - wpływowy ród Anglo-Normandzki. W XIII i XIV wieku dwaj jego członkowie zasiadali na tronie Szkocji. Edward III - ówczesny król Anglii (*przyp. tłum.*).

- Nade wszystko muszę zadbać o bezpieczeństwo swego klanu. Tak jak i ty, Madeleine, przedłożyłaś bezpieczeństwo siostry ponad dobro mieszkańców Ashblane.

- Nie prosiłam, byście mnie tu ze sobą przywiedli, panie. Nie prosiłam o znak na mej piersi. - Zorientowała się, że może go tym rozzłościć, ale rzekła te

słowa i było już za późno, aby je cofnąć. Na jej twarzy pokazało się pomieszenie.

- Zali to prawda? To wszystko, co chcesz mi powiedzieć? - Sięgnął po koszulę i ubrał się pośpiesznie. - Czemuż miałbym ci uwierzyć? Dlaczego miałbym dać wiarę temu, że nie próbowałaś uciec z Heathwater? Zwłaszcza po tym, czego się dowiedziałem w Edynburgu i po tym, co dziś zobaczyłem i usłyszałem? Czy nie rozsądniej byłoby mi myśleć, że na polu bitewnym szukałaś swej szansy na wolność? Nie byłabyś pierwszą niewiastą, która ucieka się do fortelu, by zapewnić sobie ochronę. Przy twojej urodzie i zmyślności nie było trudno obrać sobie protektora. Rycerza dysponującego armią i odpowiednimi środkami, by zapewnić schronienie twojej młodej siostrze, której imienia nie powinien wymawiać nikt, kto chce pozostać przy życiu. I nic to, że naraziłaś przy tym na szwank los wielu niewinnych istot. Dla ciebie to zapewne błahostka.

- Nieprawda! To wcale nie było tak. Przecież nie skłamałabym ci!

- Zmilczże lepiej, niewiasto. Łezesz równie gładko jak twój brat, kto wie, może nawet wprawniej, bo i częściej. Nie licz na to, że gdyś raz powiedziała prawdę, Ashblane podziękuję ci za to, że naraziłaś je na srogą zemstę dwóch monarchów.

Madeleine nie rzekła ni słowa. Jego oskarżenia były ze wszech miar słuszne. Nie mógł wyrazić tego lepiej. A jeśliby choć jednemu mieszkańcowi Ashblane spadł przez nią włos z głowy... Nawet nie chciała o tym myśleć.

- Panie, proszę o wybaczenie, moim usprawiedliwieniem niech będzie to, że ryzykowałam własnym życiem, obie - poprawiła się - żyłyśmy w ciągłym zagrożeniu. Nie dało się tego dłużej wytrzymać. Jemima dorastała, stawała się coraz bardziej podobna do mnie. Te jej włosy... bałam się, że któregoś dnia Noel sam pozna prawdę, a wtedy... wołałam sobie tego nawet nie wyobrażać. Lepiej już było szukać ucieczki i udać się na poniewierkę. Przecież nie mogłam

wiedzieć, że zostaniemy pojmane przez ciebie, i że nas oszczędzisz. Siedziałyśmy w lochu pełnym szczurów, a potem...

Nie mogła spokojnie dokończyć, tak zwykle opanowana i harda zaczęła tracić kontrolę nad swoim głosem. Ostatkiem sił, hamując drżenie, spytała.

- Gdzie stacjonują siły mego brata?

- Po cóż ci to wiedzieć?

- Gdybym mogła... Gdyby udało mi się oddać Jemie Goultowi...

- Nie! - zaprotestowała Jemima, obejmując siostrę w pasie. - Obiecałaś! Maddy, obiecałaś, że zawsze będziesz przy mnie.

- Przecie właśnie próbuję uczynić to możliwym. - Poglaskała małą po głowie. - Goult pomoże nam przedostać się do Francji, a tam postaramy się zniknąć. Nikt nie musi o nas wiedzieć...

- Nawet o tym nie myśl - wszedł jej w słowo rozsierdzony na dobre Alexander. - Wydaje ci się, że jeden starzec obroni was przed dwudziestotysięczną armią chciwych niegodziwców? Od zatoki dzieli was zbyt daleka droga, i to poprzez ziemie nieprzyjanych klanów. Scottów, Hayów, Ramsayów. Nie macie najmniejszych szans na to, by przemknąć niezauważone, ani na to, by odnaleźć swego wuja. Nie przetrwacie nawet jednego dnia od wyjazdu z Ashblane. A trzeba ci wiedzieć, że niewiasty w tych stronach umierają powoli i w mękach. Nawet te ledwie od podłogi odrosłe. - Spojrzał wymownie na Jemie. - Co do ciebie, lady Randwick, twe wdzięki z pewnością okażą się łakomym kąskiem dla wygłodniałych niewieściej urody mężczyzn.

Milczała, a jego zmęczyły już oględne słowa.

- Zrozumże to wreszcie - zaczął grobowym tonem. - Pierwszy oddział, na jaki się natkniecie, rozszarpie was obie na strzępy. - Może wyłuszczył to niezbyt delikatnie, lecz przynajmniej otwarcie i klarownie.

Madeleine w jednej chwili gwałtownie pobladła. Nie usłyszała nic więcej z tego, co do niej mówił. Czując, że brakuje jej tchu, dopadła łóżka i słaniając się, ciężko usiadła na posłaniu.

Uspokoila się nieco, gładząc palcami sobolowe futro narzuty. Wysiliwszy całą moc, jaka jej pozostała, skoncentrowała się na własnym ciele. Próbowala wbić paznokcie w rękę, to zawsze pomagało, ale przeliczyła się z siłami. Wiedziała, że komnata wiruje jej przed oczami i sama zapada się w ciemność. Po chwili - nie wiedziała jak długiej - przywróciło ją do świadomości szlochanie Jemie i dobiegający jakby z oddali głos Alexandra.

- Oddychaj, do diaska! Powoli. Tak. Jeszcze raz. Rób, jak mówię. - Jego dłoń objęła ją za ramię, a tuż nad uchem rozległ się stroskany szept. Posadziwszy ją sobie na kolanach, przygarnął do piersi jej głowę i poluzował sznurki stanika.

Ciemność wreszcie ustąpiła, a w jej miejsce powróciło światło. Rozluźniła się i zdołała zaczerpnąć powietrza. Zawstydzona, odsunęła się od Ullyota i siedziała z opuszczoną głową, nie patrząc ani na niego, ani na siostrę.

Alex zostawił ją samą i wstał. Wyglądała podobnie jak on po ciężkiej bitwie. Wiedział, co teraz czuje. Potrzebowała samotności i spokoju. Podniósłszy Jemie z miejsca, w którym klęczała, wyprowadził ją na korytarz i przywołał służącego.

- Zabierz chłopaka do kuchni i nakarm jak trzeba - polecił przyciszonym głosem. - Lady Randwick zostanie jakiś czas u mnie. - Zamknął drzwi, po czym stanął bez słowa pod oknem. Czekał aż będzie gotowa, dojdzie do siebie.

Po jakimś czasie uniosła głowę i spojrzała na niego z mieszaniną złości i niezdecydowania.

- Czasem nie mogę złapać tchu.

- Wyglądało to groźnie.

- Miewam te ataki, odkąd zabiłam Luciena. - Raptem zapragnęła zdradzić mu coś, o czym z nikim i nigdy nie rozmawiała. - To klątwa świętej Heleny, patronki mego honoru.

- Sądzisz, że zgładzając Randwicka zaprzepaściłaś swój honor?



Jej szarozielone oczy wypełniły się łzami, które po chwili spłynęły obficie po policzkach. Tego się po niej nie spodziewał. Nie płakała, gdy kazał zakuć ją w kajdany i wtrącić do lochu. Ani gdy naciął sztyletem jej pierś, ani nawet wtedy, gdy Patrick wyzionął ducha na jej rękach, a Milward nazwał ją ladacznicą w obecności setki ludzi. Była niezłomna. Wytrzymała wszystko z dumie podniesionym czołem. Dlaczego teraz płacze?

- Uczyniłabyś to jeszcze raz?

- Co takiego? - Pierwszy raz od dłuższej chwili spojrzała mu prosto w twarz. Powtórzył więc pytanie, ale głośniejsze.

- Gdybyś mogła cofnąć czas. Zabiłabyś jeszcze raz Randwicka?

Zacisnęła mocno szczęki.

- Tak.

- Zabiłabyś? - powtórzył dla pewności.

- Tak! - Potwierdziła z mocą, podnosząc się na nogi. - Zabiłabym.

Jej dziwna determinacja zastanowiła go, postanowił dociec prawdy. Coś się za tym kryło.

- W takim razie znasz już odpowiedź. Czasem zachowanie honoru to zbytek, na jaki mogą sobie pozwolić jedynie święci. Na ziemi znacznie trudniej nie poświęcić go w imię innych wartości.

- A w zaświatach? Co się dzieje z tymi, którzy zaprzędali swój honor za życia?

- Stają przed obliczem Wszechmogącego i kajają się przed nim.

Posłała mu spojrzenie pełne niedowierzania.

- Doprawdy w to wierzysz, panie? Kto cię nauczył podobnych herezji? U nas głoszą, że będziemy się smażyć w piekle.

- Pewien Egipcjanin z Aleksandrii. Nazywał Stwórcę Allahem i mawiał, że Pan jest jeden, lecz wiele ma imion. Uwierzyłem mu, gdy nawałnica zniszczyła w nocy naszą łódź i omal się nie potopiliśmy. Kamil przywołał Allaha i wkrótce francuski statek przyszedł nam na ratunek. Kiedy rzucili nam

linę, pływaliśmy wprawdzie już ponad trzy godziny i powoli opadaliśmy z sił. Tego dnia, pijąc burgundzkie wino i żeglując ku ziemiom Szkocji, poprzysiągłem sobie, iż odtąd będę widział świat innymi oczyma. Zrozumiałem, że wyznawanie Boga innego niż nasz nie jest ni herezją, ni zdradą. Wierzą w to jedno nieoświecone i fanatyczne umysły chrześcijańskiej gawiedzi. Na sprawy wiary należy mieć szerszy pogląd, Madeleine. A w życiu postępować sprawiedliwie i z dobrocią. Honor zaś przybiera różne oblicza.

- A tutejszy kapłan, panie, wie o twych zapatrywaniach?

- Och, ojciec MacLaren to człek światły i rozumny. Nie opiera się uczonym dysputom. Z tej właśnie przyczyny wybrałem go na duchowego przewodnika Ashblane.

Roześmiała się, zaskakując samą siebie.

- Nigdy nie wątpisz w swą nieomylność, panie?

- Nie w sprawach honoru, lady Randwick. Ludzie zbyt często źle pojmują jego istotę. O ile łatwiej dać się zabić w imię zasad, niżli wedle tych zasad żyć.

- Tobie się udaje, panie. Szkoda tylko, iż jesteś w tym osamotniony. - Tak jak ja, pomyślała.

- Niegdyś... - zawahał się - Niegdyś miałem wsparcie Iana... - dokończył, podchodząc do okna.

Maddy nagle ujrziała w nim zwykłego śmiertelnika, a nie groźnego i nieobliczalnego rycerza z legend, które o nim krążyły.

- Widziałam cię wtedy, panie. Na polu bitwy, zanim mnie pojмалиście.

Odwrócił głowę i obrzucił ją niby to obojętnym spojrzeniem.

- Ukrywałam się między drzewami, by sprawdzić, czy są ranni, którym mogłabym pomóc - wyjaśniła.

- Często opatrywałaś ludzi brata po bitwie?

- Owszem, dość często.

- Plotka głosi, iż miast uleczać, wolałaś przyglądać się rzezi.

- O tobie, panie, plotka głosi, że w całym życiu nie uroniłaś ani jednej łzy.

Uśmiechnął się niespodzianie.

- Wolałbym, by nadal w nią wierzono. Kiwnęła głową.

- Co takiego jeszcze o mnie powiadają? - zapytał, nieco odprężony.

- Mówią, że nie masz rodziny, potrafisz odeprzeć atak dziesięciu żołnierzy naraz, że w dzieciństwie zdziczały pies naznaczył ci twarz czarcim pazurem, no i że jesteś nieślubnym kuzynem króla Szkocji.

- Zaiste, wyczerpujący to opis.

- Lecz nie całkiem prawdziwy?

- Blizna pochodzi z czasów, gdy byłem w Kairze, co do rodziny, mam Gilliona, Katherine i Quinlana.

Zauważyła, że ni słowem nie wspomniał o swym kunszcie bojowym ani o pokrewieństwie z rodem monarszym. Spodobało się jej, że nie jest próżny.

- Plotka to potężna i niebezpieczna broń - ciągnęła ostrożnie. - Wyrządziła mi wiele szkód. Ludzie pomawiają mnie o czarną magię, odprawianie guseł i inne okropności. - Zbliżyła się do niego na tyle, że poczuł jej zmysłowy zapach.

- Brat trzymał mnie w odosobnieniu, nie pozwalając rozmawiać z nikim poza garstką osobiście przez niego wybranych przyjaciół. Zrazu myślałam, że zwyczajnie mnie nienawidzi, potem jednak domyśliłam się, iż chodzi o coś zgoła innego... - Nie sprecyzowała, co to takiego, lecz na jej policzki wystąpił rumieniec. - Zniesławioną łatwiej mu było przetrzymywać w Heathwater.

Uczył ze mnie łatwą zdobycz dla niezliczonych młodych mężczyzn... Nie tylko młodych... - poprawiła się i wytrzymała jego spojrzenie, gdy niespodziewanie szarpnął ją bezceremonialnie za nadgarstek.

- Po co mi o tym opowiadasz, Madeleine?

- Chcę tylko... byś wiedział, panie, że to, co słyszy się od innych, to nie zawsze prawda. - Wyrwała mu ramię i wyprostowała dumnie plecy. - Przy pomocy mikstur i eliksirów wprawna uzdrowicielka może sprawić, że mężczyzna uwierzy we wszystko. Ja również mam taką wiedzę i niekiedy potrafię to wykorzystać.

Odkąd wyleczyła mu ramię, nigdy w to nie wątpił. Płomienie z paleniska odbijały się w jej oczach, rzucały ogniste refleksy na twarz, jakby przemawiał przez nią sam Lucyfer. Nie wiedzieć czemu, Alex nagle poczuł na plecach ciarki.

- Nadal nie pojmuję, dlaczego mi o tym mówisz. - Tym razem w jego głosie słychać było więcej zaciekawienia niż złości.

- Dlatego, że nie zabiłeś mojej siostry, panie. I nie wyrzuciłeś nas obu z zamku na zatracenie. Dlatego, że powiedziałeś służącemu, by zabrał „chłopaka”, a nie „dziewkę” do kuchni.

Nieznane mu wcześniej uczucie chwyciło Alexandra za serce z taką mocą, że aż się cofnął w odruchu obrony.

Jakże łatwo byłoby położyć dłoń na jej smukłej szyi, wpleść palce w jej płomiennorude loki. Coś go jednak powstrzymywało. Kazało mu pozostać ostrożnym i nieufnym. Gdy mówiła o tym, jaki los zgotował jej brat, miała w oczach coś nie z tego świata. Czarownica, wieszczka i kusicielka... Różnie powiadano o pani z Heathwater i nareszcie rozumiał, dlaczego.

- Chcesz mi wmówić, jakobyś była cnotliwa? - zapytał szyderczo.

- Co to, to nie, panie - odparła mu tym samym, szyderczym tonem. - Lucien miał osiemnaście, a ja czternaście lat, kiedy mnie za niego wydali. Noel miał żywotny interes w tym, by to małżeństwo zostało skonsumowane. Upewnił się o tym naocznie. Zmusił nas do tego, żebyśmy mu pozwolili patrzeć - powiedziała to z gniewem. Jeszcze teraz na wspomnienie tamtej nocy poczuła mdłości z bezsilnego wstydu i upokorzenia.

- Po roku jednak mąż rzadko mnie nawiedzał.

- Czemu?

- Już wtedy zwyczajnie się mnie lękał. Nadto... upodobania miał dość... osobliwe...

- Boże przenajświętszy! - zagrzemiał Alex, po czym nieprzystojnie zaklął.

- A kochankowie, których ponoć miałaś bez liku?

- To się zaczęło całkiem niedawno. Po śmierci Luciena pozostałam bezdzietną wdową, a mój kochający brat nadal potrzebował mego potomka, tego przecież wymagał testament Eleanor. Gdybym powiła syna, pieniądze i ziemię przeszłyby legalnie w ręce Noela, ale do czasu, gdy prawowity dziedzic osiągnąłby wiek męski.

- Zatem Falstone postanowił zadbać o to, byś znalazła się w błogosławnym stanie?

- Szczyście Harrington woli chłopców, a kazirodztwo nie leży w naturze Noela. - Uśmiechnęła się nieoczekiwanie. - W Szkocji boją się Alexandra Ullyota, bo słynie z bezwzględności i okrucieństwa. Mnie zaś w podobny sposób ochroniła moja zła sława, choć bywali i tacy, których ciężko mi było okiełznać.

- Podciągnęła rękaw i pokazała mu wypaloną na ramieniu bliznę po żagwi. - Z Lucieniem przynajmniej nie było takich kłopotów jak z niektórymi „kamratami” mego brata.

Przeto radziła sobie nie tylko eliksirami i „magią” - skonstatował w duchu. Chroniła ją także niezłomna duma. Alex doceniał jej szczerość, lecz było w tej historii coś, co nadal nie dawało mu spokoju.

Twierdziła, że mąż zginął z jej ręki, wątpił jednak, by była zdolna zabić kogokolwiek, a już na pewno nie Randwicka, gdyby ten rzeczywiście był taki, jakim go opisywała. Zamknięty w sobie, lękliwy i niegroźny. Czyżby coś przed nim zataiła? Pewnie tak, ale co?

- Gdzie w tym czasie przebywała Jemima? - zapytał, i po jej minie od razu poznał, iż trafił w sedno. - Czy Lucien wiedział, że Jemie to dziewczynka?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego odwróciła się gwałtownie, pokazując mu plecy. Przyjrzał się uważnie jej napiętej sylwetce, i wnet połapał się, w czym rzecz.

- Randwick gustował w dzieciach?!

- Tak! Oby szeszył w piekle! - Jej oczy ciskały gromy. - Nie zważał nawet na płęć. Kiedy się pobraliśmy, miałam ledwie czternaście lat, a już po roku zaczął się oglądać za młodszymi ode mnie.

- A Jemima? Ile mogła mieć? Dziewięć, dziesięć lat?

- Dziewięć! Na Boga, miała tylko dziewięć lat, a ten nikczemnik... - umilkła w bezsilnej furii, przypominając sobie najmniejszy szczegół owego strasznego dnia.

Luciena zrywającego szaty z przerażonej Jemimy, szok i lubieżne zainteresowanie, które odmalowały się na jego podłym obliczu. Zorientował się, ile ów sekret może być dla niego wart i zamierzał to wykorzystać. Madeleine miała ze sobą sztylet. Nie wahając się ani chwili, wbiła go w szyję męża. Jeśli chciała ocalić życie swoje i siostry, nie mogła postąpić inaczej. Potem stała nad jego bezwładnym ciałem, czekając, aż spłynie z niego cała krew i Lucien odda ducha.

- Zasłużył na swój los.

- Co powiedziałaś, panie?

- Mówię, że nikczemnik zasłużył na nóż w plecy, czy gdzie tam mu go wbiłaś. Mam nadzieję, że konał długo i w mękach.

- Nie, panie. - Uśmiechnęła się słabo, podniesiona na duchu. - Nie cierpiał długo.

- Na twoim miejscu odciąłbym mu jeszcze pewną część anatomii.

- Pomyślałam o tym, ale nie mogłam... ja już nie mogłam. - I dobrze.

Wspaniale było móc wreszcie z kimś o tym porozmawiać i zrzucić z serca ogromny ciężar. Dusila to w sobie dwa długie lata, pozwalając, by wspomnienie krwawego czynu zżerało jej sumienie. A teraz znalazł się ktoś, kto próbował ją z niego rozgrzeszyć. Lecz jeśli naprawdę pragnie odpuszczenia win, musi wyznać całą prawdę.

- Lucien był nieuzbrojony - rzekła, sądząc, iż za moment usłyszy słowa potępienia.

- Nie miał przy sobie broni? To nic nie znaczy. Był wielekroć silniejszy od ciebie i Jemie. Prawda?

Skinęła głową.

- Siła to także broń. Miałaś pozwolić, by ów podlec wyrządził krzywdę twojej siostrze? Potrafiłaś z tym żyć?

- Nie, nie potrafiłabym. Ale... ale on... był jednak żywym człowiekiem. Alexander podszedł bliżej i ujął ją za podbródek.

- Jemie albo pozbawiony zasad łajdak, Madeleine. Wydawałoby się, że wybór był prosty.

- Prosty?! Jego krew spływała mi po stopach. Mogłam go przecież uratować, zatrzymać krwawienie... Jestem przecie uzdrowicielką.

- Nie uczyniłaś tego jednak?

- Nie. Wtedy nie mogłam.

- Ja postąpiłbym tak samo. Milczała przez dłuższą chwilę.

- Zdarzyło się wam, panie, zamordować kogoś z zimną krwią? Roześmiał się, choć Maddy wcale nie było do śmiechu.

- Nie zamordowałaś Randwicka. A już na pewno nie z zimną krwią. Zgładzić z zimną krwią znaczy zasadzić się na człeka, który pełni służbę u twego wroga i sprawić, by wyzionął ducha, nim zdąży zameldować swemu panu o nadchodzącym zagrożeniu. I tak, zdarzyło mi się to niejeden raz.

- W obronie domu i swego ludu?

- Obrona domu to czasem jeno pretekst do wojny. Broniąc siostry wykazałaś się prawdziwym męstwem, Madeleine. Moje czyny nie zawsze były tak bohaterskie.

- Nie przebierasz w słowach, panie.

- Dziękuję.

- To raczej nie był komplement. Nie taki, za jaki go wzięłaś.

- Nie? - Uśmiechnął się szeroko, a Maddy poczuła, że znowu robi się jej gorąco.

Jakże łatwo byłoby go pokochać - pomyślała i odwróciła się przerażona. Ashblane to dobrze strzeżona twierdza. Na jakiś czas była im schronieniem. Nie mogą tu jednak pozostać. Ściągnęłyby na lud Alexandra okrutną zemstę swych licznych wrogów.

Zacisnęła dłonie w pięści i przymknęła powieki, próbując odepchnąć nieznośną tęsknotę. Tęsknotę za tym, by wyciągnąć dłoń i dotknąć jego twarzy. Nie. Nie wolno jej tego uczynić. Nie zdradzi się ani jednym gestem, ani jednym słowem.

Alex widział, jak Madeleine znów zamyka się w sobie. Jej zbielełe knykcie kazały mu przypuszczać, iż toczy ze sobą jakąś wewnętrzną walkę. Włosy opadały jej miękkimi falami aż do krągłych bioder. Przypomniła sobie jej dłoń na swoich łądźwiach i widok niemal obnażonych piersi. Chciała mu się oddać, a jeszcze przed chwilą, gdy patrzyła mu w oczy, wydawało mu się, że dostrzegł w jej źrenicach iskierkę, zarzewie głębszego uczucia. Potrząsnąwszy głową, przeszedł przez izbę i otworzył drzwi.

- Odprowadź lady Randwick do jej komnaty - zwrócił się do wartownika.  
- I postaw przy wejściu strażę.

Wyszedł, nim zdążyła mu podziękować.



## *Rozdział trzynasty*

O świcie do Ashblane przybył Goult. Stojąc u boku gospodarza, Madeleine przyglądała się, jak jej wuj wjeżdża przez bramę. Chciała wybiec mu na spotkanie, lecz Alexander powstrzymał ją ruchem ręki.

- Stój!

Zdziwiła się nieco, lecz usłuchała. Spostrzegła, że jego palce zaciskają się na rękojeści miecza, jakby wyczuwał w powietrzu nadciągające niebezpieczeństwo

- Czołem, Aidan - przywitał się z żołnierzem jadącym na czele kolumny i odczekał, aż ten zsiądzie z konia.

- Napotkaliście jakieś przeszkody?

- Nie, wodzu. Falstone przebywa w Londynie.

- Wiesz, po co się tam udał?

- By prosić o interwencję, tym razem króla Anglii. Jak się domyślasz, panie, domaga się niezwłocznego zwrotu siostry.

Marszcząc gniewnie brwi, Alexander przyjrzał się sędziwemu mężczyźnie na białym wierzchowcu i poczuł, że odżywa w nim nadzieja. Dostrzegł w oczach starca dumę i roztropność.

- Tyś jest Goult z Kennmore?

- We własnej osobie.

- Witaj w Ashblane.

- Bóg ci zapłać, mości panie Ullyot.

Alex pozwolił Madeleine podbiec do wuja, po czym zwrócił się do Aidana:

- Dajcie mu powitać siostrzenicę, a potem zaprowadźcie go na pokoje.

Gdy będzie gotowy, chcę go widzieć u siebie.

Ciekawie będzie porozmawiać z kimś, kto zna lady Randwick od dziewczęcia - pomyślał, przyglądając się czulej scenie między krewnymi. Po tym, jak padli sobie w objęcia, poznał że łączą ich prawdziwe rodzinne więzy.

- Mówiłeś z kimś o rodowodzie Jemie? - zapytał ściszym głosem Alexander.

- Nie - odparł z powagą Goult. - Rozmawiali w komnacie gospodarza w obecności Madeleine.

- Noel nigdy nie dociekał, skąd się wzięła?

- Raz tylko.

- Niedawno, jak przypuszczam? - I owszem.

- Mniemam, że niczego mu nie zdradziłeś?

- Uchowaj, Boże.

- Gdzie Jemima przyszła na świat?

- W Vorpeth. W domu Josephine de Cargne.

- Twej babki? - Alex spojrzał wyczekująco na Madeleine.

- Tak, mieszka obecnie z drugim mężem, lordem Robertem Anthonym.

- Hm... Anthony, powiadasz? - zadumał się. - Tym samym, który wsławił się w bitwie na wzgórzach Halidon?

- Nie inaczej.

- Zatem przedni z niego wojownik?

- Owszem... - Maddy na próżno starała się ukryć niepokój, ale Alexander to zauważył.

- Sądzisz, że nie zdoła obronić własnego domu? - zwrócił się do niej.

- Nie w tym rzecz, panie. Jest bardzo stary, a babka nie ma już takich wpływów jak niegdyś.

- O jakich wpływach mówisz?

- Jeszcze dziesięć lat temu była damą dworu królowej Anglii. Chroniły ją powiązania z rodziną monarchy.

- A teraz? Nie może na nie liczyć?

- Znalezione u niej naszyjnik, należący do królowej Phillipy i oskarżono ją o kradzież. Szczęściem uwzględniono lata jej służby i sprawę wyciszono, musiała tylko opuścić dwór.

- Wierzysz, że to zrobiła?

- Chciałabym powiedzieć, że nie, ale babka zawsze lubiła błyskotki. Zdarzało jej się czasem brać klejnoty mojej matki.

- Mam rozumieć, że to nie były niesłuszne oskarżenia?

Madeleine spłoniła się ze wstydu i opuściła głowę. Dopiero teraz z całą mocą dotarła do niej prawda o jej najbliższych. Jej matka kupczyła swym ciałem, babkę oskarżono o przywłaszczenie klejnotów, a jej siostra jest nieślubnym dzieckiem, które samym swym istnieniem może doprowadzić do wojny i zguby setki ludzi. Zrobiło jej się niewypowiedzianie przykro, że musiała powiedzieć o tym wszystkim Alexandrowi.

- Noel chce za wszelką cenę sprowadzić siostrę do domu - zabrał głos Goult. - Ponoć poprzysiągł sobie, że nic nie zdoła stanąć mu na drodze.

- Nic z wyjątkiem mnie - rzekł z ukontentowaniem Alexander, rozbawiając tym stwierdzeniem starszego mężczyznę.

Maddy była mu za to szczerze wdzięczna. Uśmiech zbyt rzadko gościł ostatnio na pobrużdżonej twarzy wuja.

- Wolałbym, żebyście przez jakiś czas nie opuszczały murów zamku - dodał po chwili Ullyot. - Ktoś może obserwować twierdzę.

- Ale... czasem muszę doglądać chorych w ich domach. Może mogłabym ich odwiedzać pod okiem straży? Któryś z wartowników mógłby mi towarzyszyć...

- Nie. To zbyt niebezpieczne - odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Niech oni sami przychodzą do ciebie, pani, po poradę do zamku.

- Znowu uzdrawiasz, Lainie?

Alex podniósł wzrok na Goulta. Jakże dziwnie zabrzmiało w ustach sędziwego jegomościa to czułe zdrobnienie. Zaiste, czy wszystko, co powiadali o Madeleine Randwick było prawdą?

- Wiedziałem, mości panie Ullyot, że nie uda ci się długo trzymać jej od tego z daleka. Moja siostrzenica ma zaiste wielki dar od Boga. To pewne.

- Święte słowa. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Mnie pierwszego uzdrowiła po bitwie pod Heathwater.

- Dlatego pozwalasz jej pomagać ludziom wewnątrz warowni? Noel nigdy nie dopuszczał magii do swego domu. To człek o zbyt małym umyśle. Mogła jeno opatrywać rannych na polu walki... - Starzec zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał. Maddy domyślała się, co mu chodzi po głowie.

- Może moglibyśmy rozmówić się na osobności? - zwrócił się do Alexandra, który przystał na jego propozycję.

- Nie - zaprotestowała Madeleine. - Chcę wiedzieć, o czym... Umilkła natychmiast, gdy obaj spojrzeli na nią stanowczo.

Nie pozostało jej nic innego jak opuścić komnatę. Zacisnąwszy usta, wyszła na korytarz i upewniła się, że drzwi pozostały lekko uchylone. Wcale nie odeszła daleko.

Nim przemówił, Goult pogładził swą długą siwą brodę.

- Kim jest twój ojciec, mości panie Ullyot? - zaczął bez ogródek.

Nigdy wcześniej nikt nie ośmielił się zapytać o to wprost. Alexander zrazu nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Milczał uparcie, więc starzec podjął wątek:

- Babka Lainie jest w posiadaniu listu, który uznaje Jemie za latorośl króla Szkocji. Gdyby owo pismo trafiło na dwór, życie małej zawisłoby na włosku.

- Od jak dawna Josephine je przechowuje?

- Będzie jedenaście lat. Od dnia narodzin dziecka. Niestety, jest obłożnie chora i nie dożyje do wiosny. Szkopuł w tym, że kiedy umrze, wszystkie jej

dokumenty i rzeczy osobiste zostaną wysłane najstarszemu wnukowi, Noelowi Falstone'owi.

- Diabli nadali!

- Moje własne słowa. Tym bardziej że większy szkocki oddział nie może przemknąć się aż tak daleko w głąb Anglii niezauważony. Możesz posłać po list jedynie kilku najbardziej zaufanych ludzi.

- Czy Madeleine wie o owym liście?

- Nie. Nikt jej o tym nie powiedział, ale kto wie, co będzie dalej.

- I niech tak pozostanie. Gdy w grę wchodzi los jej siostry, staje się nieobliczalna.

Goult uśmiechnął się pod wąsem i zapytał:

- Zechcesz zatem przejąć pismo w swoje ręce, a potem je zniszczyć?

- To bardzo niebezpieczne.

- Nie oczekuję, że zrobisz to w zamian za nic.

- Nie?

- Sowiec cię wynagrodzę. Mam do dyspozycji rozliczne grunta i...

- Nie tak dawno - roześmiał się Alexander - twoja siostrzenica obiecywała mi to samo. Rzekłem jej, iż martwemu na nic zdadzą mi się doczesne bogactwa.

- Nie chcesz ziem - rozważał na głos niezrażony Goult. - A co powiesz na owce? Na wełnie można zbić pokaźny majątek. Gdybyś wyruszył jeszcze dziś, za tydzień będziesz z powrotem. Będę miał oko na Madeleine i Jemie. -

Zdjąwszy z szyi medalion, wręczył go gospodarzowi. - Dzięki niemu przekonasz Josephine, iż jesteś tym, za kogo się podajesz. Powiedz, że przysłała cię Goult, a jej wnuczki są bezpieczne w Ashblane. - Uśmiechnął się i dodał: - Powiadają o tobie, mości Ullyot, iż jesteś człowiekiem honoru. Jeśli w twych żyłach istotnie płynie krew The Bruce'ów, Jemie jest twą bratanicą. Myślałeś o tym?

Alex zmarszczył brwi. Powinowata czy nie, za nic nie wydałby dziewczynki lwom na pożarcie. Widząc zadowoloną minę swego gościa,

uzmysłowił sobie, że stary wziął go fortelem i zwyczajnie przechytrzył. Tak czy owak, zgodził się na tę wyprawę nie dla złota, rozległych ziem ani tym bardziej dla owiec. Chciał uratować swoją przyrodnią bratanicę. W końcu to także jego krew.

Quinlan stał przed nim niemal dygocząc ze złości i niedowierzania.

- Nie mogę uwierzyć, Alexandrze, że właśnie taka jest twoja wola - perorował zapalczywie. - To angielska ladacznica, o którą mogą się bić armie dwóch królestw! Ściągnie tylko na nasze głowy nieszczęście. Rzuciła na ciebie urok, ot co. A teraz jeszcze ten wypad do Anglii. Po co ci to? Co chcesz osiągnąć? A jeśli nie zdołamy pod twą nieobecność obronić twierdzy? Godzisz się na to, by narazić na szwank życie Kitty i Gilliona? Żądasz, by twoi ludzie położyli głowy za siostrę twego najgorszego wroga?

- Nic wam nie grozi. David The Bruce obiecał dać mi czas do Bożego Narodzenia.

- A co będzie, jeśli zginiesz?

- Ty przejmiesz pieczę nad Ashblane. Przynajmniej do czasu, gdy przybędzie król.

- A jeśli przed nim pojawią się inni?

- Odeprzesz ich atak i zaczekasz na Davida. - Zdjąwszy z palca pierścień, Alex wręczył go kuzynowi. - Przekaż mu go wraz z prawem do Ashblane i przysięgnij wierność. Nie zniszczy poddańczej armii, mając przed oczyma widmo zemsty króla Edwarda i Kościoła.

- Dalibóg! To nie może być. Chcesz zaprzepaścić wszystko, co...

- Obiecaj mi, że zapewnisz bezpieczeństwo Madeleine, Jemie, Gillionowi i Katherine.

- Na Boga żywego, co ma do tego jej paź?! - Twarz przybocznego wykrzywiła teraz istna złość połączona z niedowierzaniem.

- Czy kiedykolwiek prosiłem cię o coś, co nie było dla mnie ważne, Quin?

- odrzekł spokojnie Alexander, ignorując gniew krewniaka. - Wierz mi, gdy

mówię, iż to kwestia najwyższej wagi. Gdyby wypadki przybrały zły obrót, wyślij ich do Francji z największym zastępem, jaki uda ci się zebrać.

- Jezu Nazareński - lamentował Quinlan, przemierzając nerwowo komnatę. Wydawało się, iż jest bliski rwania włosów z głowy. - Zali nie możemy karmić się nadzieją, że im się znudzi i odstąpią? Chcesz powiedzieć, że będą oblegali nas w nieskończoność z powodu jednej białogłowy? Że staną się gotowi, by wziąć nas głodem?

Chciwość, władza i ziemie - pomyślał Alexander. - Dwie niewiasty, z powodu których chętnie się zjednoczą najwięksi wrogowie Szkocji. Ta sprawa może zaważyć na losach monarchii. Nie wolno mu do tego dopuścić.

Podniósł się energicznie, niechcący chwytając wzrokiem swe odbicie w zawieszonym nad paleniskiem zwierciadle. Widok zrujnowanego policzka przypomniał mu o tym, że w przeciwieństwie do innych kobiet, Madeleine nigdy nie wpatrywała się w jego bliznę z odrazą czy niechęcią.

W całym swoim życiu niewiele uwagi poświęcał niewiastom. Alice była jego żoną cztery lata, a prawie jej nie znał. Te, które miał przed nią i te, które przyszły po niej, pozostały jedynie cieniami. Uśmiechnął się do samego siebie i wyjąwszy sztylet, począł ostrzyć go o kamień.

Po prawdzie, jeśli nie liczyć kilku schadzek z Isabellą, od śmierci małżonki żył niemal w całkowitym celibacie.

Wstrzeźliwość to dla wojownika rzecz zwyczajna. Zdążył nawet nawyknąć do samotności. Nie doskwierała mu tak bardzo, aż do teraz.

Do czasu, gdy pojawiła się Madeleine.

Ostrze ześlizgnęło mu się z kamienia i zraniło w rękę. Klnąc pod nosem, przycisnął skaleczony palec do ust, żeby zatamować krew.

Madeleine.

Co on z nią pocznie? Na samą myśl o niej jego lędźwie budziły się do życia. Czyżby Quinlan miał rację? Czy to w imię własnych potrzeb i tęsknot ryzykował bezpieczeństwo całego klanu?

I jeszcze ta podróż do Anglii. Diabli nadali. Nie cierpiał tamtejszych nizin i mokradeł. Brr. Niebawem przyjdzie mu ruszyć w drogę. Czas się zbliża.

## *Rozdział czternasty*

Madeleine podążała śladem Alexandra, trzymając się hen w tyle. Czasem traciła go z oczu, by po chwili dojrzeć potężną sylwetkę jego wierzchowca na szczycie wzgórza. Szczęściem nie pędził na złamanie karku i mogła obserwować go z daleka, nie zdradzając przy tym swej obecności.

Po jakimś jednak czasie zniknął i przepadł jak kamień w wodę. Nie mogła dostrzec jego sylwetki. Nie było go na wzgórzu, do którego właśnie dotarła, ani w szerokiej dolinie otaczającej rzekę Esk, rozciągającej się przed nią.

- Do diaska - wymamrotała i rozejrzała się dokoła.

Kompletne pustkowie. Przez ostatnie dwie godziny nie zauważyła ni śladu domostwa. Nie wiedziała nawet, czy nadal jest na ziemiach Ullyotów. Ze strachu zaczęło brakować jej tchu. Powinna zawrócić, czy gnać dalej naprzód?

Raptem ktoś uderzył ją z tyłu znienacka, jednym ciosem zrzucając z konia na ziemię. Obolałe płuca odmówiły jej posłuszeństwa. Nim zdążyła nabrać powietrza, poczuła na gardle zimne ostrze sztyletu. Zawieszona nad jej twarzą błękitne oczy Ullyota ciskały gromy.

- Madeleine. Do czarta, Madeleine. - Dysząc ciężko, schował nóż do pochwy i przeturlał się na plecy.

- Mogę wiedzieć, po co za mną pojechałaś? - spytał po chwili przesadnie uprzejmym głosem.

- Wiedziałam... panie... że jedziesz po... list - słowa nadal przychodziły jej z trudem. - By ratować... Jemimię.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Goult ci powiedział? - Zabrzmiało to, jakby nagle stracił dobre zdanie o jej wuju.



- Nie. Podśluchiwałam pod drzwiami i... postanowiłam ci pomóc. Mogę na coś się przydać. Wiem, gdzie babka trzyma dokumenty. Gdyby robiła trudności, sama znajdę pismo.

- Gdzie ono jest? - zniecierpliwił się. - List - dodał, widząc jej pomieszenie. - Gdzie jest ten list?

Nagle zrozumiała podstęp.

- Jeśli powiem, odeślesz mnie natychmiast do Ashblane. Jego źrenice zapłonęły gniewem.

- Mów, gdzie list, niewiasto, bo nie ręczę za ciebie - wycodził przez zęby.

Dała za wygraną. Zdarzało jej się widywać mężczyzn doprowadzonych do ostateczności.

- W rzeźbionej skrzyni, którą babka trzyma pod łóżkiem. Na jej dnie jest tajny schowek, otwierany szafirem. Pokazała mi raz, jak go otworzyć.

- Dobrze. - Ujął wodze jej konia i odwrócił zwierzę w stronę zamku.

- Jestem jej wnuczką - zaczęła rozpaczliwie - Beze mnie nie otworzą ci bramy.

- Nie ma mowy. To zbyt niebezpieczne.

- Przeciwnie. To znacznie bezpieczniejsze niż forsowanie wrót siłą. Lord Anthony na pewno będzie się bronił. Dysponuje liczną...

- Kto powiada, że zamierzam wdzierać się siłą?

- Na Boga, Jemie to moja siostra. Bronić jej to moja powinność. Pozwól mi z sobą jechać, Alexandrze.

Zamrugnął gwałtownie. Nigdy przedtem nie wypowiedziała na głos jego imienia. W jej ustach brzmiało ono jakoś inaczej niż zwykle. Spodobało mu się. To pewnie ten jej staranny angielski akcent i lekko schrypnięty głos... Zdaje się, że wytrąciła mu broń z ręki. Poczuł, że jego opór topnieje.

- Przed nami trzy dni drogi. - Spróbował z innej beczki. - I trzy noce, a będziemy zupełnie sami. - Może uda mu się ją odstraszyć.

Spąsowiała i przygryzłszy wargę, nie rzekła ni słowa. Nie wiedział dlaczego, ale rozeźliło go jej zdenerwowanie. W wełnianych rajtuzach, męskim kaftanie i słomkowym kapeluszu, pod którym ukrywała włosy, wyglądała cudnie. Przesunął wzrokiem po jej krągłych pośladkach i smukłych nogach.

- Jeśli pojedziesz, masz mi być we wszystkim posłuszna. Wejdziemy, weźmiemy, co trzeba i ruszamy z powrotem. Gdy powiem biegnij, pobiegniesz. Gdy powiem idź, pójdziesz. Zrozumiano?

- Tak.

- Jesteś uzbrojona?

- Mam sztylet. - Wyłuskała z kieszeni niewielki nóż, ten sam, który zawsze miała przy sobie na wypadek, gdyby musiała udzielać pomocy przy czyszczeniu ran. Odzyskała go po tym, jak Alex zabrał go jej siłą. Pomogła w tym Kathy, kiedy obie szykowały izbę dla chorych.

- Potrafisz go użyć? Zawahała się.

- Znam słabe punkty w ciele. Kiedy uzdrawiam...

- Na rany Chrystusa, czy wiesz, jaki zrobić z niego użytek, czy nie?

Potrafisz się bronić?

- Chyba tak.

- Daj mi go.

Zrobiła, co kazał, a on ujął jej dłoń w swoją.

- Pokaż mi, jak go trzymasz.

Zacisnęła rękę na rękojeści, zwracając ostrze do góry.

- Źle. - Obrócił jej nadgarstek w dół. - Nie jesteś dość silna. Nie zdołasz wbić noża od dołu. Przy twoim wzroście lepiej dźgać od góry. Teraz uderz na mnie.

- Co?

- No, dalej, zaatakuj mnie.

Uniosła sztylet i zamachnęła się, lecz delikatnie, by go nie zranić.

- Nie tak! Zróbże to jak należy.

Spróbowała jeszcze raz. Skończyło się na tym, że straciła równowagę i omal się nie wywróciła.

- Gdy robisz wykrok, trzymaj ciężar ciała na nodze z przodu. O tak. Jeśli chcesz się wycofać, zrób to. - Zwinąwszy dłoń w pięść, pokazał jej, pod jakim kątem uderzać.

Natychmiast zrobiła to samo.

- Lepiej. A teraz zaatakuj mnie, jakbyś robiła to naprawdę. Znow chybila.

- Jeśli nie zrobisz tego jak należy, wsadzę cię na konia i odeślę do Ashblane.

Pchnęła jeszcze raz.

- Nadal mizernie, lady Randwick - skwitował, uskakując na bok. W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Przy takiej obronie dosięgnie cię każdy.

- Tak? Przekonajmy się! - Wrzasnęła rozsierdzona swą nieporadnością i tym, że się z niej śmieje. - No, dalej!

Nie trzeba było go zachęcać. Poruszając się z lekkością, do której zdążyła już przywyknąć, wytrącił jej sztylet z ręki i naparł na nią swym potężnym ciałem.

- Widzisz teraz, jaka jesteś słaba? - szepnął jej wprost do ucha. - I jak twa słabość może zaszkodzić nam obojgu?

- Nie! - Uniosła kolano, by go kopnąć, lecz skutek okazał się marny. Jej rozpaczliwe próby wywołały jedynie kolejny atak śmiechu. Wesołość nie opuszczała Alexandra do chwili; gdy ugryzła go mocno w rękę. Puścił ją instynktownie i odskoczył. Maddy tymczasem podniosła nóż i ruszyła na niego z impetem, tak jak ją uczył. Ostrze zahaczyło o rękaw i utknęło w grubej, wełnianej tkaninie. Napastniczka zaś straciła równowagę i wpadła całą sobą na swą niedoszłą ofiarę. Ledwo co ustali na nogach.

- Znacznie lepiej - powiedział z nagłym rozdrażnieniem w głosie. Zaskoczona, spojrzała mu w oczy. W jego pociemniałych źrenicach czaiło się niebezpieczeństwo. Poczwała, że jego ramiona zaciskają się na jej plecach. Był

rozjątrzony i roznamiętniony zarazem. Zastanawiała się, co by było, gdyby się w niego wtuliła, wplotła mu dłonie we włosy i uniosła usta do jego ust.

Natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl. Nie mogła tego uczynić. Sama nie wiedziała skąd, ale między nimi unosiła się złość.

Gdy wreszcie wypuścił ją z rąk, ogarnęła ją ulga i smutek. Oddychając ciężko, schowała nóż i usiadła na pieńku.

- Skąd wiesz, że w dogodnym momencie nie wbiję ci go w plecy? Nie obawiasz się ćwiczyć swego wroga w sztuce posługiwania się sztyletem?

- A jesteś moim wrogiem, Madeleine?

- Nie - szepnęła niemal bezgłośnie.

Przyglądając się z daleka jego zaciśniętej szczęce, zrozumiała niedogodność swego położenia. Alexander Ullyot nie był mężczyzną, z którego można bezkarnie drwić. Lepiej też nie próbować na nim niewieścich sztuczek.

- Weźmiesz mnie ze sobą? - zapytała na tyle chłodno, na ile potrafiła się zdobyć.

- Wezmę - odrzekł tym samym tonem i głosem całkowicie pozbawionym emocji.

Jechali jeszcze ze dwie godziny, nim Alexander zarządził postój na noc. Zsiadając z konia, Madeleine wsparła się całym ciałem na siodle. Gdyby była sama, pewnie zwyczajnie sturlałaby się na ziemię i podczołgała po trawie do miejsca, w którym mieli spać. Była bardzo zmęczona i bolały ją wszystkie mięśnie i kości. Myślała jedynie o tym, by wreszcie wyciągnąć się, odpocząć i zasnąć.

Miło było ogrzać się w płomieniach ogniska. Odzyskawszy równowagę, zaczęła się jednak zastanawiać, czy rozpalenie go było dobrym pomysłem.

- Nie boisz się, że ogień ściągnie nieproszonych gości? - zapytała, gdy podał jej pajdę chleba i kawał wołowiny.

- To ziemie Tumbullów. Nie mamy tu wrogów.

- Kiedy zjechaliśmy z niebezpiecznych terenów?

- Po południu. Przy strumieniu w Woodhill.

A mimo to nikt nie stanął nam na drodze - pomyślała z podziwem. To prawda, co o nim powiadają. Potrafi przemknąć się niezauważony dosłownie wszędzie. Ciekawe, gdzie i od kogo się tego nauczył?

- Dlaczego postanowiłeś jechać sam jeden? - zapytała znienacka. - Dlaczego nie posłałeś umyślnych? Goult nie wycofałby się z danej obietnicy. Gdyby im się powiodło, dostałbyś swą nagrodę.

- Twoja przyrodnia siostra - jak się właśnie okazało - jest także moją kuzynką. Uznałem więc, że jej ocalenie to moja powinność.

Zadumała się na chwilę.

- Przyznajesz zatem, iż jesteś bliskim powinowatym Davida?

- Tak, przyznaję - wycedził szorstko i ze złością.

- Słyszałam pogłoski o tym, gdy przebywałam wraz z matką na dworze Szkocji. Nigdy cię tam jednak nie widziałam. Gdzie wtedy byłeś?

Podniósł z ziemi patyk, odłamywał kawałek po kawałku i wrzucał do ognia. Zauważyła, że robił to ze złością, łamiąc cienką gałązkę tak napinał palce, aż skóra na nich białała.

- We Francji.

- Ale... miałam wtedy zaledwie dwanaście lat. Ile ty mogłeś mieć?

- Na tyle mało, by sądzić, iż jestem niezwyciężony i na tyle dużo, by twierdzić, że potrafię posługiwać się mieczem. Kiedy się jest piętnastoletnim wyrostkiem wydaje się, że wystarczy o czymś pomyśleć i już się to umie.

Podniósł głowę i ich oczy spotkały się nad ogniskiem. Dojrzała w nim nagle młodego chłopca, którym kiedyś był. Samotnego i bezbronnego.

Zaskoczona, spuściła wzrok.

- Byłeś ranny?

- Och, wiele razy. Ów rycerz, u którego w służbie walczyłem we Francji, był przekonany, że każda nasza bitwa przeciw

Anglikom musi rozstrzygnąć się na naszą korzyść. Niestety bywały i takie, w których ponosiliśmy klęskę.

Mówił o sobie tak rzadko, że Madeleine postanowiła wyciągnąć z niego coś więcej.

- Mówiłeś kiedyś, że odwiedziłeś Egipt. Kiedy to było?

Posłał jej podejrzliwe spojrzenie. Jakby chciał wy badać, czy ma w tym pytaniu jakiś ukryty cel.

- Po oblężeniu Calais.

- Ponoć nikogo nie wzięto wtedy w niewolę.

- Prawda, nie wzięto. Po tym jak Edward oszczędził miasto, wsiedliśmy na statek do Szkocji, lecz na wodach Irlandii zatrzymała nas burza. Kiedy kupiecki galeon z Aleksandrii zaoferował pomoc i gościnę, postanowiłem skorzystać z okazji. Dwór Szkocji nigdy nie był moim ulubionym miejscem, a obietnica przygody zdawała się... - urwał, próbując znaleźć właściwie słowo - ... pociągająca. - Dokończył i roześmiał się, choć w jego oczach nie było ni cienia uśmiechu. - Po rozładowaniu towarów w Anglii, wyruszyliśmy do Egiptu. Al-Nasir Muhammed okazał się wielce gościnnym gospodarzem. Przez długi czas ani w głowie był mi powrót do domu. Po roku jednak nowe miejsce mi zbrzydło. Nieznane stało się znane i straciło urok nowości. Nie chciałem też nawrócić się na islam. - Powiódł palcami po bliźnie na policzku. - To pamiątka po bójce w Kairze. Paskudziło się tak okrutnie, że przez jakiś czas myślałem, że już nigdy nie ujrzę wzgórz Liddesdale.

- Lecz jednak wydobrzałeś. Uśmiechnął się pogodnie.

- Moja twarz już nigdy nie będzie taka jak niegdyś, ale czegoś mnie to nauczyło.

- Czego? - ponagliła go, gdy umilkł.

- Tego, że jedyne, o co warto w życiu walczyć, to własny dom. Dom i rodzina. Dlatego po powrocie do Szkocji nie na dwór się udałem, lecz wprost do Ashblane.

- Czekala na ciebie matka?

- Nie. Matka odeszla z tego swiata, gdym jeszcze byl dzieckiem.

W jego glós znów wkradly się smutek i poczucie osamotnienia. Maddy uzmyslowila sobie, że miał jeszcze mniej bliskich niż ona.

- A twoja żona? Alice?

- Była siostrą Iana. Owdowiala na krótko przed moim przyjazdem.

Czułem się w obowiązku ją poślubić.

Zatem nie było to małżeństwo z miłości - pomyslała z niewyslowioną ulgą. Całe szczęście, że leżał na wznak, patrząc w gwiazdy i nie widział jej twarzy.

- Kiedy poślubiłam Luciena, myślałam, że będziemy żyli długo i szczęśliwie z gromadką naszych dzieci u boku. Sądziłam, że mieszkańcy Heathwater będą mi rodziną. To miał być mój pierwszy prawdziwy dom, bo z matką nigdzie nie zagrzałyśmy na dłużej miejsca. Więc kiedy Noel z błogosławieństwem Edwarda zaoferował mi schronienie i zaaranżował małżeństwo z Randwickem, przystałam na to z własnej woli. Ale potem... urwała, wstrzymując na chwilę oddech.

Potem dowiedziałam się, że jestem nieplodna - dokończyła na własny użytek. Jałowa jak ziemia, na której nic nie wyrasta. Nie potrafiła myśleć o tym bez bólu. Czyż nie było dla niej nadziei na prawdziwe szczęście?

Bezpotomna wiedźma z Heathwater. Ileż to razy słyszała te okrutne słowa z ust brata? Ileż to razy nasyłał na nią kamratów, którzy mieli uczynić ją brzemienną? Radziła sobie z nimi za pomocą swych mikstur i wywarów, choć niektórzy z niedoszłych „zalotników” nim stracili przytomność, próbowali używać na niej siły.

- Co potem?

Uśmiechnęła się, spoglądając w gwiazdy. Przypomniała sobie, że to właśnie Alexander pierwszy zdradził jej imię, pod jakim była znana w Szkocji.

- Potem zostałam Czarną Wdową.

Roześmiał się, a jej natychmiast zrobiło się cieplej i raźniej na duszy. Pochwyciwszy jej dłoń, która spoczywała tuż obok jego dłoni, uniósł ją do ust i ucałował. Madeleine zadrżała, na poły z zimna na poły z tęsknoty. Gdyby tak zechciał położyć się choć trochę bliżej niej...

- Coś mi się widzi, lady Randwick, że przydomek Czarna Wdowa niezbyt do ciebie pasuje. Jesteś na to zbyt mięciutka i dorodna.

- Jak zatem byś mnie nazwał? - spytała w przypiływie odwagi.

- Zagadką - odparł bez namysłu. - Lecz skoro inni mawiają o tobie „czarownica” to może w tym także jest ziarno prawdy.

- A twoja matka? Lubiła, gdy zwali ją wiedźmą?

- Nie pamiętam. Miałem ledwie cztery lata, kiedy odeszła w zaświaty. Ale przypominasz mi ją. Nie z powierzchowności, rzecz jasna, bardziej z charakteru. Masz w sobie równie wielką siłę, co ona. Tak przynajmniej wynika z opowieści, które o niej zasłyszałem.

- Dziękuję za komplement, Alexandre. - Zarumieniła się, a w jej głosie pobrzmiwało wyraźne zadowolenie.

- Wiele kobiet wzięłoby to za coś zgoła innego. Trzeba przyznać, że jak na wdowę, jesteś nad wyraz skromna i niewinna.

Niewinna? - pomyślała szyderczo. Skromna, kiedy ledwie potrafi się powstrzymać, by nie paść mu w ramiona? Tak bardzo pragnęła poczuć na swej nagiej skórze jego dotyk, wciągnąć w nozdrza jego zapach. Szczęściem, nie opuściły jej resztki rozsądku i zmusiła się, by trzymać ręce przy sobie.

Wzgardziłby niewiastą, która nie może dać mu potomstwa, tak samo jak to niegdyś uczynił jej mąż. A nie zniosłaby widoku litości w oczach Alexandra Ullyota.

Serce pękłoby jej chyba z rozpacz. Nie. Lepiej udawać obojętność i dzięki temu zachować godność. Tylko w ten sposób zdoła przetrwać, kiedy każde z nich pójdzie w swoją stronę. Bo przecie kiedyś niechybnie przyjdzie im



się rozstać. Po cóż dawać wiarę naszym fantazjom? Na cóż marzyć o czymś, co się nigdy nie spełni?

Przewróciła się na bok i rozprostowała obolałe członki. W domu brata rzadko pozwalano jej korzystać ze stajni, a matka szczerze nie cierpiała koni oraz jazdy wierzchem. Dzisiejszy dzień był dla niej prawdziwą przygodą i przyniósł jej wiele radości. Co tu dużo mówić, uszczęśliwiało ją samo przebywanie w towarzystwie Alexandra. Był taki... wspaniały!

Uśmiechnęła się do własnych myśli i zamknawszy powieki, zaczęła wsłuchiwać się w dźwięki nocy.

Alexander odczekał aż Madeleine zapadnie w sen, po czym podniósł się na nogi. Sam nigdy nie sypiał dobrze. W każdym razie nie od czasu, gdy w drugim roku podróży po Egipcie zaprzedał duszę bratu kupca, u którego terminował. Uśmiechnął się gorzko i podciągnawszy rękaw, odsłonił pamiątkę owych wydarzeń. Wpatrując się w tatuaż na przedramieniu, modlił się o to, by Madeleine nigdy nie poznała całej prawdy o jego pobycie w Afryce.

Gdy człek ma siedemnaście lat, robi czasem rzeczy, na które będąc starszym nigdy by sobie nie pozwolił. Wizje krwawych rzezi, przeraźliwych krzyków i śmierci stanęły mu przed oczyma jak żywe. Pewnego dnia ktoś opowie jej o jego grzechach. Może byłoby lepiej, gdyby sam wszystko jej wyznał? Jeszcze nie teraz, podpowiadał mu rozsądek. Jeszcze jest na to za wcześnie.

Zatrzymał wzrok na twarzy i delikatnej skórze swej towarzyszki. Płomienie z ogniska zdawały się przydawać jej włosom jeszcze bardziej ognistej barwy. Niebawem jego oczy powędrowały niżej, do ukrytych pod wełnianym kocem krągłych kształtów. Jutro każe jej włożyć spódnicę, którą wiozła w torbie. Te obcisłe rajtuzy są nazbyt zajmujące.

Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, jak zareagowała na jego komplement. Pokraśniała niczym dojrzała wiśnia. A przecie pragnął dać jej o

wiele więcej. Chciał wziąć ją za rękę, przycisnąć do piersi i pokazać jak bardzo... jak bardzo...

Boże, sam nie wiedział, co właściwie chciałby jej pokazać.

Na niebie pojawiły się pierwsze oznaki brzasku, kiedy wreszcie udało mu się zasnąć.

## *Rozdział piętnasty*

Nazajutrz około południa Maddy była u kresu sił. Marzyła wyłącznie o tym, by wreszcie zsiąść z konia. Alexander pozostał jednak nieugięty. Od kilku godzin nie zezwalał na dłuższy postój. Posuwali się mozolnie do przodu, często wracając po własnych śladach do miejsc, w których byli już wcześniej. Nie objaśniał jej, dlaczego poruszają się to w przód, to w tył. Większość czasu milczał jak zakłęty. Czasem wydawało się jej, że zupełnie nie zwraca na nią uwagi. Był skupiony i nieobecny duchem. Przystawał co chwila i przysłuchiwał się ptakom, albo bacznie oglądał ślady na gościńcu. Jego dłoń niemal cały czas spoczywała na rękojeści miecza.

Nieco później, kiedy słońce zaczęło się chować za szczytami wzgórz, zjechali na polanę otoczoną wysokimi głazami. Zachodziła w głowę, czemu zboczyli z traktu, lecz nie śmiała o nic pytać. Odpowiedź nadeszła sama, gdy z przeciwka nadjechało dwunastu konnych.

- To Kerrowie. By dostać się do Anglii, musimy przejechać przez ich ziemie.

- Wiedziałaś, że są tuż za naszymi plecami?

- Depczą nam po piętach całe popołudnie. - Wyjął z torby skórzaną przepaskę i przewiązał nią włosy. Na ramieniu i za pasem miał zatknięte dwa noże. Do tego nosił krótki miecz, bułat oraz kuszę. Był uzbrojony po zęby i najwyraźniej nie zamierzał tego ukrywać.

Madeleine sięgnęła do kieszeni po własny sztylet.

- Nie trzymaj ostrza na widoku - ostrzegł. - I ani słowa. Ja się z nimi rozmówię.

Żałowała, że nie włożyła rajtuzów i kapelusza. Przybyli wpatrywali się w nią niczym w tropioną zwierzynę na łowach.

- Czołem, mości panowie - odezwał się Alexander, gdy podjechali bliżej.  
- Tuszę, iż znajduję was w dobrym zdrowiu? - Rozmawiał z nimi jak z przypadkowo napotkanymi znajomkami.

- I owszem, chwalić Boga - odrzekł najstarszy z jeźdźców. - Wolno spytać, co cię, panie, sprowadza w nasze strony? - W jego oczach czaiła się podejrzliwość i coś na kształt grozy.

- Zmierzam do Anglii.

- Z nią? Słyszeliśmy plotki o siostrze Falstone'a...

Ullyot zawahał się, lecz trwało to zaledwie chwilę. Zerknął z namysłem na Maddy, jakby próbował utwierdzić się w jakiejś decyzji. Wreszcie, pochyliwszy się na koniu, ujął jej prawą dłoń w swoją lewą, po czym uniósł ich złączone ręce do góry i oznajmił:

- Lady Randwick jest mi poślubiona. Na mocy starego obyczaju.

Madeleine słyszała o owej szkockiej tradycji od Katherine. Istotnie był to rodzaj zaślubin, lecz bez ceremonii w kościele. Wystarczyło na oczach świadków spleść dłonie, by na rok i jeden dzień stać się mężem i żoną. Nie rozumiała tylko, czemu Alexander uznał za konieczne powiedzieć akurat coś takiego w tym momencie.

Pojęła w czym rzecz, gdy na polanie pojawiło się kolejnych dwudziestu zbrojnych. Gdyby doszło do walki, nie mieliby szans. Zatem próbował jej w ten sposób bronić.

- Poślubiona, powiadasz? - Stary Kerr zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Na koniec spojrzął na Ullyota i opuściwszy broń, wydał swym ludziom rozkaz, by uczynili to samo.

Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że cały czas wstrzymywała oddech.

- Nie będziem czynić ci trudności, mości Ullyot. O świcie rozjedziem się każdy w swoją stronę, dziś zaś zapraszamy do wspólnej wieszery.

- Bóg zapłać za gošcinę, Brianie. - Alexander schował miecz i zsiadłszy z konia, podszedł do swej towarzyszki.

Maddy zazwyczaj radziła sobie sama, lecz tym razem nie wzgardziła jego pomocą. Gdy zdejmował siodła i długo potem nie odstępowała go na krok. Zmierzchało, a przebywanie wśród trzydziestu strudzonych mężczyzn wprawiało ją w niemałe przerażenie. Gdzie będziemy spali? - zastanawiała się w popłochu. Jako żona nie mogła przecie położyć się z dala od męża. Zresztą w takim towarzystwie była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Niepotrzebnie się martwiła. Kłopot rozwiązał się sam, gdy Alexander odciągnął ją na stronę i przygotował im posłanie u stóp głazu znajdującego się w znacznym oddaleniu od reszty obozowiska.

- Wyruszymy o brzasku - szepnął, obejmując ją ramieniem. Zaskoczona, próbowała się wyswobodzić.

- Pozory, Madeleine. - Na wszelki wypadek ścisnął ją nieco mocniej. - Jako czarownicy z pewnością nie jest ci obce udawanie i zuchwalstwo.

- I dlatego powiedziałeś im, że jestešmy zaślubieni?

Skinął głową.

- Gdybyś podróżowała ze mną sama, w dodatku będąc niezamężną, niechybnie uznaliby, iż powinienem się tobą z nimi podzielić. A tak przynajmniej wiedzą, że jeśli cię tkną, będę musiał ich pozabijać.

- Ale oni... słyszeli o mnie... - Zauważyła wcześniej, że Brian Kerr patrzy na nią z mieszaniną niechęci i pożądlivości.

- A któż nie słyszał o przebiegłej i zepsutej lady Randwick? - roześmiał się Alexander. - Nie frasuj się. Dziś twoja zła sława może nas ochronić.

- Niby jak?

- Ano tak, że większość Kerrów drży ze strachu na sam twój widok.

Widziałem, jak czynią znak krzyża, by odpędzić zły urok. Cokolwiek słyszałaś o

moim męstwem i walecznością, wiedz, że nawet ktoś tak biegły w walce jak ja nie da rady trzydziestu zbrojnym.

A więc i on zastanawia się nad intencjami Briana i jego ludzi - pomyślała, przygryzając wargę.

- Myślisz, że mogą się okazać groźni?

- W tej głuszy niebezpieczeństwo czai się wszędzie - odparł wymijająco i zajął się oporządzeniem konia.

Wkrótce zasiedli wokół ogniska, by się ogrzać i posilić. Kerrowie poczęstowali ich chlebem, wołowiną i smakowitym serem. Znalazła się też beczułka whisky.

Jak to między mężczyznami, rozmowa toczyła się wokół strategii prowadzenia wojen oraz niedawnych i przyszłych bitew. Brian bynajmniej nie silił się na subtelności, niemal od razu przechodząc do rzeczy:

- Falstone to trudny przeciwnik, mości Ullyot, a ludzie powiadają, że stanowczo żąda zwrócenia siostry i odprowadzenia jej do Heathwater.

Alexander zastygł w bezruchu.

- A co mówią o reakcji króla na jego dezyderat? - odpowiedział pytaniem.

- David wstrzymał się ponoć z decyzją do nowego roku. Oficjalnie po to, by dać ci czas na zaprowadzenie porządku we własnym domu. Nieoficjalnie mówi się o buncie, który jakoby masz podnieść, jeśli uznasz za stosowne zatrzymać lady Randwick u siebie. Jak mniemam, rzecz idzie o ziemię. Angielscy baronowie nie są tym wszystkim uszczęśliwieni. Nietrudno ich będzie namówić, by stanęli przeciwko tobie, kiedy przyjdzie co do czego.

- Wszczynając rebelię, doprowadziłbym własny klan do zguby, Brianie. Ashblane zawsze wypełnia rozkazy władcy, choćby jego dekrety wydawały się nam niesłuszne.

Posłyszawszy te słowa, przywódca Kerrów wyraźnie się rozpogodził, a wraz z nim cała jego kompania. Niebawem nastrój poweselał i dookoła rozległy się śmiechy. Dziękując Bogu, Madeleine pociągnęła łyk gorzałki. Gardło paliło

ją okrutnie, lecz wnet poczuła w całym ciele błogie ciepło, a w głowie lekkie pulsowanie.

Oparła się o Alexandra, a on objął ją ramieniem. Przymknęła oczy i z lubością wciągnęła w nozdrza jego zapach; mieszaninę zwilgotniałej wełny, końskiego potu i ługowego mydła. Niech myślą, że naprawdę jestem jego żoną... Boże, jak cudownie... - rozmarzyła się i nagle oprzytomniała. Odsunęła się nieznacznie, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Potrzebowała chwili, żeby ochłonać. Jeśli zauważył w jej zachowaniu coś dziwnego, nie dał tego po sobie poznać.

Nie wypuszczając jej z objęć, w najlepsze popijał whisky. W pewnym momencie ich spojrzenia się spotkały i czas stanął w miejscu. Poczuła coś nieopisanego, a zarazem tak silnego, że znowu zapało jej dech w piersiach. Jakby pchała ją ku niemu jakaś niewidzialna moc. Magia - przemknęło jej przez głowę.

Przerażona i rozdygotana, wyplątała się z jego ramion. Fala pożądliwości najwyraźniej zmąciła jej rozum. Gdyby byli sami, zapomniałyby o przyzwoitości i sięgnęła po niego bezwstydnie, tak jak niegdyś jej matka sięgała po mężczyzn, których sobie upodobała. Nie myślałyby o wstydzie ani o tym, co przyniesie jutro. Wsunęłyby mu dłoń pod koszulę, powiodłyby palcami po jego torsie i brzuchu, a potem przesunęłyby je niżej... Uśmiechając się do swych nedorzecznych myśli, odstawiła na bok gorzałkę. Lepiej nie kusić losu.

Raptem od strony lasu dobiegł ich krzyk. Alexander w mig poderwał się na nogi. Pociągnąwszy za sobą Madeleine, dobył miecza i osłonił ją własnym ciałem. Tymczasem zza drzew wypadła na nich horda uzbrojonych Szkotów.

Pierwszy poległ Brian Kerr. Jedno zamaszyste cięcie rozplątało mu kark niemal na dwoje. Nim skonał, zdążył jeszcze wydać z siebie przeraźliwy skowyt bólu.

Nie tracąc ani chwili, Alex odbiegł wraz z Maddy na bok i ukrył ją między zasłoniętymi kępą drzew paprociami.

- Leż tu i nie ruszaj się - polecił pospiesznie. - Jeśli ktoś nadejdzie, krzycz. Usłyszę cię.

Z tymi słowy odszedł i stanął do walki. Przyglądając się maestrii, z jaką władał mieczem i powalał coraz to nowych przeciwników, zrozumiała, jak powstały legendy o jego niezłomności i męstwie. Jako piętnastolatek mógł być nie dość wprawny, lecz teraz w wieku męskim wydawał się niezwyciężony.

Siła i pewność siebie były nie tylko z jego postawy, ale i każdego wyważonego ciosu, jaki zadawał. Jakże mizerne musiały mu się wydawać jej wczorajsze szarże, skoro dziś jednym uderzeniem bez trudu powalał rosnących mężczyzn.

Widywała już bitwy, lecz nigdy z tak bliska. Chaos i zapach krwi przyprawiały ją o zawrót głowy. Przymknęła na moment oczy, by dać im odpocząć od przeraźliwego widoku. Niespodziewanie usłyszała za plecami jakiś szelest. Odwręciła ze strachu, spojrzała na pochyloną nad sobą sylwetkę. Bez namysłu wrzasnęła wniebogłosy i przeturlała się na bok, jak najdalej od uniesionego w górę miecza. Potem podniosła się prędko i dobywszy sztyletu, spróbowała wbić go napastnikowi w nogę, lecz ten wytrącił jej broń z ręki wściekłym kopniakiem.

Mniej więcej w tej samej chwili ich uszu dobiegł ryk rozwścieczonego Ullyota. Odwrócili się oboje, a później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Maddy padła na ziemię od ciosu w nogę i jęknęła z bólu. Alexander zaś rzucił się na jej prześladowcę i ciął go przez gardło.

Po chwili ujrzała nad sobą jego zatroskaną twarz. W świetle księżyca jego oczy zdawały się patrzeć na nią z nieznaną jej dotąd tkliwością.

- Ach, miła, nie ruszaj się - szepnął rozpaczliwie. - Obejrzę twą ranę.

- Nie. - Spróbowała odczołgać się na bok i zrobić to sama. Ręce odmawiały jej jednak posłuszeństwa. Trzęsła się na całym ciele jak osika.

- Broniłam się nożem... tak jak mnie uczyłeś...



- Ciii... - wziął ją za rękę. - Nic nie mów. Oszczędzaj siły. - Ucałował czule jej dłoń, przeklinając w duchu własną głupotę.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że jednemu z Haigów udało się przemknąć za jego plecami i dopaść Madeleine. Takie błędy nigdy mu się nie przytrafiały. Aż do teraz. Do dziś, kiedy wiedział, że *ona* na niego patrzy. Chciał się przed nią popisać i przez swą nedorzeczną próżność naraził ją na śmierć.

Wolną ręką uniósł brzeg jej spódnicy, a ona pociągnęła go z powrotem w dół, usiłując się odsunąć. Zdażył jednak zobaczyć, że rana obficie broczyła krwią.

Z okrzykiem ni to zniecierpliwienia, ni to strachu, obezwładnił jej ramiona i jeszcze raz zajrzał pod suknię. Skrzywił się na widok tego, co zobaczył. Rana była długa i uwalana strzępami odzieży oraz piachu. Zacisnąwszy palce nieco powyżej obrażenia, zatamował krwawienie. Co teraz, do diabła? - zastanawiał się w popłochu. Co by zrobił stary Hale?

- Nie... wypalaj... jej. - Słowa przychodziły Maddy z ogromnym trudem. - Oczyść... skaleczenie. Zrób okład... z whisky i owiń czymś czystym. Użyj... moich halek.

Przyłożyła sobie do policzka jego dłoń, a kiedy się w nią wtuliła, poczuł pod palcami łzy. Przeklęty Haig - pomyślał z wściekłością. Oby smażył się w piekle na wieczność. Wyglądała tak krucho i słabowicie. Niczym skrzywdzone pisklę. Tuż nad kolanem nosiła różowe wstążki, które podtrzymywały jej pończochy.

Poluzowawszy jedną z podwiązek, odsłonił zranione miejsce. Wokół delikatnej kostki spoczywał cieniutki złoty łańcuszek. Ot, mała niewieścia słabotka. Zmarszczył gniewnie czoło, słysząc nad głową nieprzychylne powzdychiwania Kerrów. Nie miał wątpliwości, co do tego, że wszyscy jak jeden mąż uważają ją za niewartą zachodu ładacznice. Bóg mu świadkiem, że w tej chwili gotów był gołymi rękoma zamordować pierwszego, który odważyłby się wyrazić swe zdanie na głos.



- Zatem chcesz, panie, zabrać ją do nas i poczekać aż wydobrzeje? -

Zapytał niepewnie brat Briana, młody Andrew.

Alexander rozważył w duchu tę możliwość. Kruche przymierze łatwo złamać. Nie czułby się bezpiecznie w twierdzy Kerrów. Kto wie, co im może strzelić do głowy? A w pojedynkę nie zdołałby obronić Madeleine. Nie, lepiej pozostać na otwartej przestrzeni. Tu przynajmniej można w każdej chwili salwować się ucieczką.

- Alexandrze - usłyszał nagle jej słaby głos. - Obiecuj mi coś. Jeśli dopadnie mnie gorączka i umrę, pochowaj mnie w Ashblane.

Podsłoczył jak oparzony. Boże drogi, czyżby miała złe przeczucia? Ponoć potrafiła wieszczyc. A jeśli zobaczyła własną śmierć?

- Proszę... - zaczęła ponownie, biorąc jego przerażenie za gniew. - Nie odmawiaj mi... Byłam tam szczęśliwa i... bezpieczna. Zostałabym z tobą... już na zawsze...

- Przestań natychmiast, Madeleine. Nie pleć. - Zacisnął mocniej palce na jej ranie. - Nie umrzesz.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wiem, bo prędzej sam szczenę, niżli ci na to pozwolę. Uśmiechnęła się i zemdlą.

Ocknęła się nocą w lesie. Alexander siedział przy niej, wsparty o pień drzewa. Miał zamknięte oczy, a na jego kolanach spoczywał wyjęty z pochwy miecz. Spał i czuwał jednocześnie.

Gdy wyciągnęła do niego rękę, natychmiast się zbudził.

- Pić - szepnęła z wysiłkiem.

Uniósłszy ją na ramieniu, podał jej wodę.

Maddy poczuła, że kręci się jej w głowie i uczepiła się go mocniej. W odpowiedzi spojrzał na nią z z troskaniem.

- Gdzie się podziali Kerrowie? - zapytała.

- Odjechali szukać Haigów.

- Haigów?

- Tych, którzy na nas napadli. Ich ziemie leżą nieco na północ stąd.

Wplotła palce w jego dłoń, a on nie próbował cofnąć ręki.

- Czemu to zrobili?

- Bóg raczy wiedzieć. - Jego dotyk dodawał jej sił i napawał otuchą. -

Zeszłego lata zawarli z Kerrami pokój. Powinni traktować ich jak sojuszników, nie wrogów.

- Jak się zakończyła bitwa? Wielu zginęło?

- Brian i pięciu innych z jego klanu. Andrew zamierza ich pomścić.

Możemy być spokojni. Haigowie już tu nie wrócą.

- Kto opatrzył mi nogę?

Poruszyła palcami, by sprawdzić, czy wciąż ma w nich czucie i poczuła się o niebo lepiej. Prawie nic nie bolało.

- Znasz się na rzeczy.

Zbył pochwałą skinieniem głowy, a Maddy niespodziewanie się zawstydzila. Jak przez mgłę przypomniała sobie minione godziny, jego opiekuńcze ramiona i czułe słowa pokrzepienia, które w innych okolicznościach można by wzięć za słowa miłości. Aż bała się pomyśleć, jak mogła na nie odpowiedzieć. Jej umysł zmąciło osłabienie, a przedtem... przy ognisku niemal rzuciła się na niego przy świadkach.

- Kiedy chory jest nieprzytomny, czasem plecie coś od rzeczy. Jeśli powiedziałam coś...

- Nie powiedziałaś.

Zarumieniła się, wciąż niepoczyszona. Uzmysłowała sobie, że poprosiła go, by pochował ją w Ashblane, na swojej ziemi... Nie powinna była tego robić.

- Przez ostatnie dziesięć lat, które spędziłam w Heathwater - zaczęła, unikając jego wzroku - nigdy nie mogłam być pewna, czy dożyję jutra. W Ashblane byłam... - urwała, by znaleźć właściwie słowo - ... bezpieczna. Z tobą jestem bezpieczna. - Spojrzała mu w oczy. Wzruszenie niemal odebrało jej

mowę. - Jesteś jedynym człowiekiem na ziemi, przy którym nie muszę się niczego obawiać.

Boże, spraw, żeby zrozumiał - pomyślała z drżeniem. Nie pozwól, by się ze mnie śmiał.

- Na Boga żywego, Madeleine - odparł głosem ochrypłym z emocji. - Kiedy dopadnę twego brata, ubiję go jak psa. Nie za krzywdy, które wyrządził mej rodzinie, lecz za to, co uczynił tobie.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Trzymam cię za słowo - szepnęła, odkrywając ze zdumieniem, że jego oczy aż pociemniały ze wzburzenia. Po chwili dostrzegła w nich coś jeszcze. Coś, co napełniło jej serce bezbrzeżną tęsknotą i czułością. To o tym minstrele i trubadurzy wyśpiewują ballady - przemknęło jej przez myśl.

Zabrakło jej tchu. Nie dlatego, że była słaba. Zaniemówiła z zadziwienia i zachwytu. Nagle dotarło do niej, że miłuje Alexandra z całej duszy. Pokochała go wbrew okolicznościom i wbrew temu, co podpowiadał jej rozum.

Sięgnęła do jego twarzy i pogłaskała go po policzku. Nie kazał jej długo czekać na odpowiedź. Odgarnął jej włosy z szyi i z wolna uniół jej usta do swoich.

Nie był delikatny, a ona była mu za to wdzięczna. Całował ją z zachłannością wygłodniałego wędrowca, którego nakarmiono po długich dniach bez jedzenia. Rozchyliła usta, odpowiadając na jego pieszczoty z równie wielką żarliwością. Przyłgnąwszy do niego całym ciałem, otoczyła jego szyję ramionami i wplotła mu palce we włosy.

Po chwili poczuła jego ręce na zapięciu koszuli i zamarła.

Zatrzymał się, jakby prosił o przyzwolenie. Maddy zapomniała o wstydzie i bez słowa przyciągnęła jego głowę do piersi. W tej chwili nie liczyło się nic. Nie było bólu, wszystko zaczynało się stawać możliwe, nie było Noela, Davida, Edwarda ani ducha Eleanor. Byli tylko oni dwoje, i to wspaniałe poczucie przynależności i bliskości. Tak bardzo pragnęła wdychać jego zapach, dotykać

jego nagiej skóry. Poczuć, jak to jest, kiedy oddaje się mężczyźnie, który pragnie cię tak bardzo i tak samo, jak ty jego.

Ku jej wielkiemu rozczarowaniu nagle się odsunął.

- Nie chciałbym uszkodzić ci nogi - oznajmił stanowczo.

Z żalu zachciało jej się płakać. Nie tego oczekiwała. Nie potrzebowała współczucia. Przez lata gardził nią cherlawy mąż, którego nieliczne wizyty w jej sypialni najczęściej kończyły się rozgoryczeniem, a czasem atakiem szału Luciena. Nie dane jej było zaznać tego, o czym tak często szepczą sobie nawzajem inne kobiety. Nie pojmowała, skąd w ich oczach bierze się tyle szczęścia i blasku. A kiedy wreszcie znalazł się ten jedyny, który mógł odkryć przed nią nieznane przyjemności, zamiast czynić to, przejmował się jej obolałą nogą.

Rozżalona i bezradna, odepchnęła obejmujące ją ramię. Może nigdy się nie dowie, czego brakowało w jej nieudanym małżeństwie, zakończonym tak tragicznie. Może Alexander wcale nie chciał jej tego pokazać, najprawdopodobniej nie odwzajemniał ogromu uczuć, które rozpierały jej duszę.

Na szczęście myliła się. Gdy znowu położył jej dłonie na ramionach i spojrzał w oczy, zrozumiała, że nie jest mu obojętna. Jego oczy i twarz nie kłamały. Pragnął jej.

Nie odrywając od niego wzroku, zapraszającym gestem rozsunęła koszulę na piersiach.

Serce Alexa zaczęło bić dwakroć prędzej niż zwykle. Zarys jej zatopionych w blasku księżyca krągłości wabił go i kusił. Powiódł palcem po jej dolnej wardze, a ona z rozkoszą odchyliła głowę do tyłu. Na ramiona spłynęła kaskada jej płomiennorudych włosów.

Boże - westchnął w duchu. Kiedy ostatni raz czułem coś takiego? Nigdy przy Alice. Czasem z nierządnicami w domach uciech w Aleksandrii. A teraz pojawiła się Madeleine, ognistowłosa czarownica z Heathwater...

Dotknął znamienia na jej piersi, najpierw lekko kciukiem, a potem ustami.

Westchnęła, a gdy przygryzł jej różowy sutek, wsunęła dłonie w jego włosy i zaczęła pieścić jego głowę. Poczul, że narasta w nim podniecenie

- Alex! - wyrwał się jej z gardła ochryply szept. Miała wrażenie, że się roztapia. Zimna i samotna dziewczyna, pogardzana Czarna Wdowa z Heathwater zapłonęła w jednej chwili żywym uczuciem. Jej ciałem wstrząsnął błogi spazm upojenia.

W końcu spojrzała na niego z niemym przestraczem.

Siedział przed nią całkowicie odziany i uśmiechnięty, przyglądając się jej bacznie i spoglądając na twarde, różowe sutki jej piersi i skórę połyskującą od potu.

Zawstydziła się jak jeszcze nigdy w życiu. Ledwie ją tknął, a cała jej istota zapaliła się niczym pochodnia. Nie potrafiła nad sobą zapanować. Okazała się kobietą pełną uczucia, albo... rozwiązała, jak niegdyś jej matka. A przecież wcale taką nie była, pierwszy raz ośwładnął ją tak silny afekt.

- Wybacz - Nie wiedziała, co powiedzieć. Lucien narzekał zawsze, że jest oziębła i zobojętniała. Z Alexandrem zaś zgrzeszyła nadmiernym zapamiętaniem. - Nigdy nie byłam dobra w ...

- W czym?

- No... w sztuce miłosnej. Prawdę mówiąc, zazwyczaj... zazwyczaj nie czuję zupełnie nic... - Urwała na moment, by zebrać się na odwagę. - Widzisz, ja... jestem niepłodna. Mam rozliczne ziemie i mnóstwo złota, lecz nigdy nie wydam na świat dziedzica. To prawdziwa ironia losu. Eleonor zmusiła mnie swym testamentem do powicia potomka, a potem obrzuciła klątwą, która miała to uniemożliwić. Twierdziła, że chciała mnie w ten sposób ochronić, ale teraz... sama nie wiem, co lepsze.

Zamrugnęła gwałtownie, próbując powstrzymać łzy. Nienawidziła się za ten wzbierający w gardle szloch i za tę zboliałą samotność, w której żyła przez ostatnie lata, nienawidziła się za to, jaką była.

Odpowiedzią Aleksandra była natychmiastowa pieśczość. Położył jej rękę na biodrach i zaczął powoli i delikatnie głaskać jej jedwabistą skórę na brzuchu, potem przesunął ją niżej, aż dotknął miejsca zwanego początkiem miłości. Zrzucił z niej ubranie, a potem jednym szybkim ruchem pozbył się swojej koszuli. Wkrótce oboje byli zupełnie nagi. Przytulił ją do piersi i wtedy zauważyła na jego przedramieniu niebieski tatuaż, przeorany świeżymi bliznami. Przesunęła po nim palcem i spojrzała mu wyczekująco w oczy.

Wzdrygnął się lekko i odrzekł:

- Pamiątka z Egiptu. Opowiadałem ci kiedyś.

A więc i on kryje w sercu jakieś sekrety - pomyślała.

- Wciąż cię boli?

- Tak.

Ufał jej tak, jak i ona ufała jemu. Inaczej nie przyznałby się do słabości. Wódz Ullyotów nie należał do mężczyzn, którzy mówią głośno o swym cierpieniu.

Przesunęła dłonią po jego torsie, rozkoszując się dotykiem jego wspaniałych mięśni i jasnego zarostu.

- Tak dobrze? - zapytała, potarłszy palcem o stwardniały sutek.

- Bardzo dobrze... - Uśmiechnął się. - *Iffrin!* - wyrwało mu się celtyckie przekleństwo, gdy objęła sutek ustami.

Teraz ona się uśmiechnęła. W jego pociemniałych oczach malowało się odbicie jej własnych pragnień. Poczła między udami jego silną rękę i palce, które zaczęły poznawać i drażnić jej kobiecość, aż całe jej ciało poczęło drżeć pod wpływem niespodziewanych doznań.

- Nie lękaj się. Nie skrzywdzę cię.

Powiedział to miękko, delikatnie, ale był mężczyzną dużym, silnym i tak pełnym gotowości, że pomimo rosnącego podniecenia zaczęła się obawiać tego, co nastąpi.

Rzuciwszy na ziemię koc, położył ją ostrożnie na plecach i otulił własnym ciałem, poczuła na sobie jego ciężar. Bardzo się nawzajem pragnęli, ale on zaczekał... na co?

Na nią, żeby jej myśli nie uciekły daleko od niego. Na nią, żeby chciała się pozbyć swego skrepowania, i na nią, żeby umiała się odprężyć razem z mężczyzną, który bardzo chciałby ją ukochać. Pieścił ją, gładził jej łono, poznawał jej intymne miejsca aż powoli zaczęła się poddawać jego męskiej sile i zdecydowaniu. Wtulala się w niego coraz mocniej i nareszcie poczuł na swojej skórze jej słodki zapach.

- Naprawdę jesteś czarownicą, Madeleine - szepnął jej do ucha, kiedy uniosła ku niemu biodra. Jeśli nie zaznałem wcześniej twojej magii, to teraz chciałbym, abyś mnie zaczarowała swoją miłością.

Poczuła go między swymi nogami i westchnęła, kiedy wolną ręką chwycił jej podbródek i obrócił twarz ku sobie. Pragnęła go i wiedziała, że jej twarz ją zdradza, ale jeszcze nie była w pełni gotowa.

- Upłynęło wiele czasu odkąd Lucien... - wyjaśniła speszona, próbując się odsunąć, ale on nie pozwolił jej na to, tylko zwarł uścisk.

- Ciii... - szepnął i pogłaskał ją po twarzy. - Zaufaj mi.

Zrobił to delikatnie, wszedł. Zabolało, lecz tylko przez chwilę, po czym ból przerodził się w odczuwanie, które wyzwalało natychmiastowe pragnienie dostrojenia się do siebie ich ciał.

Nagle zrobiło się jej chłodno, lecz to podmuch nocnego wiatru owiał ich oboje. Po chwili zaczęli czuć ognisty żar podniecenia, które poczęło ich ogarniać. Alexander próbował uspokajać swą namiętność i hamować pragnienie, zanim na powrót zaczął się zagłębiać i wynurzać, żeby znaleźć wspólny rytm miłości z Madeleine. Lecz jego spokój i łagodność nie były najlepszym wyborem, kiedy po krótkiej chwili wyczuł zrazu delikatne, potem coraz śmielsze skręty jej bioder.

Owładnęła nim pasja i silna żądza zaspokojenia nie tylko siebie, ale i jej, aż do pełnej, obopólnej satysfakcji posiadania. Chciał ją, pożądał jej od tak dawna, a teraz patrzył na nią, na jej przymknięte oczy, jak lekki uśmiech rozjaśniał jej twarz i zapamiętywał się coraz bardziej. Jej hardość i głęboko skrywana nieśmiałość zaczęła topnieć pod wpływem coraz gorętszych pocałunków i pieszczot, zapragnęła nadażyć za jego namiętnością i męskością, które doprowadzały ją do stanu ciała i umysłu wcześniej nieznanego. W ostatnim przeblysku świadomości pojęła, co może znaczyć pełne oddanie się mężczyźnie i zaspokojenie jego porywającej namiętności. On to widział, czuł, że daje jej radość i tym większe było jego uniesienie.

Przetaczały się przez nich fale rozkoszy i podniecenia, odbierające im obojgu dech w piersiach. Upajała ich własna miłość i ta ciągła gotowość do dawania i brania, zwiększająca jeszcze bliskość ich rozplomienionych ciał, aż do całkowitego dosytu i zatopieniu się w nierzeczywistości. Dotarli na szczyty, których istnienia dotychczas nie podejrzewali.

Potem znieruchomieli, spleceni w gorącym uścisku.

Alexander długo nie mógł dojść do siebie. Opuścił głowę na jej piersi i czekał, aż jego serce się uspokoi. Przy Madeleine powściągliwość nie była możliwa, bo nie był w stanie niczego przed nią zataić. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że wcale tego nie chciał, i to odkrycie było dla niego nowością. Zazwyczaj, a tak było dotychczas, skrzętnie ukrywał część siebie przed światem. Nawet przed najbliższymi.

Kiedy wreszcie odzyskał swój miarowy oddech przewrócił się na bok, pociągając ją tak ze sobą, żeby pozostali razem, jeszcze połączeni, jeszcze nie rozdzieleni.

- Dziękuję ci - szepnął jej do ucha. Uśmiechnęła się, usiłując uładzić splątane włosy.

- W świetle księżyca płoną tak samo jak ty - stwierdził, nawinąwszy sobie długie pasmo na palec. - Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, nie mogłem się



nadziwić ich barwie. Słyszałem o tobie to i owo, ale nikt mi nie mówił, że jesteś ruda.

- Nie jestem ruda. Moje włosy są rudobrazowe.

- Że niby jakie?

- No... rudobrazowe - powtórzyła zniecierpliwiona. - Nie rude.

- Ach, więc nie lubisz rudych... - skonstatował ubawiony.

- Moja matka była ruda, a ja nie jestem taka jak ona. Natychmiast spoważniał.

- Sądzisz, że kolor włosów wpływa na charakter?

- Owszem.

- W jaki sposób?

- Słyszałam wiele razy, że rudowłose niewiasty są rozwiązłe. Mawiała tak sama Eleanor.

- Rozumiem, że nie chcesz być w tym względzie podobna do matki?

- Nie. Naturalnie, że nie. Zaśmiał się serdecznie.

- Przykro mi, ale muszę cię pozbawić złudzeń... Zmarszczył nos, gdy dała mu kuksańca.

- Jakich to złudzeń?

- Otóż, podejrzewam, że to ty mogłabyś udzielać swej rodzicielce lekcji rozwiązłości.

Urażona zaczęła mu się wrywać. Przytrzymał ją i przyłożył sobie jej rękę do serca.

- To był komplement, najmilsza. Klnę się na Boga. Niechaj szczenę, jeśli mówię nieprawdę.

Nie kłamał. Wierzyła mu. Dzięki niemu po raz pierwszy w życiu poczuła się taką kobietą, jaką zawsze pragnęła być. Silną i wolną. Tak jak on był silnym i wolnym mężczyzną. I choć nie padły między nimi żadne miłosne deklaracje, w jego pocałunku odnalazła coś, czego potrzebowała znacznie bardziej, poważanie i podziw.

Widziała je w jego oczach i wyczuwała je w jego dłoniach. Nieszczęśliwe lata z Lucieniem zbladły i choć nie odeszły całkowicie w niepamięć, ich wspomnienie nie bolało już tak bardzo jak dawniej.

W ramionach Alexandra czuła się bezpieczna. I bardzo do nich pasowała. Zadrżała mimowolnie, gdy delikatnie potarł kciukiem znak na jej piersi.

- Uczyniłem cię swoją tym znakiem, a potem zostałeś moja poprzez zwyczajowe zaślubiny. Teraz wreszcie staliśmy się jednym ciałem. Zamierzam ogłosić światu, iż jesteś moją prawowitą małżonką.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Nie pozwolę ci. Uciszył ją, przykładając jej palce do ust.

- Będiesz moja, Madeleine Randwick - powtórzył stanowczo.

- Wbrew interesom Anglii i Szkocji?

- Tak.

- Wbrew woli dwóch monarchów i mego brata?

- Tak.

- Mimo sprzeciwów Kościoła?

- Nie inaczej.

Przysunęła do niego głowę na tyle, by zetknęli się czołami.

- Jesteś jedynym człowiekiem na chrześcijańskim padole, który byłby zdolny porwać się na coś takiego i dotrzymać obietnicy. Jestem ci za to wdzięczna.

- Ale odmawiasz?

- Gdybym ci na to pozwoliła, znalazłbyś się w samym środku wojny.

- Przeciwnie, może dzięki temu mógłbym zapobiec przelewowi krwi.

- Jak to?

- Szkoccy wielmoże są niespokojni, a król David nie ma następcy tronu.

Dlatego właśnie upatrzyli mnie sobie na przywódcę. Jeśli się z nimi sprzymierzę, urosniemy w siłę. Obaj monarchowie będą musieli się liczyć z tak wielką armią. Gdyby za zgodą Edwarda i Davida podzielić tve ziemie po równo

między Anglię i Szkocję, pewno obeszłoby się bez otwartego konfliktu. - Przegarnął dłonią włosy. - Boże, mam nadzieję, że to wystarczy, bo gdyby w Szkocji doszło do kolejnej wojny domowej, dla większości klanów oznaczałoby to niechybną zgubę.

Madeleine na chwilę odebrało mowę.

Zatem chodzi wyłącznie o dyplomację oraz interes szkockiej monarchii?

Wyplątawszy się z jego uścisku, wstała i zgarnęła swoje odzienie. Nie zamierzała powielać błędów matki. Zbyt długo była jedynie bezwolnym pionkiem w grze, w której liczył się wyłącznie zysk graczy, a jej własne dobro nie miało najmniejszego znaczenia. Co ważniejsze Alexander ni słowem nie wspominał o miłości.

- Moja matka pozwalała na to, by mężczyźni wykorzystywali jej ciało w imię pokoju. W rzeczywistości wszyscy byli chciwymi niegodziwcami. Gdy dostali to, co chcieli, przestawała im być potrzebna.

- Więc tylko tak o mnie myślisz? Sądzisz, że jestem taki sam, jak oni?

- Nie wiem, co o tobie sądzić. Stoisz w obliczu próby sił pomiędzy rodakami, którzy gotowi są pójść za tobą na śmierć, i królem, który zrobi wszystko, byś nie objął nad nimi przywództwa. Czy wiesz na pewno, po której opowiesz się stronie? Jakby tego było mało, teraz jeszcze chcesz wziąć mnie za żonę z powodu politycznego zamętu. Cóż, już raz wydano mnie w ten sposób za mąż i nie wyszło mi to na dobre.

- Czego więc ode mnie oczekujesz?

Zawahała się, lecz postanowiła zaryzykować i po chwili powiedziała mężnie.

- Miłości, Alexandrze. Chcę, byś mnie kochał.

- Aj - jęknął, wyraźnie biorąc jej słowa za zwykłe „babskie” fanaberie. - Jestem wojownikiem, Madeleine. Od z górą dziesięciu lat nie znam innego życia. Nie jestem pewien... - Potrząsnąwszy głową, wstał i włożył koszulę. - Nie wiem, co to miłość - dokończył z autentycznym zmieszaniem w głosie.

- W takim razie, będę cię musiała nauczyć.

Dalszą drogę do Anglii odbyli w niemal całkowitym milczeniu.

Madeleine nie miała nic przeciwko tej ciszy. Wyglądało na to, że ich wzajemne relacje przekroczyły pewną granicę i teraz żadne nie wiedziało, co im wypada czynić dalej.

On przyznał, że nie wie, co znaczy „kochać”, a ona, choć obiecywała go nauczyć, nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać.

Jakże miała skruszyć serce twardego rycerza, skoro sama nie zaznała w życiu prawdziwej miłości?

Westchnęła i wystawiwszy twarz do słońca, przywołała w pamięci obraz ich pierwszego, prawdziwego zbliżenia. Była pewna, że w całej Szkocji Alexander nie ma równych sobie kochanków. Na samą myśl o tym, jak pouczającej udzielił jej lekcji, zapragnęła jeszcze raz znaleźć się w jego ramionach. Choćby i zaraz. Tutaj, w skapanej w popołudniowych promieniach dolinie. Może to zresztą najlepszy sposób, by dotrzeć do jego duszy? W każdym razie bardzo chciała spróbować.

Dogoniła jego konia i podjechała tak blisko, by ich nogi niby to przypadkiem co i raz się o siebie ocierały.

Pozostał niewzruszony.

Uniosła brzeg spódnicy, odsłaniając gołą łydkę.

Dalej nic.

Zdesperowana, poluzowała sznurki stanika i pokazała mu cieniutką koszulę, która prawie niczego nie zakrywała. Przy tej różnicy wzrostu miał doskonały widok na jej piersi.

Nie zawiodła się. Tym razem na nią spojrział. Można by nawet rzec, iż pożerał ją oczami.

- Jesteśmy na obcej ziemi, Madeleine - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Nie znam tych okolic. Muszę być czujny i obserwować teren. Tak mocno zaciskał ręce na wodzach, że aż zbieleły mu knykcie. - Poza tym, twoja noga... jak z nią?

- Ma się już znaczenie lepiej, dziękuję - wpadła mu w słowo. - Zrobiłam sobie rano balsam z ziół.

Zmieszany, przeczesał dłonią włosy.

Zaczyna mięknąć - pomyślała, uśmiechając się do swoich myśli.

Pół godziny później nie wytrzymał i zjechał z gościńca nad rzekę.

Pomagając jej zsiąść z konia, chwycił ją w pól i na moment przycisnął do piersi. Skrzywiła się, gdy postawił ją stopami na ziemi.

- Rana wciąż ci dokucza?

- Trochę.

Ukląkł przed nią i podwinął jej spódnicę. Niebawem jego chłodne palce dotknęły jej skóry na łydce.

- Mm... jak przyjemnie - mruknęła, gładząc dłonią jego włosy i pieszcząc kark.

- A teraz? - Powędrował ręką w górę i rozchylił jej uda. Otworzyła usta, lecz nie zdołała wydobyć z nich ani słowa.

Chwilę potem oboje nie mieli na sobie ubrań, leżeli bezbronni na kraciastym pledzie i cud poprzedniej nocy powtórzył się w blasku dnia. Alexander znów podarował jej przedsmak tego, co czeka ją w prawdziwym raj.

Jakiś czas później, o zmierzchu, odpoczywali pod kocem, wsłuchując się w odgłosy dochodzące z pobliskiego lasu.

- Kochałaś kiedyś Luciena Randwicka? - zapytał nieoczekiwanie Alexander.

- Nie. Ani ja jego nie kochałam, ani on mnie.

- A może Harringtona?

- Nigdy! Zresztą on nie lubi kobiet. Błysnął zębami w uśmiechu.

- I mimo to zamierzasz uczyć mnie miłości? Ty, która sama jej nie zaznałaś?

- Nigdy przedtem! Aż do dziś.

Zamarł, ale Maddy miała już dość ostrożności i udawania.

- Miłuję cię z całej duszy, Alexandre. Czekałam na ciebie całe życie i będę cię kochać aż po kres swoich dni. - Mówiąc to nie przypuszczała, że reakcja jej ukochanego będzie tak dziwna i... szybka zarazem.

- Madeleine, sama wiesz, jak bardzo na mnie działasz. Nie wiem, czy to magia, choć mówili o tobie, że potrafisz omotać mężczyznę i robić z nim, co zapragniesz. Trudno mi w to uwierzyć, bo gdyby tak było, Lucien nie skończyłby tak marnie. Innych też nie uwiodłaś, powiedziałaś mi o tym, ale gdybyś tego nie uczyniła, sam bym się dowiedział. Wiem już, że nie jesteś biegła w sztuce miłosnej, a byłabyś, gdyby słowa twego brata okazały się prawdą. - Mówiąc to przytulał się do niej coraz mocniej, a jego ręce stawały się silniejsze, bardziej bezwzględne, obejmowały kibić i dłonie zaczęły niebezpiecznie głaskać jej biodra i zbliżać się w stronę delikatnej skóry na brzuchu, a potem jeszcze niżej i niżej. Nie mogła się poruszyć, czuła się uwięziona w jego węzowym uścisku, jeszcze chwila, a straci dech.

- Lecz to pewnie dlatego - mówił dalej - że nie jesteś zwyczajnie ruda, tylko twoje włosy są rudobrazowe. Sama tak orzekłaś, więc ...

Zanim zdążył skończyć wyswobodziła się i dostał kuksańca w bok.

- Jak możesz tak ze mnie żartować?! Powiedziałam ci przecież coś ważnego. Najważniejszego! Nikt inny nie usłyszał ode mnie wcześniej tych słów. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale to prawda. Kocham cię! Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Jej oczy ciskały błyskawice, ale usta drżały, jakby za chwilę miała się rozplakać.

Czy właśnie na te słowa czekał? Jeszcze raz chciał usłyszeć, że jest jej pierwszą miłością? Pomimo że miała już męża, obwiniano ją o czary i obmawiano, chciał być jej pierwszym, prawdziwym kochankiem. Chciał być jej mężem.

W odpowiedzi przygarnął ją na powrót do siebie i zaczął całować jej usta i oczy, po czym, kiedy z wolna się uspokoiła i lekki uśmiech zagościł na jej

twarży, przewrócił ją na plecy i posiadał z zaborczością, jakiej nigdy wcześniej nie okazywał.

## *Rozdział szesnasty*

Dotarli do Vorpeth następnego dnia o zmroku. Madeleine dokuczały trudy podróży i doskwierał ból nogi. Choć zmieniła opatrunek, nie miała gorącej wody, by się porządnie umyć. Nie czuła się z tym dobrze.

Odkąd nad rzeką wyznała mu miłość, Alexander prawie w ogóle się do niej nie odzywał. Czasem wydawało się jej, że chce przerwać milczenie, lecz coś zdawało się go powstrzymywać. Za każdym razem, gdy próbowała podchwycić jego spojrzenie, z uporem odwracał wzrok. Galopował cały czas z przodu, odległy i nieprzystępny.

Po przyjeździe do domu Josephine, rozdzielili się, by się odświeżyć i porządnie umyć. Odziany w angielski strój, Alexander prezentował się jeszcze bardziej okazale niż zwykle. Włosy miał odgarnięte z twarzy i ściągnięte na karku skórzanym rzemieniem. Maddy nie mogła nacieszyć się jego widokiem. Rozpierała ją duma. Była przekonana, że oto stoi przed nią mężczyzna, który obroni ją przed całym złem tego świata.

Babka udała się już na spoczynek, zaprowadzono ich więc do jej komnaty. Madeleine schyliła się, by pocałować ją w policzek i natychmiast poczuła znajomy zapach. Przynajmniej to się nie zmieniło, choć ostatni raz widziały się sześć lat temu na zamku Heathwater.

- Lainie? - Głos staruszki był bardziej piskliwy niż dawniej, a niebieskie oczy jakby wyblakły. Najbardziej jednak rzucały się w oczy białe jak śnieg włosy. Znużona życiem kobieta, która pochowała jedyne dziecko i dwóch mężów. Pierwszy z nich był ledwie szesnastoletnim chłopcem, gdy zginął w wyprawach krzyżowych.

- Podejdz, dziecko, niech no ci się przyjrzę. Zmężniałaś i jak mniemam przybywasz po list Jemimy. - Na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga. - Wiedziałam, że się zjawisz. Widziałam cię we śnie.

Josephine była powszechnie znana ze swego jasnowidztwa.

- Goult przyjechał do Ashblane i wszystko nam opowiedział - wyjaśniła z uśmiechem Maddy.

- Nam?

Alexander podszedł bliżej i wręczył gospodyni medalion.

- Alexander Ullyot z Ashblane - przedstawił się. - Goult z Kennmore prosił, by ci to, pani, przekazać. Twierdził, że będziesz wiedziała, w czym rzecz. Staruszka uniosła się na posłaniu.

- Nie mylił się. Słyszałam zarówno o tobie, jak i o twym zamku, młodzieńcze. Ashblane to ponoć twierdza nie do zdobycia. Mimo swej potęgi pozostajesz lojalny wobec króla Szkocji?

- Tak, pani.

- A kim jesteś dla mej wnuczki?

- Mężem, lady Anthony.

Madeleine zaniemówiła ze zdziwienia i oburzenia. Kłamać obcym, to jedno, ale żeby łąać w żywe oczy babce?

Jeśli naprawdę zamierzał ją zatrzymać jako swoją żonę, chciała, by zrobił to z właściwych powodów. Pragnęła usłyszeć od niego miłosne deklaracje, zobaczyć w jego oczach odbicie tego, co on bez trudu mógł wyczytać w jej własnych źrenicach. Otworzyła usta, by zaprotestować, ale chwycił ją za rękę i natychmiast straciła rezon. Wystarczył tak niewielki dotyk, a całe jej ciało stanęło w płomieniach. Była niczym wysuszone polano w pobliżu ognia.

- Powinnam się byłam domyślić. - Słowa babki przywróciły ją do rzeczywistości. - Roztacza silną aurę, Madeleine, widzę żywe srebro, ale i czern. To smutek. Dawne cierpienie i wciąż żywe wyrzuty sumienia. Zeżrą mu kiedyś duszę, jeśli mu nie pomożesz, dziecko.



Alexander wyraźnie pobladł i cofnął się, jakby chciał uciec, lecz Josephine jeszcze nie skończyła.

- Nigdy nie miałam pociechy z twej matki, Lainie, ale z tobą będzie inaczej. Wiem, że ty mnie nie rozczarujesz. Modliłam się, by Pan wskazał mi drogę i moje prośby zostały wysłuchane. Przybyliście, tak jak to przepowiedział mój sen. - Odetchnęła ciężko, a jej cera nabrała ziemistego koloru. Starość i zgryzoty naznaczyły jej urodziwą niegdyś twarz licznymi bruzdami.

- Jak długo zostanieie? - zwróciła się do Ullyota.

- Wyruszamy z powrotem o świcie. Zechcesz, pani, oddać nam teraz list?

- Jutro. - Zmrużyła powieki, jakby chciała dociec skąd u niego ta niecierpliwość.

- Bezpieczniej byłoby zrobić to jeszcze dziś. - Myślał wyłącznie o tym, by jak najprędzej zniszczyć dowody.

- Nie, nie wolno ci go zniszczyć... Może się okazać pomocny...

Alex podniósł gwałtownie głowę. Czyżby potrafiła czytać w myślach? - zastanawiał się. Tak czy owak, na jakim świecie ona żyje? Dokument, który stwierdza, iż jej wnuczka jest prawowitą następczynią tronu oficjalnie bezdzietnego króla, miałby być przydatny? Dobrze sobie. Postanowił mimo wszystko zachować spokój. Lady Anthony była leciwa i nie chciał jej do siebie zrażać. Przystał w milczeniu na jej warunek.

- Każę zaraz podać wieczerzę - ożywiła się, poprawiając okrycie. - Matthilde jest u nas w gościnie. Tylko ona i mój małżonek. Wiem... powinniśmy być ostrożni.

- Matthilde to siostra babki - wyjaśniła Madeleine, widząc uniesioną brew Alexandra.

- Im mniej osób dowie się o naszym przyjeździe, tym lepiej. Tak będzie bezpieczniej.

Nie wiedział dlaczego, raptem ogarnął go niezrozumiały niepokój. Zapragnął znaleźć się znowu w Szkocji. Tam przynajmniej wszystko było

znajome i przewidywalne. W Anglii nawet pogoda wydawała mu się nieprzyjazna i zdradliwa; równie zmienna i kapryśna jak sami Anglicy. Jego dłoń sięgnęła do kieszeni i zacisnęła się na rękojeści sztyletu. Zostaniemy tylko tę jedną noc - obiecał sobie. Ani chwili dłużej niż to będzie konieczne.

Przyszedł do niej późno w nocy, kiedy już cały dom pogrążony był we śnie. Maddy usłyszała skrzypnięcie zawiasów i podniosła głowę. Opierał się o drzwi, nasłuchując, jakby spodziewał się zobaczyć samego diabła. Dopiero po chwili wszedł do środka i odłożywszy miecz na stół, dorzucił do ognia drewna. Zastanawiała się, co sprawiło, że stał się taki nieufny i ostrożny.

Usiadła na pościeli i oparła się o wezglowie.

- Twoja babka to rogata dusza - odezwał się lekko ochrypłym głosem. - I szczywana jak lis. Podejrzewam, że dlatego nie dała nam listu, bo chciała się upewnić, że nie uciekniemy jeszcze dziś.

Spoczął na krześle w pobliżu łoża. Wyczuła, że czuje się niepewnie i niezręcznie. Jakby chciał wyznać jej coś ważnego, ale nie widział, jak powinien zacząć rozmowę.

- Josephine powiedziała, że dręczą mnie wyrzuty sumienia - rzekł po długim milczeniu. - Nie myliła się. Nie wiem skąd o tym wie, ale... ma rację. - Urwał na moment. W jego oczach znów pojawiła się pustka i samotność. - Nie powiedziałem ci wszystkiego o Egipcie. Miałem osiem lat, gdy ojciec wysłał mnie na dwór króla Francji, Philipa, aby tam uczynili ze mnie rycerza. Guy de Tour, mój opiekun, był nieugiętym człowiekiem, ale tylko dzięki jego naukom żyję do dziś. Po dziewięciu latach twardej szkoły i walk przeciw Anglikom udałem się do Aleksandrii. Z początku Egipt wydawał mi się prawdziwym rajem na ziemi. Al-Nasir Muhammed okazał się światłym sułtanem, który wierzy w miłość bliźniego i wspomaga poddanych. Jego pałac był domem dla wielu mędrców, poetów i uczonych ksiąg. Przez jakiś czas pobierałem nauki i ćwiczyłem się w tamtejszych sztukach walki. Kupiec, który zabrał mnie z Francji na statek, miał brata, brat ów zaś dowodził regimentem wojska w al-

Qahirah. Widząc mój zapał, zgodził się wziąć mnie pod swoje skrzydła. Nazywał się Talib ibn Abi Hakim i szczerze nienawidził chrześcijan i naszej wiary. Ja natomiast byłem jeszcze bogobojnym szkockim wyrostkiem, który każdego innowiercę uważał za wyklętego Saracena. To nie mogło przynieść niczego dobrego. - Potrząsnął głową i otarł z czoła kropelki potu. - Pojechałem z nim do Kairu. Tam, z dala od nadzoru sułtana, Talib zmienił się w okrutnego satrapę. Otworzył szkołę walki i używał mnie jako przynęty. Różniłem się od tubylców kolorem skóry i doskonale władałem mieczem. Byłem młody i głupi. Godziłem się na to, by się mną wysługiwał, bo dobrze mi płacił. Zabijałem dla pozycji i dla złota. Jako bękart de Bruce'ów w ojczyźnie nigdy nie dane mi było zasmakować ani jednego, ani drugiego. Stawiał mnie do walki z chłopcami takim jak ja sam, tyle że niezdolnymi podjąć równej walki. Wkrótce zrozumiałem, że to, co robię, jest nieuczciwe i złe, ale mogłem tylko zabijać dalej, albo samemu dać się zabić.

Kiedy na nią spojrzeł, na jego twarzy malował się szczery żal i wstyd.

- Mój przyjaciel, Yazid, tłumaczył mi, że musiałem to robić, bo przyjmując od Taliba zapłatę, sprzedałem mu się jak niewolnik. A jednak miałem wybór. Mogłem przestać przyjmować jado i zgasnąć. Mogłem nie podejmować walki i pozwolić, by któryś z przeciwników wysłał mnie na tamten świat. Nie potrafiłem. Nie umiałem wyprzeć się woli życia. Nade wszystko pragnąłem przetrwać, lecz kiedy mi się to udało, zrozumiałem, że mimo wszystko, coś we mnie obumarło. Gdyby Alice wciąż była wśród żywych, powiedziała by ci to, co tak często powtarzała mnie. - Przerwał i odwrócił głowę na bok. - Powiadała, że Kair i służba u Taliba ibn Abi Hakima pozbawiły mnie człowieczeństwa. Że do końca życia nocą powinny mnie prześladować dusze chłopców, których wymordowałem. Boże jedyny! - poderwał się nagle na nogi. - Sam byłem wtedy ledwie chłopcem... a mimo to... jej słowa wryły mi się w umysł i nie chcą mnie opuścić.

Madeleine nie mogła dłużej znieść jego bólu. Na myśl o tym, ile musiał wycierpieć, krajało się jej serce. Stała przed nim i nakryła mu usta dłonią.

- Co by się stało, gdybyś odmówił walki?

- Ze mną? - odparł, unikając jej wzroku. - Talib nie miałby skrupułów, by mnie zgładzić. Nienawidził ludzi, którzy, jego zdaniem, postępowali niehonorowo.

- Zatem jego zdaniem owe walki były uczciwe?

- O, jak najbardziej.

- Jak długo byłeś w Kairze?

- Jedenaście miesięcy i pięć dni.

„Aż tak dobrze to zapamiętał” - pomyślała ze współczuciem. Uniosła rękaw jego koszuli i dotknęła palcem blizn na przedramieniu.

- A ten tatuaż?

- Sprawił mi go w podarunku. W nagrodę za walki.

- A ty próbowałaś pozbyć się tej nagrody? Kiwnął głową.

- Po powrocie do Szkocji wypalałem go dopóty, dopóki nie omdlałem z bólu. Alice mawiała, że to pokuta za hańbę, którą się okryłem. Twierdziła, że powinienem zatrzymać tatuaż, aby przypominał mi o tym, jak bardzo zgrzeszyłem.

Madeleine bez słowa objęła go ramionami, przeklinając w duchu jego zmarłą, świętoszkowatą żonę. Serce waliło mu młotem.

- Z twoich słów wnoszę, iż Alice była bogobojną, ale i nieczułą niewiastą. Nie miała prawa cię osądzać. Nie wiadomo, jak by postąpiła, gdyby znalazła się na twoim miejscu. Łatwo jest oceniać innych, tak jak łatwo jest chełpić się odwagą, kiedy nigdy nie było się w niebezpieczeństwie. Dokonałeś wyboru i dzięki temu przeżyłeś. Twoi przeciwnicy sami wybrali śmierć. Nie możesz winić się za to, co czynił Talib.

- Mogłem go powstrzymać.

- Teraz może mógłbyś... Wtedy, mając zaledwie osiemnaście lat, wątpię, byś był w stanie cokolwiek zdziałać... To nieprawda, że okryłeś się hańbą, tak jak ja nie zhańbiłam się, zgładzając Luciena. Oboje broniliśmy własnego istnienia.

- Aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo różnisz się od Alice - westchnął, wtulając twarz w jej włosy.

- Ani trochę jej nie przypominasz.

- I Bogu dzięki. - Zdjąwszy mu koszulę, powiodła dłońmi po jego torsie, zaczęła dotykać nieśmiało ustami ślady po bliznach, a potem wtuliła się w niego całym ciałem.

- Zostaniesz ze mną? - spytała cicho i podniosła ku niemu twarz.

Nie musiał odpowiadać. Wyczytała odpowiedź z jego pociemniałych oczu. Przyłożyła sobie do piersi jego dłoń.

- Tylko to jest teraz ważne, Alexandrze. Twe serce nie przestało bić tam w Kairze, bo usłyszało z oddali wołanie mego serca. Posłuchaj tylko. Bije jednakowo jak twoje. Jesteśmy tacy sami. Połączeni smutkiem i samotnością i ocaleni przez miłość...

Nim rzekła więcej, zamknął jej usta pocałunkiem.

Alexander obudził się wczesnym rankiem w ramionach Madeleine. Jak to się stało, że nie pamiętał, kiedy zasnął? Jej głowa spoczywała obok w aureoli rudych włosów, a delikatne ręce gładziły jego kark. Ciepło, które od niej było rozmarzyło go. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że odnalazł prawdziwy dom. To ona była jego domem. Nareszcie przekonał się, co znaczy należeć do kogoś ciałem i duszą. Gdyby ją stracił... Nawet nie potrafił o tym myśleć.

Podniósłszy się łóżka, podszedł do okna i przyłożył rękę do zimnego szkła. W Szkocji czegoś takiego nie używali. Zmarszczył czoło, przyglądając się jak odcisk jego dłoni pojawia się i momentalnie znika. Miał nadzieję, że nie jest to zły omen.

Małżonek Josephine próbował zatrzymać ich na dłużej, lecz Alexander, jak zwykle przezorny, upierał się przy rychłym wyjeździe.

- Niebawem przybędą twoi kuzynowie. - Tym razem gospodarz próbował przekonywać Maddy. - Nie zostaniecie, by ich powitać?

- Prosiłem cię, panie, byś nikomu o nas nie mówił - zirytował się Alex.

- Tak też zrobiłem. Nie posłałem przecie umyślnego do Londynu, lecz na wieś do majątku Franklina Moore'a, męża Matthilde. Jakąż szkodę może przynieść niewinne rodzinne spotkanie? - Podczas rozmowy lord Anthony stał przy oknie i wyglądał na dziedziniec. Po chwili milczenia, nieoczekiwanie porwał czapkę i wyszedł z komnaty.

Całe szczęście - pomyślała Madeleine. W jego obecności babka raczej nie wspomniałaby o liście. Teraz powinni dostać to, po co przyjechali. Nie myliła się.

- Pismo jest ukryte pod tym obrazem - Oznajmiła Josephine, wskazując pejzaż na ścianie.

Alexander pospiesznie zdjął ramę i wyjąwszy pergamin, schował go sobie za pazuchę. Wydawał się podenerwowany i czujniejszy niż zwykle. Wrzask na dworze wyjaśnił przyczynę jego zdenerwowania.

Zdrada! Maddy odwróciła się i zobaczyła odbicie własnych myśli na twarzy babki.

- Wyjdźcie tylnymi drzwiami! Prędko - ponagliła staruszka. Alex tymczasem dobył miecza. Targała nim istna furia.

- Kim u diabła jest ten Moore? - zapytał ostro, gdy znaleźli się na korytarzu. - Co o nim wiesz?

- Nic, spotkałam go zaledwie kilka razy.

- To znaczy, że on również cię nie zna i niewiele go obchodzi twój los. Zapewne nie będzie miał skrupułów przed tym, by wydać cię Edwardowi, a tym samym pomóc swemu władcy położyć rękę na twych ziemiach. Swobodny dostęp do terytorium Szkocji to dla wrogiej monarchii nie byle co.

Maddy kiwnęła głową, czując, że braknie jej powietrza.

- Przestań natychmiast, Madeleine! - krzyknął, gdy wybiegli na podwórze.

- Oddychaj, do diaska!

Była przekonana, że to, co miało miejsce później, wydarzyło się wyłącznie z jej winy. Gdyby Alexander był sam i nie musiał zajmować się jej dolegliwościami, z pewnością zauważyłby, że Vorpeth Manor otoczyło wojsko. Czmychnąłby niezauważony na wieś i ślad by po nim zaginął. Niestety, nim odzyskała siły, było już na to za późno. Dookoła nich stali uzbrojeni po zęby żołnierze króla Edwarda, a wśród nich Moore. Zatem i jemu chciwość przyćmiła rozum. Gdyby babka uwzględniła ją w testamencie, straciłaby na tym jego rodzina. Jak widać zachłanność robi głupców ze wszystkich. Nie tylko z monarchów. Mąż Matthilde nie był w tym względzie wyjątkiem.

- Tyś jest lady Randwick, pani? - zapytał smagły mężczyzna z insygniami kapitana.

Odszukała wzrokiem Alexandra, który kiwnął głową.

- Tak.

- Co cię sprowadza do Vorpeth?

- Moja babka poważnie niedomaga. Chciałam ją zobaczyć nim... - Urwała i spojrzała w ziemię, próbując udawać żalobę.

- A szkocki baron, który ci towarzyszy?

- Nalegał, by mi towarzyszyć. Dla mego bezpieczeństwa. Właśnie wyjeżdżaliśmy. - Każde słowo i każdy oddech przychodziły jej z wielkim trudem. Drżała na całym ciele i nienawidziła swojej słabości. Co teraz będzie? - myślała gorączkowo. Czy król zażąda, by stawili się przed jego obliczem i unieważni zwyczajową ceremonię zaślubin? A może wyda ją za kogoś innego? Za jakiegoś angielskiego barona, którego łatwo mu będzie kontrolować?

Kapitan był wyraźnie poirytowany, zaś w oczach Alexandra czaiła się wyczuwalna groźba.

- Jego wysokość chce cię widzieć. Pojedziesz, pani, z nami.



- Mnie też chcecie pojmać? - wtrącił Alex nienaturalnie spokojnym głosem. - Sądźcie, że zdołacie mnie schwytać?

Przez chwilę nie rozumiała jego motywów, niebawem jednak pojęła, w czym rzecz. Oburzeni jego zuchwalstwem żołnierze rozstąpili się, by go dopaść, a on tylko na to czekał. Korzystając z zamieszania ruszył pędem w stronę kaplicy. List - przemknęło jej przez głowę. Nie ucieka. Chce jedynie zniszczyć list.

- Nie! - zaprotestowała, wiedząc, że go złapią. Usiłowała pobiec za nimi, lecz powstrzymało ją żelazne ramię angielskiego kapitana.

Strząsnąwszy jego ramię, niemal skoczyła mu do oczu.

- To przywódca Ullyotów, niezależny szkocki baron! Nie macie prawa zatrzymywać go w ten sposób! Na miłość boską, ostawcie go! Jest kuzynem króla Davida, bratankiem Roberta the Bruce'a. Wasza nierozwaga może doprowadzić do wojny!

Zza drzwi kościoła dobiegł jęk bólu, a zaraz po nich rozległy się okrzyki zwycięstwa. Zdesperowana Maddy postanowiła obrać inną taktykę,

- Odwołaj ich, panie - zaczęła błagalnie. - To o mnie wam chodzi. Pójdę z wami po dobroci, tylko go nie krzywdźcie.

- Dalibóg, wzruszające, ale i niepotrzebne, zważywszy na to, co oboje słyszymy. O, zdaje się, że już po wszystkim.

Wyprowadziło go co najmniej dwudziestu żołnierzy. Miał zakrwawioną głowę i opuchnięty policzek, ale poza tym był cały. Kiedy odszukał ją wzrokiem i zamrugał oczami, zrozumiała, że nie zamierzał ani uciekać, ani podejmować nierównej walki. Pokrzepiona jego odwagą, zastanawiała się, co zamierza czynić dalej.

- Dajcie go tu - rozkazał kapitan.

Jego ludzie podprowadzili bliżej Alexandra.

- Kim jesteś, panie?



- Alexander James Ullyot, wódz klanu Ullyotów z Liddesdale. - Krew z rozciętego czoła spływała mu obficie na powiekę. Nie mógł jej obtrzeć, bo przytrzymywali mu ręce z tyłu.

- Czego chcecie? - Nie silił się na dyplomację. W jego głosie pobrzmiwał gniew.

- Mamy rozkaz doprowadzić Lady Randwick na dwór, a ty nam w tym przeszkodziłeś, panie. Król nie spogląda przychylnym okiem na taką butę.

Madeleine ogarnęła trwoga. W przeciwieństwie do niej, Alexander nie dysponował majątkiem ziemskim w Marchii. Nie miał nic do zaoferowania w zamian za darowanie życia.

- Jeśli puścisz nas wolno, zapłacę ci złotem - powiedziała głośno.

Kapitan uciszył gestem podkomendnych.

- Sługa króla nie przyjmuje łapówek, a tobie, pani, radzę wysłuchać woli władcy.

- Moja żona nie jest już poddaną angielskiego monarchy. Podlega teraz prawu Szkocji. Możesz powiedzieć Edwardowi, że trzy dni temu połączyliśmy się zgodnie ze szkockim obyczajem w obecności trzydziestu świadków.

- Poślubiłeś ją?

- Mówię przecie.

- Gdzie?

- Przy granicy Szkocji na ziemiach Kerrów.

Spokojne dotąd oblicze Anglika przybrało maskę nieokiełznanej furii.

- Jego wysokość wpadnie w szal, gdy się o tym dowie. Miałem przywieźć mu do Londynu wdowę po Randwicku! - Odwróciwszy się, wyładował złość na Madeleine. Uderzył ją z całej siły w twarz i rozpętało się piekło.

Alexander wyrwał się żołnierzom i wymierzył mu cios pięścią w nos. Powalił kapitana na ziemię, a potem rozprawił się z kolejnymi trzema Anglikami. Czwarty trzymał w ręku miecz, ale i z nim sobie poradził, kopiąc przeciwnika w nadgarstek. Następni dwaj poszli po rozum do głowy i zaszli go z

dwóch stron. Nim zdążyli się obejrzeć dopadł ich i ścisnąwszy im gardła, pozbawił delikwentów przytomności.

Maddy w duchu dziękowała Bogu, że ich nie zabił. Edward z pewnością przykładowie by go za to ukarał. Podchwyciła na moment jego spojrzenie. Dostrzegła w nim pychę i, o zgrozo, rozbawienie. Wyglądał jakby ta bójka sprawiała mu uciechę. Jak to możliwe, skoro jej ze strachu niemal odjęło rozum? Atakowało go w tej chwili prawie dwudziestu uzbrojonych w noże ludzi. Nie było najmniejszej szansy, by wyszedł z pojedynku zwycięsko, zwłaszcza że już zaczynał odczuwać skutki wysiłku. Poczzerwieniał na twarzy, a jego oddech stał się szybki i urywany.

Krzyknął do niej, by nie podchodziła i odnalazłszy w tłumie bitewnym kapitana, bez najmniejszego wysiłku zgruchotał ramię, które ugodziło ją w policzek.

Niebawem sam legł na ziemię, uderzony mocno w potylicę. Oszczędzili go wprawdzie, lecz chyba wyłącznie z tego powodu, że mord na przywódcy klanu i powinowatym szkockiego króla przysporzyłby angielskiemu monarsze sporych kłopotów.

Maddy zamknęła oczy i odmówiwszy krótką modlitwę, podbiegła do ukochanego. Położyła swoje palce na jego nadgarstku, żeby przede wszystkim zbadać mu puls.

- Niech cię licho - szepnęła, ocierając mu halką z twarzy zaschniętą krew. Jego jasne włosy były pozlepiane i nabrały różowej barwy. - Po coś to uczynił?

- Zrobili ci krzywdę. Uśmiechnęła się bezwiednie.

- Nie tak wielką jak tobie.

- Gdzie jesteśmy?

- W obozie, ponad godzinę drogi od Vorpeth. Przyłożyła palce do rozciętej skóry pod jego okiem i zmarszczyła brwi.

- Powinieneś był zostawić ich w pokoju, Alexandre. Lucien i Noel obchodzili się ze mną znacznie gorzej niż oni, a mimo to jakoś przetrwałam.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Jestem przywódcą Ullyotów, a ty, Madeleine, jesteś moją żoną. Mam obowiązek cię bronić.

- Rzucając się w pojedynkę na trzydziestu uzbrojonych żołnierzy? To było czyste szaleństwo. Wiedziałaś, że z nimi nie wygrasz.

- Ależ wygrałem - odparł miękko. - Powstrzymałem ich. Nie pozwoliłem, by ten łotr znów podniósł na ciebie rękę.

Zacisnęła palce wokół jego poranionej dłoni, czując, że wzruszenie ściska ją za gardło.

Pół życia spędziła wśród mężczyzn, którzy twierdzili, że im na niej zależy, choć wcale tak nie było. Brat, który używał na niej pięści, Williamson, który nieustannie raczył ją uszczypliwymi uwagami, i mąż, dręczący ją swoją złością i szaleństwem. Alexander Ullyot nie czynił jej wprawdzie miłosnych wyznań, lecz każdym czynem udowadniał, że pragnie jej dobra i bezpieczeństwa.

- Nie pozwoliłem, by ten łotr znów podniósł na ciebie rękę - te jego słowa będzie stale pamiętała. Z trudem powstrzymując łzy, przytuliła policzek do jego ręki.

- Co zrobiłaś z listem?

- Spaliłem. Przy ołtarzu były świece. Co to za droga?

- Wiodąca do Londynu.

- Ilu ludzi nas eskortuje?

- Co najmniej pięćdziesięciu. Dołączył do nas Moore ze swoimi najemnikami.

- A lord Anthony?

- Powiedział, że jedzie na dwór, by wstawić się za nami u króla.

Złorzeczając po celtycku, Alexander podniósł się i ukucnął, Niemal w tej samej chwili opadł jednak z powrotem na posłanie i chwycił się rękoma za głowę.

- Znajdzie się jakaś woda?

Podala mu bukłak.

Napił się łapczywie, po czym pomacał się po obolałej szczęce.

- Czym mnie uderzył ten angielski wieprz?

- Puklerzem. Była opuchlizna, ale już jej zaradziłam. Uśmiechnął się niespodzianie i wziął ją za rękę.

- Jeszcze możemy się z tego wykaraskać, Madeleine. Jeśli zaprowadzą cię do króla samą, obiecaj mu pograniczne ziemie w zamian za bezpieczny powrót do Ashblane. Bądź jednak ostrożna i waż każde słowo. Angielscy monarchowie potrafią być bezwzględni i zdradliwi jak nikt. Gdyby Edward nie przystał na twą propozycję, ofiaruj mu moje życie.

- Nie! Nigdy tego nie zrobię!

- Słuchaj, co mówię, do diabła. Powiedz, że chcesz unieważnienia zaślubin, że cię do nich przymusiłem. Obiecują ci małżeństwo z jakimś pomniejszym angielskim baronem. Dzięki temu zyskasz czas, by uciec do Ashblane i zabrać Jemie. Quinlan wam pomoże.

- Nie!

- Może wydać cię za mąż tylko pod jednym warunkiem, że pozbędzie się mnie. Złoto, ziemie i przysługa to mocne argumenty. Z pewnością ułagodzisz nimi króla.

- Nigdy! Nie zrobię tego, Alexandrze. Nie zdradzę cię. Roześmiał się, choć jej wcale nie był do śmiechu.

- Jeśli nosisz moje dziecko, Madeleine, zdradzisz mnie stokroć bardziej, jeśli nie uczynisz tego, o co cię proszę.

- Nie jestem brzemienna. Mówiłam ci, że ciąży na mnie klątwa.

- Ciężyla, kiedy byłaś żoną Luciena. Ze mną nie będziesz niepłodna.

Uśmiechnęła się, rozbawiona jego buńczuczными przechwałkami, lecz na dnie jej serca zaczęło kiełkować ziarenko nadziei.

- Jeśli istotnie noszę twoje dziecko, nie pozwolę, by urodziło się jako pogrobowiec.

- Jeśli je nosisz, masz obowiązek wydać je na świat. - Wstał i schylił głowę, by nie zawadzić o wierzchołek namiotu. Zauważyła, że stara się jej nie dotykać.

- A ty masz obowiązek za nas umrzeć? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Nie, mówię jedno, że królowi Edwardowi pod żadnym pozorem nie można ufać. Nie zawahałby się zamordować dziecka ani zgładzić jego matki, gdyby miało mu to zapewnić przejęcie ważnych dla Anglii ziem. Zwłaszcza ziem, które leżą w Marchii.

- W takim razie ucieknijmy już teraz. Razem.

Zamiast odpowiedzieć, zdjął z ręki sygnet i włożył go na jej palec.

- Zaślubiam cię tym oto pierścieniem. - powiedział, po czym naciąwszy sztyletem kciuki obojga, złączył je ze sobą. - Wielbię cię swym ciałem, a więzami krwi łączę me życie z twoim i proszę Boga, by pobłogosławił naszemu związkowi. Dla twego bezpieczeństwa - dodał, widząc jej zdumienie. - A jeśli coś pójdzie źle i nie wrócę, chcę, byś pamiętała o tej chwili. Pamiętaj o mnie.

Po policzkach Madeleine obficie spłynęły łzy. Objęła go z całych sił i załkała.

- Nie mogę cię utracić, Alexandrze. Nie przeżyję bez ciebie ani jednego dnia.

- Cii - zamruczał, głaszcząc ją po włosach i całując w czoło. - Edward połączy się na twe ziemie. Jeśli uda nam się go przekonać, że jesteśmy posłuszni jego woli, mamy szansę wyjść z tego cało.

Posłyszawszy kroki na zewnątrz, zasłonił Maddy własnym ciałem.

- Lady Randwick - odezwał się żołnierz, który wszedł do namiotu. - Pojedziesz pani z baronem Anthonyem do Londynu.

- A baron Ulyot? Co z nim będzie?

- Zostanie z nami.

Ze strachu zakręciło jej się w głowie. Upadłaby, gdyby Alexander jej nie podtrzymał.

- Pojedzie z wami, ale musisz mi przysiąc, że włos jej z głowy nie spadnie.

- Masz moje słowo, panie. - Anglik odwrócił się, by mogli się swobodnie pożegnać.

Madeleine poczuła na swym policzku dłoń ukochanego i zamknęła na chwilę oczy. Pragnęła, by obraz jego twarzy na zawsze wrył się jej w pamięć. Uśmiechał się, gdy ponownie na niego spojrzała.

- To nie koniec, Madeleine. Obiecuję ci.

Czyjeś ramię wyciągnęło ją z namiotu i Alexander zniknął jej z oczu.



## *Rozdział siedemnasty*

Król Edward nie posiadał się ze złości, kiedy Alexandra wyciągnięto z lochów Tower i doprowadzono przed jego oblicze.

- Lady Randwick powiada, iż jesteście zaślubieni. Zgodnie ze *szkockim* obyczajem i w obecności *szkockich* świadków. Bodaj trzydziestu!

- Cóż, Wasza Wysokość, byliśmy w drodze i spotkaliśmy klan Kerrów. Pomyślałem wówczas, że to jedyny sposób, by ją przed nimi uchronić.

- Pomyśl zatem jeszcze raz, Ullyot, i zastanów się, jak to odwołać, bo przysięgam ci, że jeśli nie będę mógł wydać jej szczęśliwe za mąż za tego, kogo wskażę, do wieczora będzie martwa. Nie życzę sobie żadnych trudności. Dość mam już frasunków z waszym królem i niepokojami na szkockiej granicy. Do tego jeszcze wieczne utrapienie z klechami! Przebrała się miarka. Chcę przejść ziemie Madeleine Randwick, zwłaszcza te leżące w Marchii. Odbiorę je jej, choćbym musiał ją zgładzić. Z żywą będzie jednak mniej kłopotu. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby przystała na to z radością i po dobroci.

Alexander poczuł, że oblewa się zimnym potem.

- Z radością? Cóż to znaczy?

- To znaczy, że do końca miesiąca i bez słowa sprzeciwu poślubi jednego z moich zaufanych baronów.

- Pojmuję.

Istotnie, pojmował aż nadto dobrze, co się może wydarzyć. Wiedział również, że jeśli nie przekona jej, iż sam popiera zamysł Edwarda, Madeleine nigdy się na coś takiego nie zgodzi. Przeciwstawi się woli władcy i zginie. Od jak dawna jej nie widział? Trzy tygodnie? A może dłużej? W lochu trudno było odmierzać czas. Czasem miał o niej jakieś wieści. Kwaterowała w pałacu Savoy, w komnatach wychodzących na dziedziniec. Powiedział mu o tym lord Anthony, kiedy odwiedził go w więzieniu. Alex wymógł na nim obietnicę, że więcej nie przyjdzie i nie wspomni Madeleine ni słowem o tym, co się z nim

dzieje ani gdzie przebywa. Nie mógł pozwolić, by się do niego zbliżyła. Tylko w ten sposób mógł ją ocalić.

Ścisnęło go za gardło. Drżał na całym ciele na samą myśl o tym, co król zgotował dla niej. Alex nie mógł pozwolić na jej śmierć.

- Czy we dworze przebywa lady Isabella Simpson, Wasza Wysokość?

- Tak.

- W takim razie, może znajdzie się jakiś sposób.

Wyrzekał się dla niej własnego życia, ale nie potrafił postąpić inaczej. Starając się opanować łomotanie serca, zaczął układać w głowie plan.

Isabella Simpson odwiedziła Madeleine w czwartym tygodniu jej niewoli w Londynie i już od progu uraczyła ją spojrzeniem pełnym triumfu.

- Dziękuję, że zechciałaś mnie, pani, przyjąć - odezwała się jak zwykle lodowatym tonem. - Przybywam z prośbą, byś zwolniła barona Ullyota z wszelkich zobowiązań wobec twojej osoby. Chodziło bodaj o małżeństwo zawarte na mocy starego obyczaju... - urwała, jasno dając do zrozumienia, iż ma podobne obrzędy w pogardzie. - Rozmówiłam się już z Alexandrem. Przekazałam mu nowinę o dziecku, które wspólnie poczęliśmy.

Komnata zawirowała Maddy przed oczami. Chwyciła się krzesła, przez chwilę nie pojmując słów, które właśnie usłyszała.

- Dziecko? Masz, pani, pewność, że jest jego? - Przypomniała sobie noc, gdy widziała ich razem i ślady na szyi Alexandra.

- Naturalnie - odparła wyniośle Isabella. - Chciałabym, aby Kościół pobłogosławił nasz związek jeszcze przed rozwiązaniem, a Alex obiecał mi małżeństwo w dniu, w którym po raz pierwszy się do siebie zbliżyliśmy.

Madeleine pobladła jak płótno.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nigdy nie dam temu wiary. Alexander kazał ci to powiedzieć, by mnie chronić. Kazał ci kłamać... - Zabrakło jej tchu. Zdjęta strachem, załapała się za szyję i odwróciła do okna.



- Obawiałam się, że mi nie uwierzysz, lady Randwick. Dlatego Alex przybył wraz ze mną, by osobiście potwierdzić moje słowa. Mam go poprosić do środka? Król dał nam pozwolenie.

- On... jest tutaj?

- Tak.

Spojrzała z bijącym sercem w stronę drzwi. Wystarczy chwila i wszystko się wyjaśni... Nadzieja zgasła w niej w chwili, gdy go zobaczyła. Miał to wypisane nie tylko w oczach, ale i w całej posturze. Natychmiast pojęła, że wszystko, co powiedziała lady Simpson jest prawdą.

- Lady Randwick - Mówił nieswoim głosem i nie zwrócił się do niej po imieniu.

Przełknęła ślinę i spróbowała się odezwać, lecz nie zdołała wydobyć z siebie żadnego słowa. To nie może się dziać naprawdę. Niebo nadal jest niebieskie. Świat pozostał taki sam, a ona rozpadła się na kawałki. To musi być jakaś farsa. Skomplikowana szarada, która ma ją ocalić. Szepcząc w myślach jego imię, zebrała się na odwagę i postanowiła walczyć.

- Lady Isabella powiedziała mi właśnie, że носи twoje dziecko.

Po raz pierwszy, odkąd wszedł, podniósł głowę i spojrzał wprost na nią.

Niemal krzyknęła na widok jego okaleczonej twarzy. Miał rozplataną wargę i ogromny siniec pod lewym okiem.

- Czy to prawda? Zawahał się.

- Tak - rzekł w końcu grobowym tonem.

- A zatem masz nie lada problem.

- Owszem, mam. Mogę? - zapytał, podchodząc do stojącego na stole dzbana z winem.

Przyglądała mu się, gdy podnosił kielich do ust. Nie potrafił opanować drżenia ręki. Może to znak - pomyślała. Wskazówka, że owe wyznanie zostało na nim wymuszone?

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- W zeszłym tygodniu. Nie przypuszczałem, że ten związek zaowocuje potomstwem. Ale skoro tak się stało, czuję się zobowiązany zostać ojcem. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

Dziecko i rodzicielski obowiązek. To jedyny argument, którym mógł ją przekonać, by mu uwierzyła. Jej ręka spoczęła bezwiednie na brzuchu, a oczy wypełniły się łzami. Z przesadną dbałością naląła sobie wody i ścisnęła czarke tak mocno, że przez chwilę wydawało się jej, iż naczynie rozsypie się w jej dłoni na kawałki. Podobnie jak jej serce rozpadło się na tysiąc cząsteczek, z których każda tęskniła za Alexandrem i jego miłością. Nie może jednak dać po sobie poznać, jak bardzo ją zranił. Musi zebrać resztki opanowania i udawać, tak jak udawała setki razy wcześniej i jak zapewne będzie udawała w przyszłości.

- Król Edward wydał zgodę na wasz związek?

- Wczoraj. - Spojrzał jej w oczy. - Ashblane to twierdza obronna, lady Randwick. Klan Ullyotów potrzebuje dziedzica, który mnie w przyszłości zastąpi. Gillion nie będzie mógł rządzić ze względu na swą ułomność.

- Zatem syn, którego powije Isabella, ma zapewnić ciągłość i bezpieczeństwo waszemu rodowi?

- W rzeczy samej.

Ojcostwo i gwarancja obronności zamku. Zrozumiała, że w tej walce nie ma szans. Mimo rozdzierającego żalu, przywołała na twarz pogodny uśmiech. Pozostało jeszcze kilka szczegółów, które chciała poznać.

- Mogę wiedzieć, gdzie kwaterujesz w Londynie?

- Król udostępnił mi komnaty w Pałacu Westminster, ale mam pozwolenie na powrót do domu. - Podeszedł do lady Simpson i wziął ją za rękę. -

Wyruszamy jutro.

- A rany na twojej twarzy? Jak się ich nabawiłeś?

- Wraz z gwardzistami króla urządziliśmy turniej rycerski. Dostałem nowego konia i nim go ujarzmiłem, kilka razy wypadłem z siodła.

Słyszając to, Madeleine porzuciła wszelkie nadzieje. A więc te obrażenia to nie sprawka nadgorliwego wartownika w lochach Tower. Żył sobie wygodnie, korzystając z uroków miasta, podczas gdy ona tkwiła bezradnie w niewoli. Wykorzystał swą szansę i zamiast walczyć o nią, wybrał wolność. Wiedziała już, jaką ma podjąć decyzję.

- Cóż, przyznaję, iż nasze zaślubiny były jeno nierozsądną zachcianką. W świetle twego nowego położenia, nie pozostaje mi nic innego jak zwolnić cię, panie, z danego mi słowa. - Przywdziewając maskę odwagi, odwróciła się do Isabelli i odegrała swą rolę do końca:

- Baron Ullyot zrobił to tylko po to, by chronić mnie przed ludźmi, których spotkaliśmy na drodze. Byliśmy tylko my dwoje i trzydziestu Kerrów.

- Byliście sami? - powtórzyła lady Simpson, nie kryjąc potępienia. - Podróżowałaś, pani, z mężczyzną bez przyzwoitki, mimo iż nie jesteś zamężna?

- Jak ci zapewne wiadomo, miałam już kiedyś męża. A po nim rozlicznych kochanków - dodała z goryczą. - Odwiedzali mnie często w Heathwater i suto płacili za okazywane im względy. Słynę z tego bodaj w całym królestwie...

- Przestań, Madeleine. - Alexander odstawił z hukiem wino i spojrzał na nią z takim utrapieniem w pociemniałych oczach, że przez moment miała ochotę przerwać tę farsę. Gdyby w grę nie wchodziło dziecko... być może wszystko byłoby inaczej.

- A czegoż to mam zaprzestać, panie? - Uśmiechnęła się i uniosła dumnie brodę. - Nie wolno mi już robić użytku z mych niewieścich wdzięków? Każesz mi zrezygnować z towarzystwa mężczyzn? Zdjęłam z ciebie obowiązek roztaczania nade mną opieki. To prawo przynależne mężom, a ty, panie, moim mężem nie jesteś. - Przykro jej było oglądać jego gniew, lecz skoro z niej zrezygnował, musiała bronić się przed królem sama. Może zła reputacja uchroni ją przed losem, który obmyślił dla niej bezwzględny monarcha. Żaden rozumny baron nie zgodzi się przecież na ożenek z kobietą otwarcie przyznającą się do

nierządu. Taką przynajmniej miała nadzieję. Isabella uśmiechnęła się z nieukrywanym zadowoleniem.

- Cieszę się, iż odbyliśmy tę rozmowę, lady Randwick. Kto wie, może nawet poprosimy cię na matkę chrzestną?

Madeleine musiała okazać, jak bardzo zabolą ją ta uszczypliwość, bo na twarzy Isabelli pojawił się wyraz triumfu.

- Zgadzasz się, najdroższy? Prędzej czy później rozejdzie się wieść o waszych zerwanych zaślubinach. A kiedy to nastąpi, powiemy, że choć miłość przeminęła, pozostaliście przyjaciółmi... - Zachęcona milczeniem Alexa dodała z jadem: - To jest, jeśli komuś przyjdzie do głowy, że kiedykolwiek łączyło was jakieś uczucie.

Maddy poczuła, że opada z sił. Zdołała wszakże odnaleźć w sobie resztki godności. Na tyle, by wytrwać do końca i z podniesionym czołem zaczekać, aż ukochany zniknie z jej życia. Oby stało się to jak najszybciej, bo jeszcze chwila i gotowa rzucić mu się do stóp i błagać, by jej nie opuszczał.

Isabella westchnęła i wyprostowała się jak struna. Madeleine przez moment wydawało się, że zamierza ją uderzyć i instynktownie przysunęła się do Alexandra. Jego palce zacisnęły się natychmiast wokół jej dłoni, lecz puścił ją natychmiast, gdy zorientował się, co czyni.

- Nieprędko nas znowu zobaczysz, lady Randwick. Alex obiecał zabrać mnie do Francji. - Lady Simpson pogłaskała się po brzuchu i zachichotała. - Naturalnie, wrócimy na czas rozwiązania, prawda, mój drogi?

- Prawda - odparł zmienionym głosem. Jego oczy pozostały jednak spuszczone. Cokolwiek czuł, nie chciał się z tym zdradzić.

Chwilę później już ich nie było. Nie zdobył się nawet na rozmowę w cztery oczy. Niczego jej nie wyjaśnił.

Zalała ją fala nieutulonego żalu. Obojętność Alexandra uczyniła jego zdradę stokroć boleśniejszą. Runęła na podłogę, zakrywając dłonią usta.

Resztkami woli powstrzymała się przed tym, by nie zacząć krzyczeć ze zgryzoty.

- Nienawidzę cię - szepnęła bezsilnie, choć dobrze wiedziała, że to nieprawda.

## *Rozdział osiemnasty*

Po powrocie do celi Alexander z całej siły uderzył pięścią w ścianę. Thukł knykciami w mur dopóty, dopóki nie udało mu się stłamsić gniewu i zdusić w sercu rozpacz. Pałac Westminster i wyjazd do Szkocji - wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał, oczy pozostały nieruchome i nawet usta nie drgnęły. Bogu dzięki! Gdyby wiedziała, że to wszystko kłamstwa, kłamstwa, i jeszcze raz kłamstwa! Lecz dzięki nim, zamiast zginąć z ręki króla, Madeleine pozostanie przy życiu.

Oszustwo i małżeństwo pod przymusem są jednak lepsze od śmierci. Bezpieczniejsze od prawdy.

Przynajmniej na razie.

Szczęk otwieranych drzwi wyrwał go z zadumy. Odwróciwszy głowę, ujrzał na progu Falstone'a. Lata wzajemnej nienawiści natychmiast dały o sobie znać. Zmierzyli się nawzajem niechętnym wzrokiem.

- Dostałem od króla pozwolenie, by ci przekazać, iż moja siostra przed upływem miesiąca zostanie wydana za Nigela Mummingtona, hrabiego Stainmore. To mój oddany przyjaciel. Być może o nim słyszałeś?

Owszem, słyszał. Ów baron miał opinię słabego i chciwego człowieka, który w dodatku lubi zabawiać się z młodymi mężczyznami. Podatny na wpływy i przeznaczony na zatracenie słabeusz. Ktoś w sam raz nadający się na męża lady Randwick, Podobnie jak wcześniej Lucien.

Gdyby nóg nie krępowały mu łańcuchy, zadusiłby Noela gołymi rękoma. W swym obecnym położeniu mógł jedynie tkwić w miejscu i w bezsilnym milczeniu tłamsić wściekłość.

Podejść no tylko bliżej, psu bracie - pomyślał, odmierzając w głowie odległość, która dzieliła go od nienawistnego gościa. Łańcuchy pozwalały mu na pewną swobodę ruchów, a przetrącanie karków nie było dla niego niczym nowym.

- Jak bardzo kochasz moją siostrę? Takiego pytanie Alex się nie spodziewał.

- Mummington już raz pozbył się małżonki, gdy ta nie mogła dać mu syna - kontynuował z lubością Anglik. - A wszyscy wiemy o przypadłości naszej Madeleine. - Roześmiał się szyderczo. - Takie to do niej podobne. Wprost uwielbia utrudniać innym życie.

Alexandra zżerała furia, lecz rozsądek i strach o życie ukochanej kobiety wzięły górę nad emocjami.

- Po coś tu przyszedł, Falstone? - zapytał, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Żeby zobaczyć, jak zdychasz, Ullyot. By ci powiedzieć, że wszystko, czym byłeś, szczerze, i nie pozostanie po tobie nic poza złamanym sercem mej siostry i zgliszczami Ashblane. Będziesz jeno smętnym wspomnieniem, Szkockim wielmożą, który zginął w Tower.

- Czemu tak bardzo zależy ci na tym, by oglądać mój koniec?

- Śmiesz jeszcze pytać, dlaczego? - Ciemne oczy Noela zapłonęły nienawiścią. - Ty, który uprzykrzyłeś mi żywot jak żaden inny śmiertelnik? Ograbiłeś mnie niemal do cna. Nasza granica zawsze była niespokojna, lecz nim wróciłeś do Szkocji, to ja rządziłem okolicą. To moje męstwo podziwiano. To mnie zazdrozczono waleczności i dostatku. A teraz? Ludzie, których miałem na swych usługach, wyśpiewują hymny pochwalne na cześć twej dzielności i bohaterstwa. Nie chcą już u mnie być. Jak by tego było mało, pojmałeś mi

siostrę i pozbawiłeś mnie jej majątku. To przez ciebie straciłem Harland, ziemię, które mogły uczynić mnie sławnym i bogatym. To za twoją sprawą Edward rzuca mi marny ochłap dziedzictwa Madeleine, twierdząc jeszcze, iż wyświadcza mi przysługę. Też mi dobrodziejstwo! Gdyby nie ty, zgarnąłbym dla siebie cały profit.

- To nie wina Madeleine - przerwał mu Alexander. Usłyszał już dość. - Zabraliśmy ją do Ashblane siłą. Opierała nam się, a mimo to chcesz ją ukarać. To ona będzie cierpiała, jeśli nie odstąpisz od swego nikczemnego zamiaru.

- Mylisz się, Ullyot, ty ucierpisz najbardziej. Kiedy o niej mówisz, na twojej twarzy malują się nieomylnie oznaki miłości. Widzę je nawet z tak daleka i po ciemku. Ty i twoi ludzie odebraliście mi przyszłość, o jakiej marzyłem, teraz ja zabiorę ci to, co ukochałeś najbardziej. Nareszcie wyrównamy rachunki. - Roześmiał się nieoczekiwanie nerwowym chichotem, od którego Alexowi przebiegły po plecach ciarki.

Boże - pomyślał z trwogą. To człek szalony. I niebezpieczny. Kto wie, co może się stać, jeśli król pozwoli mu odwiedzić Madeleine podczas jej pobytu w pałacu Savoy.

- Gdzie się zatrzymałeś w Londynie? - zapytał, choć nie spodziewał się, że usłyszy szczerą odpowiedź.

- Baron Anthony udzielił mi gościny - odparł z zaskakującą otwartością Falstone. - W miejskim domu swej małżonki.

- Czy baronowa wam towarzyszy?

- Nie łudź się, Ullyot, Josephine nie przyjdzie ci z pomocą. Jest stara i chora. Jej czary straciły dawną moc. Moja droga siostra karmi ją listami pełnymi kłamstw, które mają ją oszczędzić od zgryzoty, ale to na nic. Ból w piersiach nie pozwala jej wychodzić i zapewne wkrótce ją zabije.

- Z twoją pomocą?

- A od czegoś są wnukowie, jeśli nie od tego? - zaśmiał się Anglik. - Miałbym nie skrócić mąk własnej babce?

Alex miał już dość tej rozmowy. Odszukawszy wzrokiem wartownika, przywołał go do drzwi celi.

- Baron właśnie wychodzi. Odprowadzić go.

Czuł, że nie zniesie obecności Falstone'a ani chwili dłużej. Nie mógł patrzeć, jak ów szaleniec rozpromienia się na myśl o zadawaniu cierpień i pozbyciu się siostry. Zwłaszcza że jako brat, bez trudu uzyska zgodę na wstęp do jej siedziby.

Zaklął głośno natychmiast, gdy został sam. Jeśli Noel mówił prawdę, Madeleine wpadnie w zasadzkę, podczas gdy on czeźnie w zamknięciu, w żaden sposób nie mogąc jej pomóc. Nie zdoła jej nawet ostrzec, bo jego własne życie wisi na włosku. Dobrze wiedział, że Edward nie pozwoli mu na ożenek z Isabellą Simpson. Nie ufa mu, więc będzie wołał go zabić i postara się, by wieść o jego śmierci nie doszła rychło do uszu króla Davida.

Oparł się o ścianę, zdjęty przeraźliwą trwogą. Wszystko co zrobił, by uchronić żonę, obróciło się w niwecz. Jego ukochana zginie zamordowana skrytobójczo albo z ręki brata, albo od miecza Nigela Mummingtona. Zginą oboje.

Nigdy więcej jej nie ujrzy i nie wyjaśni, na czym polegał okrutny fortel z Isabellą. Wtrącony do lochu i zakuty w kajdany nie mógł już niczego zdziałać. Chociaż... Może jeszcze nie wszystko stracone...

Gdy jego wzrok spoczął na skazańcu z przeciwległej celi, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Wykorzystując nieobecność zajętego Falstone'em wartownika, zdjął z szyi medalion i zacisnął go w pięści wraz ze skórzaną zawieszką. Postanowił zaryzykować i krzyknął przez kraty do współwięźnia:

- Często cię odwiedzają?

- Czasem kto zajdzie, łaskawy panie. - Nieszczęśnik miał gardłowy i nieco bojaźliwy głos. Nie wydawał się szczególnie rozgarnięty.

- Jeśli uda ci się przekazać przez kogoś wiadomość poza mury, sowicie cię wynagrodzę.



- Co to za wiadomość?

- Chcę, by ten medalion trafił do rąk mego przyjaciela. Czy dwadzieścia suwerenów to wystarczająca rekompensata za twój wysiłek?

- Wystarczające co, panie?

- Zapłata! - zniecierpliwił się Alexander. Wiedział, że dostanie to, czego chce już w tej chwili, gdy wspomniał o pieniądzach.

Stephen Grant przybył do Tower dwa dni później w towarzystwie Anthony'ego oraz zakapturzonego mężczyzny, którego Alexander nie znał. Wszedłszy do celi, opłacili strażnika i posłali go po napitek.

Alex siedział oparty o kamienną ścianę, trzęsąc się z zimna. Głowę miał jak z ołowiu, dręczył go kaszel i trawiła gorączka.

Rany na nogach zaczynały się paskudzić, a palce lewej ręki bolały, jakby były połamane. Wartownik nastąpił na nie butem i najwyraźniej je zgruchotał.

- Stephen. - Podniósł się na nogi, na próżno próbując opanować dreszcze, które wstrząsały nim od ubiegłego ranka, kiedy to pod pozorem kąpieli oblano go lodowatą wodą. - Nawet nie wiesz jak bardzo rad, że cię widzę.

Przejęty jego stanem, przyjaciel podszedł bliżej i okrył go własnym kaftanem.

- Jakim sposobem udało ci się pozyskać zgodę na wejście do lochów?

Baron Anthony postąpił do przodu i wyjąwszy z kieszeni medalion, podał go Ullyotowi.

- Grant zwrócił się o pomoc do mej żony, a ja mam tu liczne koneksje.

Boże, miej nas w opiece - pomyślał Alex, wietrząc kolejny podstęp.

Wymieniwszy spojrzenie ze Stephenem, zrozumiał, że nie on jeden ma podejrzenia, co do szlachetnych intencji starego barona.

- Josephine prosiła, bym ci to oddał. Mam ci też powtórzyć, byś „pamiętał o czarach”.

- Co takiego?

- Nie powiedziała nic więcej. Obawiam się, że jej rozum szwankuje nieco z powodu choroby. Nie brałbym jej słów do serca.

- A Madeleine? Co z nią?

- Wraz z kilkoma niewiastami ze dworu udała się do domu Mummingtona. Ich zaślubiny mają się odbyć za miesiąc. Radziłbym jednak, byś rozważył, czy warto ryzykować wizytę w Stainmore. Lady Randwick sądzi bowiem, że zmuszają ją do zamążpójścia z twojej winy. Wspominała coś o innej kobiecie, bodaj Isabelli Simpson, o ile pamięć mnie nie zawodzi.

- O mojej siostrze - wtrącił ostro Stephen. - Wyjechała do Francji. Teraz już wiem, dlaczego. Nie potrafiłbyś rozpoznać zakochanej niewiasty, nawet gdybyś się o nią potknął. Daruję ci, ale tylko dlatego, że byłeś z nią szczery i szczerze ją opłaciłeś.

Alexander zbył go skinieniem głowy i przeszedł do rzeczy:

- Przyszliście mnie uwolnić?

- W karczmie pod Czerwonym Lwem - odparł baron Anthony - czeka na ciebie zaufany człowiek z czterema końmi, bronią i miksturami na twoje rany.

- A ty, panie...? - Coś tu się nie zgadzało. Anthony był sługusem króla. Edward nie darowałby mu zdrady.

- Mną się nie frasuj. Po to właśnie wzięliśmy Jacka.

Mężczyzna w kapturze odsłonił twarz. W jego dłoni spoczywał pęk więziennych kluczy. Chwilę później uwolnił Alexandra z łańcuchów, a barona powalił bez przytomności na ziemię.

Zmyślny plan - skostatował Alexander, ruszając do wyjścia. Po drodze przystanął, by powiedzieć więźniowi z sąsiedniej celi, gdzie zostawi dla niego obiecane złote monety.

Powietrze na zewnątrz pachniało dymem i wilgocią.

## *Rozdział dziewiętnasty*

Madeleine siedziała w ogrodach zamku Stainmore, wsłuchując się w szum drzew i śpiew ptaków. Otaczająca ją zieleń i uroda tego miejsca nie dawały jej ukojenia. Kwitnące krzewy, roztaczające wokół przyjemną woń, nie mogły zmienić toku jej myśli, krążących od jakiegoś czasu wokół wydarzeń ostatnich dni. Od wyjazdu z Londynu ciągle przypominała sobie ostatnią rozmowę z Alexem w pałacu Savoy, kiedy w obecności Isabelli opowiedział o ich wcześniejszym związku, planowanym wspólnym wyjeździe do Francji i powrocie do Ashblane jeszcze przed rozwiązaniem i powiciem potomka przez Isabellę. Wtedy uwierzyła mu natychmiast, była zbyt przygnębiona i przerażona tym, co się stało. Gdyby nie zdrada lorda Anthony'ego wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Znowu ktoś z jej rodziny zawiódł! Wróciło poczucie winy.

Najpierw zachowanie Isabelli, potem jego okrutne słowa, które działały na nią, jakby wstrzeliwał w jej serce sople lodu. Poczuli się wzgardzona, oszukana i poniżona. Nie chciała im dać satysfakcji, żeby dostrzegli jej rozpacz. Dlatego udała, że z chęcią zrywa śluby z Ullyotem. A potem było jej wszystko jedno, czuła się, jakby życie powoli z niej wyciekało. Rozkaz króla przyjęła z pokorą, tak przez wszystkich oczekiwaną.

Nawet Falstone uwierzył w jej posłuszeństwo.

Nie dawało jej jednak spokoju wspomnienie marnego wyglądu Alexa. Pobrużdżona i wychudzona twarz, ślad po uderzeniu na policzku, brudne ręce, jakby nie mył się od kilku dni, i to poszarpane ubranie ze śladami zaschniętej krwi. Czy tak wygląda rezydent Westminsteru? Szczęśliwy żonkoś pięknej Isabelli Simpson?

Szkocki rycerz Alexander Ullyot, krewny the Bruce'a, przebywający na pokojach pałacu westminsterskiego, wyglądał jak człowiek, który nie sypiał w łóżku, lecz na gołej ziemi. Czy to możliwe, żeby... kłamali oboje?

Olśniła ją ta myśl, ale zaraz przyszło otrzeźwienie. Skłamacz, to pewne. Alex miał w tym jakiś cel, chciał ją ochronić przed gniewem króla Edwarda, i to mu się udało. Nie wiadomo tylko, na jak długo. Ona żyje, ale co z nim? Czy naprawdę Isabella została jego żoną?

Ta myśl nie opuszczała jej, jątrzyła jej pamięć do tego stopnia, że zaczęła zmuszać do rozmyślań o ucieczce. Na jej palcu nadal lśnił pierścień z herbem Ullyotów.

Na szczęście dla niej Nigel Mummington nie uprzykrzał jej życia. Od początku było jasne, iż pragnie jedynie legalnie przejąć jej majątek.

Towarzystwa dotrzymywała jej Eileen Birmingham, ciemnowłosa kochanka Nigela.

- Jeszcze tylko cztery miesiące, lady Randwick - rzekła, kładąc dłoń na zaokrąglonym ciężą brzuchu. - I obie będziemy wolne. Przyrzekam ci, że kiedy Nigel uzna nasze dziecko i ogłosi je dziedzicem, będziesz mogła odejść wolno. Masz na to moje słowo.

Maddy posłała jej niewesoły uśmiech. Polubiła Eileen, być może powodem było to, że los ich obu był uwikłany w wielką politykę.

- Obawiam się, lady Birmingham, iż przypisujesz mężczyznom zbyt wielką prawość. Pozbądź się mnie przy pierwszej sposobności. Nie zdziwiłabym się, gdyby chrzciny twego maleństwa zbiegły się z moim pogrzebem.

- Nie pozwolę na to. Nie tknął cię, bo ja mu tego zabroniłam. Jeśli poproszę, by cię uwolnił, posłucha. Zwłaszcza jeśli obdaruję go synem.

W tym jednym musiała przyznać Eileen rację. Mummington się do niej nie zbliżał. Widziała go zaledwie kilka razy, a i to z daleka. Jego maniery były nienagane i widać było, iż darzy swą kochankę głębokim uczuciem.

- Nawet wtedy, jeśli będzie chciał spełnić twą prośbę, król Edward nie pozwoli mi żyć.

Łzy Eileen nie powinny były jej zaskoczyć. Wiedziała, że brzemiennie kobiety bywają przesadnie ckliwe. Nagle poczuła się znużona. Była zmęczona samotnością, nadzieją wbrew nadziei i marzeniami o tym, by jej życie odmieniło się na lepsze. Wysłała list do Jemie, lecz jeszcze nie otrzymała odpowiedzi. Czy Isabella, jeśli tam przebywa, jest dla niej dobra? - zastanawiała się. A Alexander? Czy jest szczęśliwy? - Zamknęła oczy i wyobraziła sobie jego twarz. Ukochany mój, gdzie teraz jesteś? Może we Francji u boku urodziwej i płodnej Isabelli? A może w Ashblane? Gdybym to ja mogła dać ci potomka, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Potrząsnęła głową. Nie było jej to pisane. Otarła z policzka łzę. Wydarzenia z Ashblane wydawały jej się czasem tak odległe, jakby nigdy się nie zdarzyły. Mała Jemie będzie za nią tęskniła, ale przynajmniej nic jej nie grozi. Wiedziała, że Alexander dotrzyma słowa i będzie ją chronił.

Podniosła się ostrożnie z fotela z zamiarem odejścia. Wciąż dokuczał jej siniec na biodrze. Nabiła go sobie w niedzielny poranek, próbując sforsować drzwi kaplicy. Dopiero jakiś czas potem uzmysłowiła sobie, że nawet gdyby udało jej się zbiec, to i tak nie miałyby dokąd pójść.

Eileen nie dała się tak łatwo zbyć.

- Mogę ci pomóc na tyle, na ile będę mogła. Dla dobra dziecka nie mogę ryzykować wiele, ale może spróbuję umożliwić ci ucieczkę. Gdybyś odjechała daleko stąd...

- Możesz dopomóc mi w inny sposób - przerwała jej Maddy. - Będę potrzebowała saletry i siarki. - Serce zabiło jej mocniej. Przy odrobinie szczęścia jej plan mógł się powieść.

- To mikstury używane do robienia prochu... Jeśli skrzywdzisz Nigela...

- Nic złego mu się nie stanie, obiecuję.

- Gdzie ich szukać?

- Powinny być w zamkowej zbrojowni.

Lady Birmingham kiwnęła głową. Po raz pierwszy od wielu tygodni Madeleine poczuła, że wstępuje w nią nowa nadzieja. Jeśli wykorzysta swą wiedzę, być może jeszcze zdoła się uratować.

Tętent koni i szczęk zbroi oraz oręża zburzyły nagle spokój słonecznego poranka. Podbiegłszy do barbakanu, ujrzała w oddali sztandar wojsk jej brata, trzepoczący ponad głowami co najmniej setki najemników.

A zatem wojna dosięgła nawet spokojne Stainmore. Pomogła wstać Eileen i prędko odprowadziła ją w bezpieczne miejsce.

## *Rozdział dwudziesty*

Alexander zjechał do Stainmore wraz z setką najlepszych ludzi z Ashblane dziesięć dni po ucieczce z Londynu. Zbliżając się do twierdzy, zupełnie nie dostrzegał tego, co się wokół niego dzieje. Potrafił myśleć wyłącznie o Madeleine i o zapewnieniu jej bezpieczeństwa. Poprzysiągł sobie na duszę swej matki, że jeśli choćby włos spadnie jej z głowy, puści to przeklęte miejsce z dymem.

Wyjechało im na spotkanie zaledwie sześciu konnych. Powinno to zwrócić jego uwagę, dlaczego tylko tylu chce się przeciwstawić jego licznemu oddziałowi. Czyżby się nie lękali? Rozpoznavszy w jednym z nich Mummingtona, natychmiast poczuł rosnącą falę niechęci i zbył niczym swoje wcześniejsze spostrzeżenia, jeśli je w ogóle miał.

- Co cię do mnie sprowadza, baronie? To terytorium Anglii. Nie masz prawa najeżdżać bezprawnie na moje ziemie.

Alex zignorował jawną groźbę i od razu przeszedł do rzeczy:

- Jeśli skrzywdziłeś moją żonę, Mummington, za chwilę pożegnasz się z życiem. A teraz gadaj, gdzie ona jest?

W oczach Anglika pojawił się na moment nieodgadniony błysk.

- Edward obiecał ją mnie, Ullyot. Lady Randwick wydaje się zadowolona z tego stanu rzeczy. W końcu jest Angielką. Postanowiła poddać się woli swego króla. Na twoim miejscu, Ullyot, odjechałbym stąd jak najdalej, ciesząc się, że możesz ująć z życiem.

Alexander przyjrzał mu się uważnie. Dopiero teraz wyczuł swoim instynktem, że było coś dziwnego w jego zachowaniu, coś się nie zgadzało. Mummington, niby taki pewny siebie, wyraźnie się czegoś bał. W jego oczach czaiło się przerażenie. Mimo to poprowadził ich w stronę bramy wjazdowej.

- Każę nakarmić i napoić twoich ludzi, baronie - rzekł, gdy dotarli do wrót zamku, lecz Alex w ogóle go nie słuchał. Myślami znowu był przy ukochanej. Czuł, że jest blisko. Minąwszy gospodarza, wybiegł do przodu, wpadł do westybulu i natrafił wprost na wystawione miecze pięćdziesięciu ludzi Noela Falstone'a.

Kolejna zasadzka.

Zatrzymał się i zdecydowanym gestem nakazał Goultowi i Quinlanowi, którzy podążali za nim, by zachowali spokój i nie dobywali broni. Nim podejmie ryzyko, musi się wprawdzie upewnić, że Madeleine jest w zamku cała i zdrowa. Zastanawiał się też, gdzie się podziewa jej brat. Tchórz, wystawiający swoich ludzi na stracenie.

Jakby na zawołanie, Noel stanął przed nim i obrzucił go wzrokiem pełnym wzdąrdy.

- Miałem nadzieję, że do tej pory będziesz już martwy.

- Sama nadzieja to za mało, żeby mnie zabić, Falstone. Skąd wiedziałeś, że się tu na mnie natkniesz?

- Od barona Anthony'ego - oznajmił z triumfem. - Edward może na nim polegać, tak jak i na mnie.

- A zatem uznaliście obaj, iż łatwiej będzie zgładzić mnie tutaj, niż jako więźnia w Tower?

- W rzeczy samej, Ullyot. Unikniemy w ten sposób niepotrzebnych komplikacji.

- Pozwól memu przybocznemu zabrać Madeleine do Ashblane - odezwał się Alexander pojednawczo po krótkim milczeniu. - Poddam się dobrowolnie, jeśli darujesz jej życie.

- Daremny trud. To ja mam w ręku wszystkie atuty.

- Może nie wszystkie - odparował mu Alexander. Pod murami czeka setka moich ludzi. Jeśli nas zabijesz, mnie albo Madeleine, rozpoczną oblężenie zamku.

- Wkroczyłeś bezprawnie na terytorium Anglii, Ullyot. Jak sądzisz, jak długo Edward pozwoli twym najemnikom pozostać w Stainmore?

- Na tyle długo, by posłali do ziemi pokątną liczbę Anglików. No i wystarczająco długo, by Kościół zapalał słusznym gniewem i ukarał was za próbę rozwiązania mego prawomocnego małżeństwa z lady Randwick.

Noel roześmiał się szyderczo.

- Prawomocnego małżeństwa? A odkąd to stary obyczaj ma moc prawną? Przed jakimż to Bogiem sobie przysięgaliście? Coś mi się widzi, że...

Przerwał mu krzyk niewiasty, która wypadłszy na korytarz, zaczęła coś wygadywać o czarach i zjawach. Zza jej pleców wyłoniła się Madeleine, odziana w purpurową suknię i cała spowita niebieskim dymem. W świetle świec jej włosy przybrały barwę jesienną jarzębiny.

- Puść go wolno, Noel - odezwała się nienaturalnie niskim, złowieszczym głosem.

- Madeleine?! - Pełen niedowierzania krzyk Alexa, rozproszył ją na krótką chwilę. Spojrzała na niego ostrzegawczo, a w jej oczach odmalowały się kolejno bezbrzeżna tęsknota, ulga oraz obawa o jego życie. Zrozumiał po drgnieniu jej brwi.



- Madeleine... - powtórzył nieswoim głosem. Jego żona i jego ludzie pojmani podstępem przez Falstone'a. W powietrzu unosił się zapach krwi i zdrady.

- Puść go. - Stała przed bratem, uzbrojona jedynie w słowa i swoją magię. - Pozwól odejść baronowi Ullyotowi i jego ludziom.

- Dalibóg - zaśmiał się Falstone. - Jesteście siebie warci, droga siostró. Niestety, sam król pozwolił mi się go pozbyć. Nie przepuszczę takiej okazji, tylko dlatego że ty mnie o to prosisz.

Ruszyła w jego stronę.

- Nie! - wrzasnął Alexander, nie mogąc uwierzyć, że porywa się z gołymi rękami na szaleńca. Próbował wyrwać się ludziom Noela, lecz na próżno.

- Puść ich! - Maddy uniosła dłoń, a spod jej palców wydostała się smuga błękitnego dymu.

Boże - pomyślał Alex. Ona naprawdę zna się na czarach. I nigdy nie wyglądała piękniej niż teraz. Stała wyprostowana, wydawała się nienaturalnie wysoka z uniesioną głową. Biła od niej wielka determinacja i siła. Wpatrywała się w wymierzone w nią miecze bez cienia trwogi. Gdy znów machnęła ręką, stojący najbliżej Anglik osunął się na ziemię.

- Mam go zabić, Alexandrze? - zapytała cichym, a przez to jeszcze groźniejszym głosem niż przedtem.

- Nie. - Zastanawiał się, do czego zmierza i nagle przypomniały mu się słowa Josephine de Cargne, wypowiedziane przez staruszkę w Vorpeth.

„Pamiętaj o czarach”. Czy istotnie mogły ich wybawić z opresji?

- Mam zabić ich wszystkich? - powtórzyła, podnosząc z ziemi miecz żołnierza, który wił się z bólu u jej stóp. Ze stalowego ostrza wydobył się jasny blask i odbił się od twarzy zebranych mężczyzn. Ich niedowierzanie zamieniło się w coś zgoła innego.

- Nie, Madeleine, nie zabijaj ich - rzekł Alex i podszedł do niej z udawanym przerażeniem. Tym razem nikt go nie zatrzymywał.

Dopiero teraz ujrzał to, czego nie było widać z daleka. Cały jej policzek i skroń szpecił czerwony siniec. Wyglądała, jakby było jej gorąco.

- Jesteś ranna? - zapytał i odetchnął z ulgą, gdy potrząsnęła głową. Zasłoniwszy ją własnym ciałem, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z jej bratem. Noel widać zorientował się, iż padł ofiarą sztuczek i uniósł broń.

- Zabić ich! - Krzyknął do swych najemników. Ullyot tymczasem ścisnął żonę za rękę i szepnął.

- Jeśli naprawdę jesteś wiedźmą, nadszedł czas, byś znowu użyła swych czarów. Masz coś jeszcze w zanadrzu?

W odpowiedzi podrzuciła wysoko garść żółtego proszku i pod sufitem zawisła kolorowa luna. Żołnierze z Heathwater rozstąpili się jak na komendę. Wprawdzie nie opuścili mieczy, lecz przynajmniej odsunęli się na bezpieczną odległość.

- Strzeżcie się, bo ona może was skrzywdzić - wrzasnął Alexander. - Oboje możemy! Rzucimy na was klątwę i wyślemy was do piekła! - By nie być gołosłownym uniósł groźnie miecz, który wyjął uprzednio z ręki Madeleine. Komnata wciąż skąpana była w smugach białego światła, a w powietrzu unosiła się silna woń siarki.

Zabić ich! - rozkazał ponownie Falstone, próbując dopaść siostry. Ullyot był jednak szybszy. W okamgnieniu przystawił mu ostrze do karku.

- Jeśli choćby jeden z twoich sługusów się ruszy, z miejsca poderżnę ci gardło. - Tym razem nikt nie wątpił w jego słowa. - A teraz cofnąć się, ale już! - Zagwizdał na palcach, a po chwili do westybulu wsypali się gromadnie żołnierze z Ashblane. Osaczeni Anglicy zaczęli składać broń. O dziwo, oprócz zrezygnowania na ich obliczach pojawiła się również wyraźna ulga.

Noel jednak nie zamierzał poddać się tak łatwo. Podniósł z podłogi miecz i ruszył z impetem na swego odwiecznego wroga.

Dobrze się składa - pomyślał Ullyot. Przynajmniej nie będę go musiał zabijać z zimną krwią.

- Nie, stój! - Maddy krzyknęła przeraźliwie. Jej brat był znany z doskonałego władania mieczem i w całej Anglii miał opinię mistrza fechtunku. Pewność siebie nie schodziła mu z twarzy. Drwiący uśmiezek przybladł nieco dopiero wtedy, gdy Quinlan ze swymi żołnierzami obstąpili go od tyłu.

- Zamierzasz grać nieuczciwie, Ullyot?

- Równie uczciwie jak ty w walce z Ianem. Jeśli mnie się nie uda, usieką cię moi ludzie. Masz na to moje słowo.

- Ian? Ian the Red? Ten wielki wojownik, który kwilił jak dziecko, kiedy dźgałem go raz po raz, aż wyzionął ducha?

Dzika furia przyćmiła Alexandrowi rozum i rzucił się na przeciwnika z szarżą. Lecz gdy angielski baron odparł jego atak z niewymuszoną biegłością, uzmysłowił sobie, że nie powinien się dać sprowokować. Uspokoił się, wyrównał oddech.

- Teraz, kiedy stajemy do równej walki, a ja nie jestem skuty łańcuchami, wreszcie cię dopadnę, Falstone.

Przeciwnik odpowiedział mu prześmiewczym grymasem i walka rozgorzała na dobre. W pewnym momencie Alex wykonał zręczny unik i Noel wpadł na drzwi, wbijając przy tym miecz w belkę. Na jego twarzy zrazu pojawiło się niedowierzanie, lecz prędko się pozbierał. Dobywszy noża ugodził nim Ullyota w prawą dłoń.

Madeleine wyrwała się z krzykiem do przodu.

- Trzymaj ją Quin! - Poleciał Alexander. Nie mógł się teraz rozpraszać. Nagły ból wyzwolił w nim gniew i jeszcze bardziej przydał energii.

Falstone przesunął się w lewo. Z tej strony szereg żołnierzy z Ashblane był wyraźnie rzadszy, a za ich plecami znajdowało się wejście do kuchni. Alex przemknął się zwinnie i odciął mu drogę ucieczki.

- Chodź Falstone, zakończmy to tutaj - wychrypiał.

Odrzucił swój miecz i także sięgnął po nóż. Schylił się, przykucnął i czekał aż Noel dołączy i podejmie walkę. Widział jego pewność siebie i

przeświadczenie, że drugie uderzenie będzie jeszcze silniejsze i skuteczniejsze. Dostrzegł, że Noel zamierza zadać mu cios w szyję. Odchylił się i ostrze spadło na broszę, która spinała jego kraciasty szkocki pled na ramieniu. Zadając sztych Noel odsłonił się, i to wystarczyło Alexowi, żeby zakończyć bój. Użył całej swojej siły i ugodził go w pierś. Wkrótce było po wszystkim. Kaftan Noela zaczął się pokrywać krwią, a on sam z niedowierzaniem osunął się na kamienną posadzkę.

- Przeklinam cię, Ullyot! Ciebie, mą siostrę i cały twój ród w Ashblane!

- Puste słowa, baronie. I nierozważne. Powinieneś raczej pomyśleć o rachunku sumienia. Choć jeśli Ian odnajdzie cię na tamtym świecie, wątpię, by ocaliła cię pokuta.

Odczekali w milczeniu aż Falstone dokona żywota. Zaraz potem wszyscy najemnicy z Heathwater wycofali się do wyjścia, pozostawiając na placu boju gospodarza i garstkę jego ludzi.

- Wracaj do domu, baronie Ullyot - odezwał się zmęczonym głosem Mummington. - I zabierz ze sobą swoją żonę.

U szczytu schodów pojawiła się brzemienna kobieta. Nigel natychmiast ruszył ku niej i zasłonił ją przed innymi.

- Sir, przekaz swemu królowi, że zatrzymuję lady Madeleine Ullyot. Jest moją prawowitą małżonką i za taką wkrótce uzna ją Kościół. Jako rekompensatę oddaję mu Heathwater, bo nie chcę mieć z tym miejscem nic wspólnego. Za dużo tam nieszczęścia. A jeśli przekroczy granicę Szkocji, będę czekał na niego w Ashblane z dziesięcioletnią armią.

Anglik skinął głową i pozwolił im wyjść.

Alex odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy znalazł się na podwórzu ze swymi ludźmi i mógł dosiąść konia wraz z Madeleine. Wciąż nie mógł uwierzyć, że jest bezpieczna i ma ją tak blisko, wspartą na swej piersi. Noela Falstone'a dosięgła zasłużona kara, a Ian został pomszczony. Miał ochotę radować się w głos, lecz po chwili przyszedł namysł i rzekł:

- Jeśli kochałaś kiedyś swego brata, doprawdy bardzo mi przykro, że musiałaś to oglądać.

Potrząsnęła głową, a jemu od razu zrobiło się lżej na duszy.

- Noel sam zgotował sobie ten los, a uczucie, jakie miałam dla niego, kiedy byłam małą dziewczynką, dawno umarło. - Sięgnęła do jego dłoni, by obejrzyć ranę.

- To musi poczekać - powiedział, zabierając rękę. - Teraz najważniejsze, byśmy odjechali jak najdalej od Stainmore.

- Kto cię uderzył? - Jego palce sięgnęły do jej policzka i dotknęły delikatnie czerwonej smugi biegnącej przez twarz.

- Noel, kiedy powiedziałam mu, że nie wyjdę za Nigela. Wpadł w furję. Był o wiele bardziej gwałtowny niż niegdyś w Heathwater.

- Podług mnie, był szalony. Zauważyłem to już wcześniej, kiedy... nie dokończył. Odwrócił głowę, by zamienić słowo z Quinlanem, który starał się mu coś powiedzieć. Wydawał się taki zagniewany i odległy, że Maddy postanowiła milczeć.

Dopiero w jakiś czas później, po kilku godzinach drogi, gdy zamek Mummingtona pozostał daleko za nimi, odważyła się przemówić.

- Mam rozumieć, że Isabella Simpson nigdy nie została twą żoną? - zapytała ostrożnie.

Spojrzał na nią niby to poważnie, ale widać było, że cieszą go takie małe oznaki zazdrości z jej strony.

- Wymyśliłem to, by cię ratować. Musiałem, najmilsza. Moje kłamstwo przyniosło spodziewany skutek i dzięki temu zyskaliśmy na czasie.

- A dziecko?

- Nigdy nie było żadnego dziecka. Isabella zgodziła się udawać i kłamać w zamian za sówitą opłatę.

Obróciła się ku niemu i pogłaskała go po wychudzonej twarzy.

- Zmizerniałeś.

- To od gorączki.

- Zachorowałeś w lochach Tower?

W jego oczach pojawiło się zdumienie.

- Skąd wiedziałaś?

- Noel powiedział mi to wczoraj, że byłeś uwięziony. Mówił też, że kiedy cię odwiedził, miałeś mu wyznać, że nic cię nie obchodzi, bo pragniesz potomstwa i że moja niepłodność...

Nie pozwolił jej skończyć.

- Sądzisz, że kiedy na ciebie patrzę, to myślę tylko o dzieciach? Czy dlatego przeciwstawiłem się potędze angielskiego monarchy, bo liczę, że dasz mi syna? Mam już przecie Gilliona. Nie potrzebuję kolejnego dziedzica.

Rozejrzawszy się dookoła dał ludziom sygnał, by ruszyli przodem, a sam wstrzymał konia, bo chciał zostać na końcu kolumny. Potrzebował odrobiny prywatności.

- Kiedy Edward powiedział mi, że chce twoje ziemie i może cię nawet zgładzić, wiedziałem, że nie będzie łatwo przekonać cię, abyś zgodziła się zerwać nasze śluby. Wiedziałem też, że jeśli mi nie uwierzysz, zginiesz. Od tego kłamstwa zależało twoje życie, musiałem uczynić wszystko, aby było wiarygodne.

Madeleine uśmiechnęła się z ulgą, lecz nie była jeszcze gotowa, by całkowicie odpuścić mu winy.

- Nie spieszyłeś się z przyjazdem do Stainmore. Gdyby Mummington nie był nieprzytomnie zakochany w Eileen, nie uchroniłyby mnie przed nim nawet moje czary.

- Słodki Jezu... - Jego dłoń zacisnęła się mocniej wokół jej palców. - Sądziłem, że woli mężczyzn.

- Co takiego?

- No... wydawało mi się, że skoro nie gustuje w kobietach, to nic ci od niego nie grozi.

- Niewiasta, którą widziałeś na schodach, to Eileen, jego kochanka.

Alex wyraźnie pobladł.

- Ale... przecie ona była przy nadziei. Maddy roześmiała się na widok jego złości.

- Nie tknął cię?

Gotów był zawrócić i zabić Nigela, gdyby odpowiedziała, że próbował ją napastować. Poglądziła go po zranionej dłoni.

- Nawet nie zamierzał. On i Eileen darzą się szczerym uczuciem.

Nietrudno jej było go przekonać, by się do mnie nie zbliżał. To ona pomogła mi zdobyć mikstury do moich czarów.

Alexander przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Czy to znaczy, że to nie była prawdziwa magia? Że to, co zrobiłaś, da się jakoś wytłumaczyć?

- Oczywiście. Udała mi się ta sztuczka dzięki wiedzy, którą przekazały mi matka i babka. Każdy mógłby to zrobić. Trzeba tylko wiedzieć, jak. Nauczę cię kiedyś.

- Nie każdy, Madeleine. Tylko ty. Kiedy wieść o twym rzekomym czarodziejstwie rozejdzie się po obu królestwach, obiecuję, że będę cię chronił. Przrzekam też kochać cię do końca mych dni. Dobrze wiesz, że kocham cię, Lainie. Pierwszy raz wymówił w ten sposób jej imię.

- *Mo cridhe*, serce ty moje, wiedziałaś to od samego początku, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem. Nie darmo jesteś wiedźmą. - Zakończył ze śmiechem.

Oczy zaszczyły jej łzami, tak bardzo wzruszyło ją to wyznanie. Czym sobie na niego zasłużyła? Nikt inny nie wzięłby jej magii za dar od Boga. Nikt inny nie rzuciłby na szalę własnego życia, by ją ratować. Zrobił to tylko on, Alexander Ullyot.

Czy wiedziała, że mógł ją pokochać od pierwszej chwili, kiedy zjawiała się w Ashblane? Nie, ale bardzo pragnęła, żeby tak się stało. Miała nadzieję, jakies ogromne przeczucie stale jej towarzyszyło, że są sobie przeznaczeni.

- I ja cię kocham, Alexandre - szepnęła, unosząc dłoń do jego policzka. On zaś pochylił głowę i pocałował ją czule, z miłością. Oczekiwała tego, tak samo jak i on.

- A co będzie z Jemimą? - zapytała jakiś czas później, kiedy już uspokoiła oddech.

- Nikt się nigdy nie dowie o jej pochodzeniu i znów będzie mogła nosić sukienki.

To właśnie pragnęła usłyszeć. Wtuliła się w jego ciepło, a on objął ją ciaśniej i przycisnął do piersi. Była taka szczęśliwa. Wracali do domu.





## *Epilog*

*Wiosna 1361*

*Ashblane*

Alexander przemierzał nerwowym krokiem westybul, z niepokojem nasłuchując nawet najśłabsze dźwięki, dochodzące z komnaty na piętrze. Komnaty, do której pierwszy raz nie miał wstępu, mimo że przebywała tam Madeleine. Od kilku godzin całe Ashblane oczekiwało narodzin ich pierwszego dziecka.

Zacisnął szczęki i podszedł do okna. Prawie dziesiąta - stwierdził, spoglądając w niebo. To już cztery godziny, a przez ostatnie dwie nikt nie wchodził ani nie wychodził. To dobry, czy zły znak? Dość już miał tego zgadywania i niepewności. Czuł, że jeszcze chwila i go rozniesie. Niechże to się wreszcie zakończy! Chciał mieć swoją żonę z powrotem. Całą i zdrową. Pragnął znów wziąć ją w ramiona i usłyszeć jej śmiech.

Quinlan obserwował go z fajką w jednej i whisky w drugiej ręce. Zebrali się też Goult, Marcus oraz Stephen Grant.

- To już niedługo, chłopcze - odezwał się wuj Madeleine. Usiłował podnieść go na duchu, lecz Alex wątpił, by starzec miał w tej materii jakiegokolwiek doświadczenie.

- Odkąd to jesteś ekspertem od narodzin? - odparł poirytowany i zły na samego siebie. Zazwyczaj nie bywał nadmiernie drażliwy, ale dziś wszystko wydawało się groźne. To już niedługo nim, co? Nim jego ukochana wykrwawi się na śmierć? Tak jak niegdyś Alice?

Wspomnienie tamtych chwil jeszcze bardziej go zaniepokoiło.

Przywołał się do porządku. Madeleine jest silna i zdrowa. Pragnęła tego dziecka z desperacją, na jaką tylko ona potrafiłaby się zdobyć. Udało się po dwóch i pół roku. Nie wolno mu było tracić nadziei.

Gillion przyszedł ze dwora z bukietem przebiśniegów. Dziecięca niewinność w jego oczach była prawdziwym błogosławieństwem.

- Zerwałem je na grobie Patryka. To mama je wyhodowała. Na pewno się ucieszy. - Prawie w ogóle się nie jękał i był krzepkim oraz radosnym wyrostkiem, jak inni ośmioletni chłopcy. A wszystko to dzięki staraniom i uporowi Madeleine. Ileż ta kobieta dla niego zrobiła? Dla nich - natychmiast się poprawił.

Alex wiele razy błogosławił ten dzień, w którym pojmał ją po bitwie na polach Heathwater. Teraz toczyła się kolejna batalia, pierwsza, w której nie mógł uczestniczyć. Opadły go bezsilność i obawa. Chciał dzielić z Madeleine życie i wspólnie z nią się zestarzeć. Tulić ją co noc w swych ramionach...

Otwarto nareszcie drzwi i kwilenie dziecka wyrwało go z zamyślenia. Niczym burza popędził na górę.

Madeleine siedziała oparta o wezglowie łoża i obejmowała czule małe, białe zawiniątko, z którego wystawała ciemniejsza główka i ledwo widoczna, poruszająca się malutka rączka.

Wkrótce znalazło się przy jej piersi. Katherine i Jemima krzątały się bezszelestnie, zmieniając posłanie. „Rudzielec, jak matka” - pomyślał z uśmiechem Alex na widok puszystej główki w kolorze miodowego bursztynu.

- Masz córkę, Alexandrze - powiedziała miękko Maddy, wyciągając ku niemu rękę. Ujął jej palce w swoje, podniósł do ust i bez słowa usiadł na przygotowanym dla niego krześle. Nie był w stanie przemówić. Nawet najzacieklejsze boje nie potrafiły odjąć mu głosu, a teraz był tak przejęty, że nie mógł wymówić ni słowa.

- Nic ci nie dolega, ukochana? - zapytał drżącym głosem, rad, że Jemima i Kitty przeszły do sąsiedniej izby.

- Coś mi się widzi, że mam się lepiej niż ty - odparła ze śmiechem, a zarazem troską. - Nic mi nie jest, Alexandrze. Obiecałam ci przynajmniej pięćdziesiąt wspólnych lat i zamierzam dotrzymać słowa.

W odpowiedzi pochylił się i spoglądając jej czule w oczy, pogłaskał ją po policzku.

- Ach, moja Madeleine - uśmiechnął się. - Twoje największe skarby to nie ziemie i złoto, lecz wielkie serce, męstwo, uroda i rozum. Czy jest coś, co może się z nimi równać?

- Tylko miłość.

- Nasza miłość - szepnął i zaczął okrywać pocałunkami jej twarz.



RS